M.B.
im.
L.W.
w Łodzi

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex

str. 16

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 41 (1541) ROK XXX 10 PAŹDZIERNIKA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

- Jak pogodzić małe z dużymi? — str. 3
- W co wierzą protestanci? — str. 4
- „Dzieci Arbatu" — str. 10
- Kobiety z emocji traciły świadomość — str. 12
- Miłość od pierwszego wejrzenia — str. 15

Moja szkoła

PAWEŁ TOMASZEWSKI

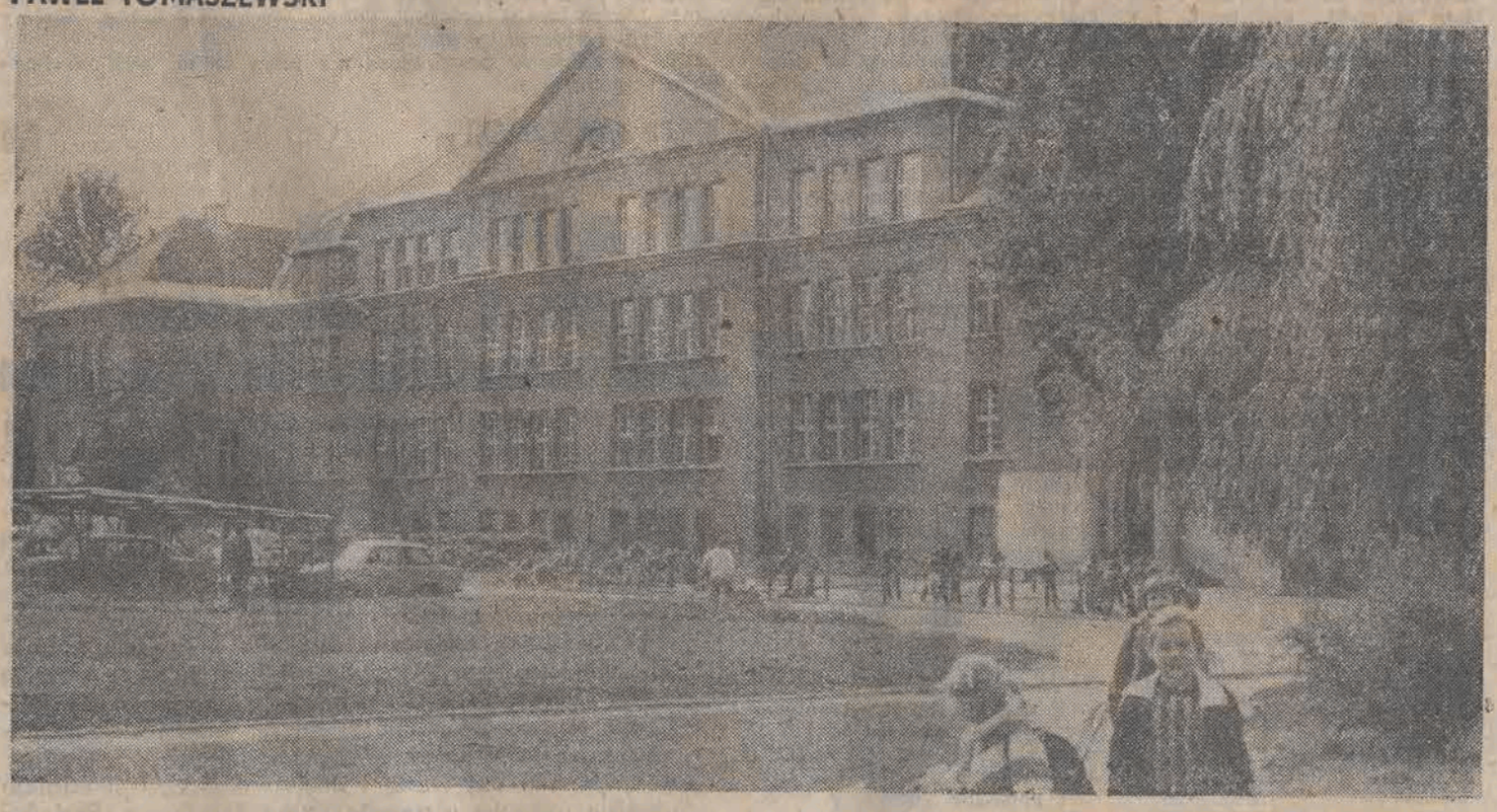

Foto: Grzegorz Gałasiński

Stoi w samym środku osiedla Nowe Rokicie. Adres: ulica Przyszkole 42 Łatwy adres, ale i bez niego trudno Czterdziestej Drugiej nie spostrzec od razu. Osiedle jest stosunkowo młode i niewielkie, ona zaś — leciwa już i duża. Swą potężną bryłą ze spadzistymi dachami rozbija monotonię pudełkowego krajobrazu. Ma też w sobie coś powiedziałbym, staroświecko dostojnego — jak przedwojenna matrona w kapeluszu na pożółkłej fotografii.

Moja szkoła...

Opuściłem jej progi dwadzieścia lat temu. Kawał czasu. Są jednak chwile, kiedy wydaje mi się, że było to zaledwie wczoraj. Czuję nawet jeszcze tak charakterystyczny zapach pasty do podłogi, widzę naszą klasę, słyszę budzące niezmiennie lęk słowa: do tablicy!

Takie wspomnienia pozostają na zawsze. Ważne wspomnienia, bo szkoła, to przecież początek naszego dorosłego życia. Można odnaleźć w nich odpowiedzi na wiele pytań, jakie sobie zadajemy.

Przechodząc obok mojej szkoły, nieraz miałem ochotę, by nacisnąć klamkę i zajrzeć do środka, zobaczyć co się tam przez te dwadzieścia lat zmieniło, choć na moment usiąść w drugiej ławce w środkowym rzędzie i... Zawsze rezygnowałem tuż przed drzwiami. Dlaczego? Może bałem się, że i teraz ktoś wywoła mnie niespodziewanie do tablicy? Może — groźnej miny woźnego, który zapyta: a pan tu czego? A może tych spodziewanych i niespodziewanych zmian? Sam nie wiem. Ale pokusa była tak silna, że w końcu jednak musiałem jej ulec.

2.

Szkoła Podstawowa nr 42 jest najstarszą w dzielnicy Łódź-Górna. Powstała w sierpniu 1914 roku jako Polska Szkoła Miejska nr 42 i początkowo mieściła się przy ulicy Wiznera 25. W dwa lata później przeniesiono ją do budynku przy Szosie Pabianickiej 8, a w 1918 roku — do innego, większego przy tejże samej ulicy. Zajmowała tam 9 sal lekcyjnych, 2 kancelarie, 2 szatnie i salę gimnastyczną. Zatrudniała 12 nauczycieli, którzy uczyli ponad 800 uczniów w 18 klasach. Zajęcia odbywały się na dwie zmiany, od 8 do 18.

W czerwcu 1924 roku rozpoczęła się budowa nowego gmachu szkolnego według projektu Wacława Kowalewskiego, który objął też kierownictwo nad całością prac

6

Tylko władze Zakopanego nie wierzą w sukces i czekają na porażkę

Fenomen pod Giewontem

MAREK KOPROWSKI

Zakopiański Teatr im. Stanisława Ignacego Witkiewicza rozpoczął trzeci zaledwie sezon artystyczny, a juz trudno wyobrazić sobie Podhale bez tej instytucji. Wypełniona została dotkliwa dziura kulturalna w byłym kurorcie, zaludniana od czasu do czasu wędrującymi po Polsce artystami estradowymi, którzy uważają, że człowiek na urlopie myśleć nie musi i potrzebuje rozrywki jak najgłupszej.

Teatr zakopiański, z propozycjami artystycznymi wysokiego lotu, traktuje widza poważnie i z szacunkiem. Efektem są nadkomplety na widowni, tłumy przed teatrem, sprzedane bilety na wiele przedstawień do przodu. Często sporo osób musi odejść z niczym, mimo iż zasadą teatru jest zapewnienie miejsca wszystkim chętnym. Pojemność widowni nie jest jednak nieograniczona. Ten oczywisty sukces jest udziałem grupy absolwentów krakowskiej Szkoły Teatralnej, którzy przed dwoma laty zjechali do Zakopanego, z precyzyjnie przemyślanym pomysłem na teatr. To cechuje zespół i dzisiaj — i — myślę, wyróżnia spośród innych, nawet tych szacownych i pewnych siebie firm teatralnych: dokładne przygotowanie i przemyślenie każdego posunięcia (nie tylko artystycznego) dotyczącego teatru.

Słyszałem niedawno od człowieka głęboko tkwiącego w branży, że

przyczyną upadku teatrów polskich jest głupota i lenistwo aktorów, lekceważących swoją publiczność,

a także to, że rytm premier zależy nie od wydolności i gotowości reżyserów, a od niewydolności i niesumienności krawców, szewców i innych pracowników technicznych.

— *Wszyscy o tym wiedzą, lecz nikt nie ma odwagi powiedzieć głośno, że tak jest* — nie wymienię nazwiska autora tych słów, by nie przyczynić się do rozszarpania go przez szczególnie zadufanych w sobie aktorów scen polskich.

W Teatrze im Stanisława Ignacego Witkiewicza ten problem nie występuje. Niewielki zespół liczy 18 osób (w tym 9 aktorów i tylko 2 pracowników technicznych), większość wszystkich prac wykonuje wspólnie. Aktorzy pomagają przygotowywać scenę i widownię i robią to prawie codziennie, bowiem każde przedstawienie dzieje się w innej przestrzeni scenicznej, w innej sali, w innym ustawieniu miejsc dla publiczności. Gdy aktor nie gra i „ma wolne", staje przy wejściu i wpuszcza publiczność, informuje, pełni dyżur w foyer. Po zakończeniu spektaklu kto chce zostać — zostaje i przy ogromnym stole z marmurowym blatem toczą się rozmowy o teatrze, sztuce i życiu do późnych godzin nocnych lub wczesnych rannych. Wtedy członkowie zespołu parzą herbatę dla gości, odpowiadają na ich pytania, włączają się do dyskusji, po prostu są świetnymi gospodarzami. Udział w takich posiadach wziąć może każdy widz, nie tylko „*krewni i znajomi królika*", nie tworzy się więc zamknięta kasta herbaciarzy, teatr jest otwarty dla wszystkich i to dosłownie.

Prym wiedzie oczywiście Andrzej Dziuk, kierownik artystyczny Teatru, człowiek niezmordowany, bo pasją jego życia jest teatr, a teatr jego życiem. Przychodzi pierwszy, wychodzi ostatni, gdy świt tuż za horyzontem. A potem dzień jego (i zespołu) pracy wygląda mniej więcej tak: przed południem próba, po południu przygotowanie do wieczornego spektaklu, spektakl (w kilku Andrzej Dziuk występuje, choć, jak sam mówi, nie jest aktorem), po spektaklu znów próba, a potem rozmowy, rozmowy...

Często bierze w nich udział Julia Wernio — reżyser Teatru (jej dziełem jest m.in. znakomita „Historia" Witolda Gombrowicza), dziewczyna piękna, inteligentna, o urodzie egipskiej kapłanki. Dyskusje o sztuce, teatrze, roli artysty (odwieczne dylematy twórców) są poważne i niezwykle kulturalne, choć gorące. Nawet gdy głos wibruje z emocji, a napięcie powoduje drżenie strun, nie zostają przekroczone bariery taktu i dobrego smaku. Nie znaczy to, że unika się ostrych sformułowań i nie dochodzi do spięć i starć. I owszem, bardzo często. Wszystko jednak w granicach kultury słowa.

Cechą całego zespołu jest coraz rzadziej spotykana — niestety — kultura bycia i niezwykły takt. Dawno nie udało mi się spotkać grupy młodych przecież ludzi o tak wielkiej kulturze osobistej i, co może ważniejsze, o tak dobrym opanowaniu niełatwej przecież sztuki konwersacji, co w przypadku ludzi młodych jest czymś zupełnie niezwykłym. Jeden z uczestników nocnych rozmów powiedział: — *„jest to jedno z niewielu miejsc, gdzie chce się rozmawiać poważnie"*. Święta prawda. A nad wszystkim unosi się duch osobowości Andrzeja Dziuka. Brzmi to może patetycznie, ale co zrobić, gdy widoczne jest to i odczuwalne aż nadto wyraźnie.

Od początku istnienia nikt zespołu nie opuścił.

To też ma swoją wymowę. Teatr otrzymuje coraz więcej ofert od ludzi chcących z nim pracować lub współpracować. A niełatwo zostać członkiem tego zespołu, gdyż sam talent aktorski nie wystarcza. Trzeba posiadać jeszcze kilka innych cech wyróżniających ludzi z Teatru im. St.I. Witkiewicza, a także myśleć o teatrze i rozumieć go podobnie jak oni. O wszystkim decyduje Andrzej Dziuk, o którym mówi się, iż wszystko, co robi ma przemyślane do najdrobniejszego szczegółu oraz to że każdy swój zamysł potrafi konsekwentnie i uparcie realizować. Życie potwierdza prawdziwość tych opinii.

W czasie pobytu w Zakopanem obejrzałem trzy przedstawienia Teatru. Przez trzy dni z rzędu, codziennie inny spektakl. Dni tygodnia mają duże

7

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Henryk Pustkowski
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc. Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz Andrzej Kempa, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 3088. H-10.

Przegląd prasy

Na czwartym posiedzeniu Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa kontynuowano dyskusję nad opracowaniem Jana Szczepańskiego pt. „Od diagnoz do działań". Głos zabrały 24 osoby. Obrady prowadził Wojciech Jaruzelski. Stenogram wszystkich wystąpień zawiera kolejne wydanie specjalne „RADY NARODOWEJ" (nr 4).

Niektórzy mówcy bardzo ostro krytykowali politykę gospodarczą, społeczną, kulturalną, wskazywali zjawiska patologiczne i zgłaszali radykalne postulaty. Przede wszystkim oskarżano tzw. decydentów i biurokrację. Socjolog prof. Zbigniew Wierzbicki mówił:

„Obserwujemy od wielu lat zachwianie równowagi sił społecznych i władz. Struktury technobiurokratyczne są wszystkim, pozostałe prawie niczym. O naszym losie i życiu w dużym stopniu decyduje anonimowa technobiurokracja, która się rozrosła w silną wpływową warstwę, decydującą o innych i za inne struktury społeczno-zawodowe, np. biologiczne, lekarskie, pedagogiczne, rolnicze (wyjąwszy tutaj kierownictwa PGR, które zaliczam do technobiurokracji), prawnicze, leśne, ekologiczne itd. Porównałbym naszą technokrację — toutes proportions gardées — do ukraińnych królewiąt, którzy w XVIII wieku zgubili państwo polskie, gdy obecna prowadzi do zagłady społeczeństwa".

NEGATYWNA OCENA WŁADZY

przede wszystkim terenowej występuje w wielu głosach. Biurokracja postrzegana jest jako źródło wszelkiego zła, siła utrudniająca rozwój i deprawująca społeczeństwo. Między władzą a społeczeństwem jest przepaść. W ten sposób widzą sytuację w naszym kraju szczególnie działacze katoliccy. Na przykład Julian Auleytner stwierdził:

„Rada wciąż stoi przed odpowiedzią na pytanie, co się stanie z narodem, który nadal nie ma zaufania do władzy, a problem zaufania jest sprawą zasadniczą. Wciąż brak jest wiary, że to wszystko, co się robi, przyniesie radykalne zmiany, odwróci kryzys. Problem dotyczy przyszłości, ale rozgrywa się dziś. Rozgrywa się dziś w postaci błędów, o których na naszym posiedzeniu była i wciąż jest mowa. Nadal podajemy konkretne przykłady, wskazujące na dalsze osłabienie wiarygodności władzy terenowej, wskazujące na samowolę, sobiepaństwo nieodpowiedzialnych urzędników".

Zdaniem J. Auleytnera przyszłość Polski wymaga myślenia opozycyjnego. Nie wiadomo dlaczego traktujemy opozycję jako coś niepożądanego, jednolitego i niezmiennego. A tymczasem istnieją różne opozycje, których koncepcje podlegają ewolucji. Kultura polityczna stawia przed nami problem instytucjonalizacji i legalizacji działalności opozycyjnej. Problem ten wiąże się z kwestią młodego pokolenia.

„Nasza młodzież w swojej większości nie utożsamia się, co wskazują badania, z istniejącym systemem. Jeżeli więc chcemy mówić o przyszłości naszego kraju, to musimy odpowiedzieć na pytanie o perspektywy młodzieży. Jak ma wyglądać ta dalsza przyszłość z punktu widzenia artykulacji interesów młodego pokolenia".

Czy problemy opozycji i młodzieży rzeczywiście łączą się w logiczną całość? Polemizował z tym Stanisław Kwiatkowski. W maju 1987 roku CBOS pytało maturzystów i uczniów kończących zasadnicze szkoły zawodowe, czy po dotychczasowych doświadczeniach warto dalej budować socjalizm w naszym kraju? Uzyskano następujący rozkład odpowiedzi: tak — 59,3 proc., nie — 24,8 proc., trudno powiedzieć — 3,9 proc., inne zdanie — 11,0 proc. Młodzi respondenci ocenili też dorobek ustroju socjalistycznego w Polsce: przyniósł więcej korzyści niż strat — 32,2 proc., tyle samo korzyści co strat — 37,7 proc., więcej strat niż korzyści — 23,2 proc., trudno powiedzieć — 2,7 procent. W sprawie opozycji i przeciwników socjalizmu 37,1 proc. było za ograniczeniem działalności, 29,8 proc. za zwalczaniem wszelkich jej przejawów, a 19,5 proc. za umożliwieniem działalności bez ograniczeń.

INNE KONTROWERSJE

dotyczyły spraw światopoglądowych. Nie wszyscy zgodzili się z poglądem referenta, że wpływ Kościoła na postępowanie wiernych w życiu codziennym jest niewielki. Niektórzy podkreślali znaczenie katolicyzmu i religijności polskiej. Na to Jan Szczepański odpowiedział w słowie końcowym:

„Nasza religijność i wierność Kościołowi jest raczej przedmiotem drwin niż podziwu w krajach kapitalizmu, charakteryzujących się obojętnością wobec religii. Łatwiej w prasie, telewizji, radiu i w książkach spotkać pogardę tego wszystkiego co polskie niż słowa uznania. (...) Patrząc z pozycji innowiercy i socjologa na te stosunki w kraju, i to od lat międzywojennych, oceniając sytuację i Kościoła, i grup wyznaniowych, nie chciałem nikogo urazić, gdyż rozumiem dobrze wszelkie postawy religijne. Sądzę, że ateizm był raczej nieszczęściem dla socjalizmu, gdyż nie tylko nie przyczynił się do rozwiązania jakiegokolwiek problemu politycznego, socjalnego czy gospodarczego, natomiast wplątał partię w niepotrzebne konflikty z Kościołem i religijnym społeczeństwem. Ogromna suma energii społecznej i politycznej została skierowana na walkę z religią, zupełnie bezproduktywnie. Czy wizyta papieża spełniła oczekiwania, którym daliśmy wyraz w deklaracji przyjętej na poprzednim zebraniu? Nie wiem, ale osobiście bardzo wątpię".

Na zakończenie posiedzenia zabrał głos Wojciech Jaruzelski. Podkreślił on, że nie można oceny naszej sytuacji gospodarczej sprowadzać do wizji katastroficznej. W minionych kilku latach mieliśmy również osiągnięcia, uzyskaliśmy wyraźny postęp. Krytyka powinna być ostra, lecz wyważona, uwzględniająca całość sytuacji. Wyłącznie negatywne opinie są niesprawiedliwe i krzywdzące, znieważają trud polskiego społeczeństwa.

„Nie o hamowanie krytyki — czytamy — przecież chodzi. Na odwrót — powinna być ona konkretna i ostra. Natomiast uważam, że utrwalenie mentalności kryzysowej daje pożywkę jałowemu cierpiętnictwu, demobilizuje, paraliżuje, prowadzi do opuszczania rąk. Zwrócenie na to uwagi uważam za swój obowiązek. (...) To samobiczowanie wywołuje czasami wręcz zdziwienie. Np. Bank Światowy czy Międzynarodowy Fundusz Walutowy — a jak wiemy ich spojrzenie na gospodarkę jest bardzo rygorystyczne — oceniają niejednokrotnie nasze wysiłki bardziej obiektywnie niż my to robimy. W materiałach opracowanych właśnie przez Bank Światowy można znaleźć dość interesującą uwagę. Otóż jego eksperci stwierdzają, że w warunkach, w których znalazła się Polska — nie doszło jednak do hiperinflacji, do załamania polityki socjalnej, do bezrobocia, które na Zachodzie zwłaszcza w takich sytuacjach osiąga szczyty".

Paradoksem jest, że wybitni katolicy w Polsce proponują wprowadzenie bezrobocia, a tymczasem papież Jan Paweł II potępia wszędzie to zjawisko. Bezrobocie nie w każdym kraju dobrze służy gospodarce. Wystarczy popatrzeć na Amerykę Południową, Portugalię, Grecję czy Jugosławię.

ZADZIWIAJĄCE EFEKTY

przyniosła reforma ekonomiczna w Chińskiej Republice Ludowej. Przedstawił je na łamach „TRYBUNY LUDU" (nr 229) dyrektor „Renmin Ribao", organu KC KPCh, Qian Liren. W latach 1979—1986 wartość globalna produkcji rolnej zwiększała się o 6,6 proc. rocznie, a produkcja przemysłu wzrastała średnio aż o 11,5 procent.

„Obecnie miliardowy naród chiński w przytłaczającej większości jest już dożywiony i ciepło odziany. Sytuacja w zaopatrzeniu w artykuły codziennego użytku uległa gruntownej zmianie".

Chińczycy utworzyli cztery specjalne strefy gospodarcze, ogłosili 14 otwartych miast portowych oraz ponad 100 innych miast otwartych. Na całym wybrzeżu od południa do północy istnieje (kilka tysięcy kilometrów) otwarty pas. Obszar ten ma przyciągnąć kapitał zagraniczny, nowoczesną technologię i kadry inżynieryjno-techniczne. Małe miasto Shenzhen zawarło już ponad 5 tys. umów z inwestorami pochodzącymi z przeszło 20 krajów i rejonów świata. W krótkim czasie przekształciło się w nowoczesny ośrodek przemysłowy. Produkty działających tu ponad 1100 przedsiębiorstw w 40 proc. eksportowane są na rynki zagraniczne.

Dynamicznie rozwijają się także niektóre inne państwa Wschodu. A jakie szanse w przyszłości ma Europa? Na to pytanie próbuje odpowiedzieć w miesięczniku „ODRA" (nr 9) prof. Jan Szczepański.

„Demograficznie kilkaset milionów Europejczyków stoi twarzą w twarz z kilkoma miliardami mieszkańców innych kontynentów, których liczba stale rośnie, podczas gdy ludność Europy jest prawie stacjonarna. Technicznie i naukowo USA i Japonia wyprzedzają narody europejskie. (...) Wielki potencjał intelektualny i kulturalny Europy był i jest drenowany przez bogatą Amerykę, albo przez kraje, które wydają się bezpieczniejsze, jak Kanada, Południowa Ameryka i Australia. Cywilizacja techniczna Europy zmieniła się w cywilizację konsumpcji, co stawia narody europejskie w sytuacji trudnej wobec narodów Azji czy Afryki, umiejących żyć na niskim poziomie konsumpcji i równocześnie pracować o wiele wydajniej niż Europejczycy. Zarysowujący się stan rzeczy można określić z pewną przesadą. W porównaniu z Japonią, która jest krajem bardzo bogatym, ale złożonym z niebogatych obywateli, wysoko rozwinięte kraje Europy są biedne, chociaż mają bogatych obywateli. Narody innych kontynentów górują nad Europą zdolnością do wyrzeczeń i samoograniczeń".

W procesie integracji narodów europejskich — w tym także socjalistycznych — duże znaczenie ma likwidacja tzw. białych plam. Historyk radziecki Jurij Afanasjew uważa, że w dziejach stosunków polsko-radzieckich może

PRZEDE WSZYSTKIM KATYŃ

wymaga wyjaśnienia. W bardzo interesującej rozmowie ze Sławomirem Popowskim opublikowanej w ostatniej „POLITYCE" (nr 40) rektor moskiewskiego Państwowego Instytutu Historyczno-Archiwalnego mówi:

„Uważam, że po prostu nie może być żadnych wyjątków, niezależnie od tego jakie by to nie były problemy — choćby były one bardzo, ale to bardzo trudne. Wszystko jedno, wcześniej czy później prawda i tak stanie się dostępna dla wszystkich i historycy są zobowiązani uczynić wszystko, aby stało się to możliwie najwcześniej. Nie potrafię wymienić żadnego problemu z dziejów naszych polsko-radzieckich stosunków, od którego należałoby uciekać. Nawet Katyń, a może przede wszystkim Katyń — to problem, którym obowiązkowo powinni się zająć historycy — i polscy, i radzieccy. Wspólnie. Tam natomiast, gdzie oddzielnie będą potrafili dojść do prawdy — również powinni to czynić. Przecież nie jesteśmy dziećmi, ani ludźmi ślepymi. Czyż nie wiemy, że w historii naszych narodów było dużo i bardzo złożonych okresów, które nie pomagały w umocnieniu przyjaźni i współpracy? Jeśli zamkniemy oczy na te problemy, jeśli w jakiś sposób odsuniemy się wspólnie od tych trudnych okresów, wówczas nie będziemy w stanie pomóc temu, czemu pomagać jesteśmy zobowiązani — życiu w tym konkretnym świecie, we wspólnocie socjalistycznej, na zasadach na jakich żyć powinni kulturalni i wykształceni ludzie".

E.L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Nasz Wersal

Za dżentelmena (kiedy używano w Polsce tego określenia) uchodził człowiek, który bez względu na okoliczności postępował zawsze w zgodzie z zasadami dobrego wychowania, przynajmniej w stosunku do innych dżentelmenów. W Wersalu za Ludwików wprawdzie cuchnęło moczem, ale przestrzegano wytwornych form towarzyskich (rzecz jasna, iż tylko wobec równych lub wyższych stanem). Wydawałoby się, że francuski rojalistyczny Wersal zaniknął, a angielscy dżentelmeni wymarli ze szczętem, że nikt i nic nie jest w naszych czasach synonimem dobrych manier. A jednak...

Podziwiałem w telewizji czterech naszych znakomitych dziennikarzy, bywałych na szerokim świecie, w jak wytwornym, dyplomatycznym stylu z dawno minionych epok komentowali telewizyjne wystąpienie wiceprezydenta wielkiego mocarstwa, który zapragnął dać publicznie wyraz swoim płomiennym uczuciom wobec polskiego społeczeństwa i naszego państwa. Luminarze polskiej żurnalistyki sprawiali wrażenie zażenowanych, że przypadło im zgłosić zastrzeżenia do niektórych enuncjacji przedstawiciela państwa, które mieni się ostoją swobód obywatelskich i gwarantem wolności narodów.

Nasi dziennikarze, owszem, wytknęli w oględnych słowach Dostojnemu Gościowi, iż mimo złożonej na wstępie swego wystąpienia deklaracji, że jest przeciwnikiem pouczania innych narodów, jaką drogę powinny obrać, zaraz w następnym zdaniu i w kolejnych nie szczędził nam pouczeń, np. na temat pluralizmu w Polsce, który (domyślamy się) dogadzałby mocarstwowym interesom ojczyzny Pana Wiceprezydenta, żeby, jak usłyszeliśmy niemal wprost, zasłużyć sobie na zaufanie i życzliwą pomoc ze strony narodu i rządu reprezentowanego przez Dostojnego Gościa. Dyskutujący przed kamerami publicyści zechcieli nawet zwrócić uwagę na fakt, iż zaoceaniczny mąż stanu nie sprecyzował bynajmniej jakiego rodzaju i w jakim wymiarze pomoc miałoby społeczeństwo polskie uzyskać w zamian za posłuszeństwo wobec jego zaleceń, ale wrodzona delikatność nie pozwoliła żadnemu z czterech rozmówców określić tego passusu przemówienia jako dość brutalnego szantażu, sprzecznego i z prawem, i dobrym obyczajem międzynarodowym, jak go sobie my prowincjusze wyobrażamy.

Oczywiście, we wspomnianej dyskusji nie mogło zabraknąć słów dyskretnej dezaprobaty dla obłudnego przecież zapewnienia Gościa iż cały jego naród wraz z najwyższym przywódcą cierpieli ogromnie nad wyrzeczeniami, jakie musieli Polacy ponieść wskutek sankcji gospodaczych, nałożonych na nasz kraj przez grupę zachodnich państw. Ale nie padło w telewizji w związku z tym określenie „krokodyle łzy", może dlatego, iż nauka nie stwierdziła, czy krokodyle naprawdę płaczą, kiedy zabierają się do pożerania ofiary.

Ogólnie biorąc, wybitni przedstawiciele polskiego dziennikarstwa baczyli pilnie, by w swoich ugrzecznionych lansadach nie pośliznąć się na posadzkach dyplomatycznego salonu, inaczej mówiąc — studia tv, któremu na ten czas przypadła rola nadwiślańskiego Wersalu, wyrażali przy tym gorące życzenie, by Dostojny Gość nadal wyzbywał się swoich krzywdzących nasze państwo iluzji, co było aluzją do jego własnych słów o iluzjach, słowem czynili wszystko, by być w oczach Gościa comme il faut.

Zapewne z tego też powodu nie padło ani jedno krytyczne słowo z powodu spotkania Gościa z pewną osobą z opozycji, kreowaną przez zachodnie mocarstwo (może z braku lepszej kandydatury) na męża opatrznościowego narodu polskiego, choć skłonny on był, jak pamiętamy, raczej do bijatyki niż rokowań.

Nasi niewątpliwi i stuprocentowi dżentelmeni zmilczeli też demonstracyjny fakt odwiedzin przez naszego Gościa grobu zamordowanego duchownego, mimo iż tak dobrze poinformowana osoba, jak wiceprezydent wielkiego mocarstwa, wie, iż nie był to męczennik za wiarę, zamordowano go bowiem nie za to, że był kapłanem, lecz głosicielem (pamiętamy jego teksty) zgoła niechrześcijańskiej nienawiści do inaczej myślących, a zamordowali go w sposób haniebny politycznej ekstremiści, co było zresztą prowokacją, mającą być może zachwiać zbyt liberalnym (w mniemaniu zabójców) systemem władzy PRL.

Być może polemika z tezami wystąpienia Gościa była dla naszych, wytrawnych przecież publicystów zbyt dziecinnie łatwa i czuli się zakłopotani samą możliwością strzelania z armat do wróbli. Ale nie dałbym głowy, czy nasi dyskutanci nie ulegają złudnemu przeświadczeniu ludzi doskonale wychowanych, że dobrymi manierami da się pozyskać nawet przedstawicieli wielkiego businessu, który czerpie zyski z zimnowojennej zbrojeniowej koniunktury i że Dostojny Gość w zaciszu czterech ścian pomyśli sobie: „Jacyż tam u nich mili, dobrze wychowani ludzie. Dajmy im pożyć w spokoju i dostatku..."

Jako zatwardziały prowincjusz nie ufam takim wielkoświatowym subtelnościom.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— **Niby najlepszymi fryzjerami męskimi w Łodzi są panowie z ulicy Sienkiewicza, ja tymczasem preferuję anonimowe mistrzynie ze spółdzielni przy ulicy Piotrkowskiej. Mają dziewczyny dryg i właściwe, płciowe że tak powiem spojrzenie na twarz i głowę mężczyzny, i niejeden święcił dzięki nim miłosne sukcesy — pisze REMIGIUSZ CAŁOPAŁEK**

— **Reakcje kobiet podczas orgazmu zależą najprawdopodobniej od ich temperamentu. Ale jakoś tak jest, że rozkosz seksualna najłatwiej wywołuje płacz i łzy, a nigdy śmiech. Jeśli ten ostatni się zjawia, to już musi być bardzo źle, nienormalnie... — stwierdza w kolejnym eseju MIROSŁAWA SARBIŃSKA.**

— **Niegdyś nad Syr-Darią i Jeziorem Aralskim istniało potężne państwo o nazwie Turan lub Kang. Posiadało dużo złota i wielkie stada bydła. Nad jeziorem Issyk-Kul znaleziono niedawno, podczas wykopalisk archeologicznych, arcydzieło sztuki jubilerskiej, unikat w skali światowej — opowiada WASYLOWI KOCZNOWOWI baszkirski poeta i dramaturg.**

— **Wieluńscy harcerze zawsze mieli smykałkę do budownictwa. Przed wojną postawili „Domek Harcerza". Po wojnie go odbudowali i postawili obok hangar, w którym trzymali prawdziwy szybowiec. Harcerze z Liceum Pedagogicznego w Wieluniu wybudowali Ośrodek Sportów Wodnych w Krzeczowie nad Wartą. Harcerze budowali też drogę do Załęcza Wielkiego, gdzie teraz znajduje się Centralna Szkoła Instruktorów Harcerskich — artykuł LUCJUSZA WŁODKOWSKIEGO.**

RYSZARD BINKOWSKI

Pogodzić małe z dużymi

W Polsce Ludowej lobby rolnicze przemykało jak meteoryt i pojawiało się zwykle po zakrętach historycznych. Zapalało się zielone światło dla rolnictwa, ale gdy tylko sytuacja na rynku żywnościowym nieco się poprawiła, zielone światło gasło.

Przez dziesiątki lat rolnictwo indywidualne traktowano jako coś przejściowego, niczym swego rodzaju skansen w modelu gospodarki socjalistycznej. Na średniaków patrzono z pobłażliwością, natomiast rolnicy aktywni, próbujący modernizować i powiększać swoje gospodarstwa, osiągający wysokie dochody, nie cieszyli się specjalnym uznaniem. W niektórych kręgach prominenckich ich poczynania rodziły widmo odradzania się kapitalizmu na wsi.

Drugim najpoważniejszym błędem polityki rolnej było uznanie drobnotowarowej gospodarki chłopskiej za sektor nierozwojowy, którego nie należy unowocześniać. Skutki tego są takie, że mamy dziś 2,8 mln gospodarstw o średniej powierzchni 5,6 ha, bo od 30 lat struktura agrarna nie uległa zmianie. A prawdę mówiąc, to rozdrobnienie zwiększyło się, tak, że 59 proc. gospodarstw stanowią gospodarstwa do 5 ha, przy czym i te składają się często z 15 kawałków.

Towarzyszy temu zróżnicowanie gospodarki chłopskiej pod względem poziomu i jakości produkcji. Dotyczy to nie tylko regionu, ale województwa, gminy i wsi. Bywa tak, że jeden zbiera więcej ze słabszych gleb niż drugi z lepszych. Wiele gospodarstw państwowych i spółdzielczych oraz rolników indywidualnych zbiera ponad 50 kwintali zbóż z ha, a najbliżsi sąsiedzi nie wyciągają nawet połowy.

Ktoś wyliczył, że chłopska krowa daje rocznie średnio 2.700 litrów mleka, natomiast pegeerowska 3.900 litrów. Ale statystyka pomija sprawy nieprzeciętne. Bo np. dobrzy rolnicy indywidualni wydoją 5 tys. litrów mleka, a w spółdzielni produkcyjnej wycyckają zaledwie 2 tys. l. z krowiny.

Wydaje się więc, że abyśmy się sami mogli wyżywić, należałoby przede wszystkim zniwelować różnice w produkcyjności ziemi i zwierząt, co można osiągnąć m. in. poprzez wzrost oświaty rolniczej, unowocześnienie gospodarki chłopskiej i pełne wyposażenie jej w niezbędne środki produkcji.

Jednakże

przeciwnicy chłopskiej gospodarki drobnotowarowej postulują prostsze i bardziej radykalne rozwiązanie.

Ot, zlikwidować małe gospodarstwa i po kłopocie. I trzeba przyznać, iż przytaczają ważkie argumenty przemawiające na korzyść swej koncepcji. Np. że chłopi posiadają 700 tys. traktorów, które wykorzystane są w granicach 40 proc. To samo dotyczy innych maszyn, takich jak wiązałki, prasy zbierające itp.

Byłaby to słuszna uwaga, gdyby nie fakt, że ciągnik może nabyć tylko właściciel 8 ha. I taki szczęściarz świadczy usługi sąsiadom, drobniejszym rolnikom, i to nawet w sezonie zimowym, przywożąc im węgiel, pasze, nawozy, gdy GS nie nadąża z transportem. Podobnie rzecz się ma z wykorzystaniem maszyn żniwnych.

Prawdą jest, że 55 proc. gospodarstw nie posiada żadnej siły pociągowej i że wielu jeszcze rolników nie legitymuje się odpowiednimi kwalifikacjami. Nie można jednak stwierdzić jednoznacznie, że stosuje się tam wyłącznie prymitywne metody z epoki bosonogich kmieci, co przyczynia się do wzrostu kosztów i energochłonności.

Niedoinwestowanie chłopskiego rolnictwa w przeszłości sprawia, że dziś koszty produkcji są u nas trzykrotnie wyższe niż w EWG. Ale jakże może być inaczej, skoro w Polsce 30 proc. ogółu zatrudnionych pracuje w rolnictwie, a w Holandii tylko 5 proc.? U nas 1 rolnik pracuje na wyżywienie 3 osób, a tam 1 rolnik produkuje żywność dla 20 osób.

Przeciwnicy małych gospodarstw twierdzą, że rozdrobnienie blokuje postęp. Czemuż więc w takiej np. Japonii na miniaturowych działkach osiąga się wyższe plony niż u nas? Czy tylko rozdrobnienie wpływa na to, że w gospodarce chłopskiej zbiera się średnio 20—25 q zbóż z ha, a w NRD 45 q/ha, podczas gdy my dopiero w ub. roku osiągnęliśmy rekord Polski Ludowej — 30 q/ha?

Mówi się, że drobne gospodarstwa posiadają znikomą zdolność do samoinwestowania. Należy jednak pamiętać, że wieś przyczyniła się do uprzemysłowienia kraju i do dziś korzysta z tego, chociaż nie w taki sposób, jakby się należało spodziewać. Po prostu zawsze ktoś z rodziny posiadającej małe gospodarstwo dorabia w przemyśle. I te zarobione pieniążki przeznacza na budowę domu, budynków inwentarskich i zakup maszyn, aby po pracy w fabryce bez wysiłku uporać się z robotą w gospodarstwie.

Chłop zawsze dużo pracował i zawsze prowadził gospodarkę oszczędną, bo leży to w jego charakterze i mentalności. I dzięki temu rolnictwo nasze jako pierwsze wyszło z kryzysu.

Gdyby przeciwnicy małych gospodarstw zajrzeli do informacji Banku Gospodarki Żywnościowej z 1985 r., dowiedzieliby się, że gospodarstw sprzedających państwu produkcję za ponad 1 mln zł było niespełna 200 tys., czyli 0,7 proc. ogółu. A więc o tym, ile mamy żywności, decydują przede wszystkim gospodarstwa drobnotowarowe.

Jest faktem bezspornym, że również w Polsce produkcja z 1 ha w gospodarstwach drobnych jest wyższa niż w gospodarstwach dużych. I nie dotyczy to tylko takich maleńkich specjalistycznych gospodarstw o profilu ogrodniczo-warzywniczym, kwiaciarskim czy drobiarskim. Produkuje się tutaj dużo i tanio, bo większość prac wykonuje się ręcznie. Gdyby małe gospodarstwa wyposażyć w miniaturowy, wysoce zmechanizowany sprzęt, zmalałoby zatrudnienie w rolnictwie i wzrosłaby produkcja.

Wydaje się, że małe gospodarstwa powinny dominować wokół średniej wielkości miast oraz w wielkich aglomeracjach. Dzięki temu świeża żywność mogłaby trafić szybko wprost na rynek. Byłbym i za tym, aby ziemię wypadającą z produkcji w podmiejskich gminach, szczególnie tę lichą, V i VI klasy, której nikt nie chce, przeznaczać pod kompleksy ogródków działkowych. Byłaby z tego wielokrotnie większa korzyść niżby tę lichą ziemię obsiewał żytem SKR lub rolnik indywidualny.

Cieszy fakt, że odkąd gospodarka indywidualna przestała być sektorem nierozwojowym, w latach 1981-86 przekazano następcom ponad 250 tys. gospodarstw. Martwi, że przekazujący liczy zazwyczaj 70 lat, a przejmujący średnio 35 lat. Następcy biorą często gospodarstwa podupadłe, a ceny są dziś takie, że trudno zdobyć się na inwestycje. Poza tym następca ciągnie nieraz złe tradycje, bo przejął gospodarstwo z musu. Albo dlatego, że nie miał mieszkania w mieście, albo z konieczności zaopiekowania się starymi rodzicami. I dlatego część drobnych gospodarstw trwa w stagnacji, nie dając dostatecznej ilości żywności.

Nie trzeba gniewnych postulatów,

ani drastycznych cięć administracyjnych, aby pozbyć się części drobnych gospodarstw. Bo reforma gospodarcza ma to do siebie, że w sposób naturalny eliminuje słabych. Wkrótce tysiące gospodarstw poniżej 10 ha, szczególnie tych nie doinwestowanych, stanie przed widmem bankructwa. Gdyby chciano wykorzystać tę sytuację, można by jeszcze przykręcić śrubę i w krótkim czasie zlikwidować małe gospodarstwa. Trzeba się jednak liczyć ze szkodami, jakie przyniosłaby ta akcja.

Bo już dziś wiadomo, że pogłębianie i utrwalanie zasad reformy gospodarczej musi doprowadzić do rozwarstwienia społecznego na wsi. A to z kolei sprawi, że zaostrzą się stosunki klasowo-warstwowe i zakłócona zostanie atmosfera spokoju społecznego. Takie są reguły gry ekonomicznej, że jedni siłą rzeczy wzbogacą się, drudzy zaś zbiednieją. Niektórzy nawet do tego stopnia, że trzeba im będzie zapewnić ochronę socjalną.

I tutaj właśnie zarysowuje się symptom zagrożenia. Znając bowiem tradycyjne przywiązanie chłopa do ziemi, można się spodziewać, że będzie on klepał biedę, lecz nie opuści gospodarstwa. A jeśli takich upadłych gospodarstw będą tysiące, to jasne, że skurczą się nam poważnie zasoby żywnościowe, bo produkcja rolna tych gospodarstw będzie znikoma.

Tak więc proces zmiany struktury agrarnej należy prowadzić ostrożnie i powoli. Być może zabrzmi to nieprawdopodobnie, ale w zachowaniu przy życiu małych gospodarstw, a tym samym w zapobieżeniu spadkowi produkcji rolnej, mogą pomóc gospodarstwa duże obszarowo.

Małorolny i średniak

stanowili zdrowy element w stosie pacierzowym klasy chłopstwa pracującego. Ale w pojedynkę każdy małorolny aktywista skazany był na zagładę. Świetlaną przyszłość mógł zapewnić rolnictwu tylko kolektyw, a więc spółdzielnia produkcyjna lub państwowe gospodarstwo rolne. Na czym polegała wyższość pracy kolektywnej nad systemem kapitalistycznym, najmłodsi mogli się dowiedzieć z filmu „Wielki bieg". Przed 35 laty rówieśnicy dzisiejszych nastolatków byli święcie przekonani, że kułak pracujący pojedynczo w gospodarswie o powierzchni 15 ha jest wrogiem socjalizmu.

Duże obszarowo gospodarstwo chłopskie stało się tak wstydliwym i niemiłym anachronizmem, że kułacy sami nabrali do siebie wstrętu. Natomiast prawie wszyscy chłopi nabrali uprzedzeń do innych form dużych gospodarstw, państwowych i spółdzielczych, widzieli bowiem, że jak się nie pracuje na swoim, to można bałaganić, kraść i zbierać z pola tyle co kot napłakał.

Powiedzmy sobie szczerze: te zjawiska nie wynikały li tylko z winy spółdzielców i pegeerowców. Jeżeli zebrano do kupy chłopską ziemię, tworząc na siłę spółdzielnię, lecz nie wyposażono spółdzielców w niezbędne do obróbki dużego areału maszyny, to nie mogło tam być dobrych wyników.

Co się zaś tyczy PGR, to do końca lat siedemdziesiątych obowiązywał tam system nakazowo-rozdzielczy. Wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi trzeba było siać i hodować nie to, co trzeba, i ponosić straty. Państwo do tego dopłacało, a chłop zza miedzy śmiał się lub zgrzytał zębami. Tym bardziej, że w spółdzielniach i pegeerach zdarzały się też przypadki bezmyślności i niegospodarności nie wynikające z odgórnych rozkazów. W gospodarstwach chłopskich także zachodziły podobne zjawiska, ale gospodarstwa państwowe i spółdzielcze zawsze były na cenzurowanym, bo one miały przecież świecić przykładem.

Mimo oczywistego faktu, że mieliśmy także bardzo dobre duże gospodarstwa, zarówno państwowe, spółdzielcze, jak i chłopskie, to w latach siedemdziesiątych duże gospodarstwa traciły na popularności. Po pierwsze, tak jak na początku lat pięćdziesiątych, zabierano chłopom ziemię, tym razem dzierżawioną z PFZ, i przyłączano do PGR, tworzonych na siłę spółdzielni produkcyjnych. Spółdzielni Kółek Rolniczych, a także chłopskich gospodarstw specjalistycznych. I wszystkie te formy gospodarstw były przez państwo faworyzowane, chociaż częstokroć przynosiły straty.

Na domiar złego w latach siedemdziesiątych zatriumfowała gigantomania. Powstawały olbrzymie, zautomatyzowane betonowe fermy, do których pasze sprowadzało się za dolary. Niekiedy dochodziło tam do epidemii, tragicznych wypadków i olbrzymich strat. A ile nacierpią się w tych betonowych bunkrach zwierzęta, zanim pójdą pod nóż...

Istnieje dziś w Polsce olbrzymi kombinat rolny,

Igloopol Dębica, który ma się tak dobrze, że wkrótce będzie gospodarować chyba na 50 tys. ha, ale tam nie tylko hoduje się zwierzęta i uprawia ziemię, ale i przetwarza płody rolne, buduje domy, naprawia, prowadzi usługi stolarskie, produkuje lody, pędzi alkohol, rozlewa piwo do flaszek itp. Byłoby dobrze, gdybyśmy poprzestali na jednym kolosie w Dębicy. Bo potrzebne są nam duże gospodarstwa, o powierzchni dochodzącej do kilku tysięcy hektarów, ale o charakterze typowo rolniczym.

Polityka rolna lat osiemdziesiątych, podjęta przez rząd, a zaprogramowana przez partię robotniczą i chłopską, położyła kres podziałom, antagonizmom i szczególnym preferencjom, gdyż wszystkie sektory zostały zrównane pod względem szans, praw i obowiązków. Można nawet stwierdzić przekornie, że wzgardzony ongiś kułak został przywrócony do łask, a co więcej — lansuje się dziś typ rolnika-farmera. Nie ma w tym przesady, gdyż państwo stosuje dziś zasadę nagradzania rolników produkujących w tych samych warunkach więcej i taniej niż pozostali. W dłuższej perspektywie polityka ta, pozwalająca najlepszym korzystać z kredytów, ulg podatkowych i dotacji, a to poprzez nabywanie dóbr i usług dotowanych, doprowadzi do eliminacji producentów mało efektywnych i do tworzenia gospodarstw dużych, bo towarzyszyć temu będzie także możliwość zwiększania areału.

Skutki tej nowej polityki rolnej są już widoczne, i to nie tylko w sferze ekonomicznej, ale i nastrojów oraz atmosfery społecznej. Odkąd pegeery stały się samodzielne, nikt się już nie śmieje z ich gospodarowania. Dziś rolnicy podglądają pegeerowców, oni zaś wzorowych rolników, i uczą się wzajemnie od siebie. Podobnie jest ze spółdzielniami produkcyjnymi, gdzie obowiązuje nowe prawo spółdzielcze. A kto sobie nie radzi, ten idzie z torbami. Są jednak i zbawienne skutki reformy gospodarczej. Nawet w województwie łódzkim jest takie niewielkie gospodarstwo państwowe, które przed trzema laty borykało się z 10 mln deficytu, a dziś przynosi już dochód.

Poprawa struktury obszarowej i zmodernizowanie gospodarki chłopskiej może nastąpić poprzez przepływ ziemi z gospodarstw słabych do najlepszych ekonomicznie. Proces ten jednak z różnych względów musi przebiegać wolno. Chłopski zapis w Konstytucji, równe traktowanie sektorów rolnictwa oraz zwiększone dostawy środków produkcji (chociaż wciąż jest ich za mało) powodują, że część gospodarstw chłopskich uległa zwiększeniu.

Wiadomo, że ciągnik opłacalny jest w gospodarstwie dopiero na 15 ha. Wiadomo, że im więcej masz ziemi i maszyn, tym więcej produkujesz i większy masz dochód, a tym samym i podatek staje się mniej dotkliwy. Jeżeli wozak zbiera po bańce mleka z 20 małych gospodarstw, jeśli w tych gospodarstwach kombajn sprząta zboże, tracąc paliwo i czas na dojazdy, zakręty itd. i jeśli z tych gospodarstw trzeba dwadzieścia razy odwozić zboże do punktu skupu, to staje się to szalenie kosztowne, bo doprowadza także do marnotrawienia płodów rolnych już w transporcie. A do farmera na 100 ha, który np. hoduje krowy, przyjedzie po mleko cysterna i kłopot z głowy.

Z badań GUS wynika, że blisko 1/4 gospodarstw chłopskich osiąga z produkcji rolniczej takie dochody, że 40 proc. przeznacza na inwestycje, modernizując i powiększając gospodarstwa. A przecież większe gospodarstwo to lepsze warunki do wzrostu produkcji, to możliwość stosowania nowych technik i technologii. I każdy światły rolnik do tego właśnie zmierza, bo reforma rolna sprzyja nowoczesnym, dużym, wydajnym gospodarstwom.

Sęk w tym, że rolnicy, szczególnie ci z mniejszych gospodarstw, natrafiają na liczne przeszkody. Nie stwarza ich polityka rolna państwa, lecz uciążliwa wciąż biurokracja i zły, przestarzały system kontraktacji i skupu, a także słaba operatywność zakładów przetwórczych i mnogość pośredników czerpiących zyski z pracy chłopa. Zdarza się, że odbiorcy płodów rolnych nie przyjmują od chłopa tego, co zakontraktował, albo kupują nadwyżki poza kontraktacją, ale po niższej cenie. Poza tym zakłady przetwórcze nie dbają specjalnie o producenta. Wydaje się jednak, że reforma zmusi je do tego, aby zabiegały o producenta, przyjeżdżały do niego i udzielały mu we wszystkim pomocy.

Jest jednak dobry sposób na przełamanie barier

utrudniających rozwój małych i średnich gospodarstw. Pegeery i spółdzielnie produkcyjne mają niezbędną kadrę inżynieryjno-techniczną i bazę materiałową, mogą więc uczynić z właścicieli słabszych gospodarstw swoich współudziałowców. Nie jest to nic nowego, bo w takiej kooperacji działają na Węgrzech duże gospodarstwa spółdzielcze, współpracują ze swymi członkami, którzy uprawiają działki pozagrodowe o wielkości naszych średnich gospodarstw.

Pegeery i spółdzielnie są w stanie uwolnić chłopa od kłopotów ze sprzedażą płodów rolnych i nabyciem środków produkcji, zapewnić mu opiekę agrotechniczną, zootechniczną i doradztwo ekonomiczne, dostarczyć materiał siewny i zarodowy, zaopatrzyć w pasze i opał. W ten sposób znika problem kontraktacji, skupu, usług i zbędnych pośredników.

Szacunkowo mamy w kraju około 400 tys. gospodarstw dużych, prowadzonych przez wrażliwych na postęp, wykształconych rolników. Są oni nieźle wyposażeni w traktory, maszyny i inne urządzenia. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby ci przodujący rolnicy wchodzili w spółkę z kilkoma słabszymi sąsiadami. Szef spółki, właściciel dużego, wiodącego gospodarstwa, świadczyłby im nie tylko usługi maszynowe, ale i pomagał wprowadzać nowe technologie, podnosić produkcję i współdziałać w zbycie płodów rolnych wprost do zakładu przetwórczego.

Tak więc w Polsce mogą istnieć gospodarstwa duże i małe i harmonijnie współpracować. Błędem byłoby doprowadzić w sposób gwałtowny do ruiny gospodarstwa małe. One same będą powoli i systematycznie wypadać z produkcji i zasilać w ziemię gospodarstwa rozwijające się, silne ekonomicznie. A takie nowoczesne gospodarstwa powinny powstawać przede wszystkim tam, gdzie nie ma rolnictwa uspołecznionego i przemysłu rolno-spożywczego.

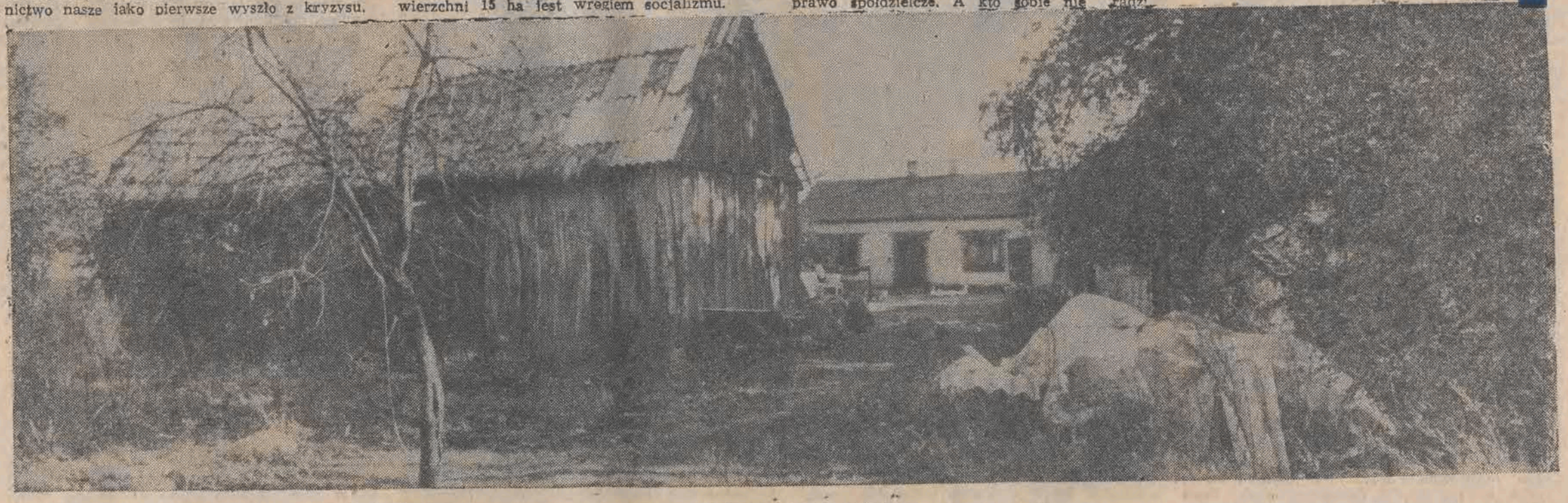

Foto: Grzegorz Galasiński

Nieprawdopodobna wprost demoralizacja panowała w Kościele katolickim. Przykład szedł z góry: od papieży, kardynałów, biskupów. Protestantyzm był protestem przeciwko temu złu.

W co wierzą protestanci?

(Luteranizm)

EDMUND LEWANDOWSKI (1)

W historii chrześcijaństwa odnotowano wiele ruchów, sekt i wybitnych postaci zmierzających do gruntownej odnowy Kościoła. Zarzucano hierarchii odstępstwo od pierwotnej doktryny i domagano się dostosowania życia religijnego do wskazań Ewangelii. Nowacjanie, donatyści, katarzy, husyci i inni buntownicy uważali oficjalne chrześcijaństwo za fałszywe. Dlatego uznano ich za niebezpiecznych heretyków i bezpardonowo się z nimi obchodzono.

Już co najmniej od IV wieku w łonie Kościoła istnieją dwa nurty: rygorystyczny i oportunistyczny. Pierwszy, zdecydowanie mniejszościowy, polega na ścisłym przestrzeganiu norm religijnych w życiu codziennym. Drugi zaś toleruje słabości i odchylenia wiernych, zadowalając się deklaracjami wyznania wiary i udziałem w niektórych praktykach kultowych. Zmiana układu sił na korzyść nurtu oportunistycznego nastąpiła w sytuacji, kiedy bycie chrześcijaninem stało się korzystne.

Ksiądz prof. Mieczysław Żywczyński zwracał uwagę na ważny przełom w dziejach chrześcijaństwa starożytnego:

„O ile do w. IV przyjmowanie chrześcijaństwa, po ludzku sądząc, nie opłacało się, o tyle teraz nie opłaca się go nie przyjąć. Nic więc dziwnego, że w w. IV »nawróciło się« na chrześcijaństwo kilka razy więcej ludzi niż przez 250 lat poprzednich. W związku z powyższym o ile do IV w. np. zostanie biskupem pociągało za sobą często potrzebę wyrzeczeń, ukrywania się, niekiedy ryzykowania życiem, to teraz bardzo często była to droga do dobrobytu i znaczenia świeckiego. Dawniej uciekano przed tym zaszczytem, bo był w gruncie rzeczy ofiarą, od w. IV często zabiegano o niego usilnie. Nawet w samym Rzymie elekcji biskupa niejednokrotnie towarzyszyły intrygi i walki, niekiedy nawet krwawe".

Kościół chrześcijański stopniowo przyjął to wszystko, co Jezus Chrystus zdecydowanie odrzucił, a mianowicie: bogactwo, władzę i sławę. Biskupi i papieże stali się wielkimi panami. Sprawy prywatno-świeckie zaczęły ich bardziej obchodzić niż religijne. Nic więc dziwnego, że w szeregi kościelne zaczęła wkradać się demoralizacja.

Mieczysław Żywczyński twierdził, że w każdym Kościele musi dojść do rozszczepienia na rygorystów i oportunistów. Przełom pojawia się wraz z przejściem od elitarności do masowości. Gdy chrześcijan było mało, można było dbać o czystość wiary; a później w rozrastającym się Kościele z coraz większym trudem godzono zasady religijne z życiem moralnym. I stąd paradoks — im chrześcijan więcej, tym chrześcijaństwo słabsze.

Z czasem Kościół pogodził się z koniecznością tolerowania ludzi duchownych i świeckich naruszających etykę chrześcijańską. Interes instytucji wymagał wzrostu ilościowego. W bilansie materialnym tak samo liczyły się dary członków niemoralnych jak moralnych. Nie mogli jednak tego zrozumieć i nie chcieli zaakceptować rozmaici rygoryści, asceci, odnowiciele, reformatorzy, którzy z całą powagą traktowali naukę Jezusa Chrystusa.

Należy zaś pamiętać, że skutki feudalizacji i upolitycznienia Kościoła były moralnie odrażające. Nieprawdopodobna wprost demoralizacja panowała wśród najwyższych funkcjonariuszy kościelnych. Zły przykład szedł z góry: od papieży, kardynałów, biskupów. Na synodzie w Reims, w 991 roku, biskup orleański Arnulf dokonał oceny niektórych ówczesnych następców św. Piotra. O Janie XII powiedział, że *„żył w bagnie rozpusty"*, o Bonifacym VII, iż był to *„straszliwy potwór, najbardziej nikczemny ze wszystkich ludzi"*. I następnie zadał DRAMATYCZNE PYTANIE: dlaczego takim występnym i złym dostojnikom mają podlegać wszyscy kapłani?

Sprawy później zaszły aż tak daleko, że w 1032 r. wybrano papieżem 12-letniego lub 15-letniego chłopca i to w dodatku zdeprawowanego. Historyk chrześcijański, Daniel Rops, z zażenowaniem pisze, iż Benedykt IX *„wyświęcony w dwunastym roku i już nieobyczajny, narobił tyle skandali, że zgorszony tłum rzymski w końcu go wygnał"*. Papież ten był jednak nieustępliwy i jeszcze dwukrotnie wracał na atrakcyjny tron św. Piotra. Za drugim razem sprzedał urząd papieski swemu ojcu chrzestnemu, Janowi Gracjanowi (Grzegorz VI), za 2 tysiące denarów.

Jak wiadomo, trzynaste stulecie uchodzi za *„złoty wiek"* chrześcijaństwa. Był to czas pełnego triumfu Kościoła. Przeczytajmy więc, co o tym okresie mówi znana pisarka katolicka Ewa Szelburg-Zarembina:

„Złoty wiek. Złoty od chwały i zwycięstw «podwójnego miecza». Czerwony i czarny — też. Czerwony — krwią przelewaną, krwawym wstydem gorszonej ponad miarę społeczności chrześcijańskiej. Czarny — od symonii, lenistwa, ciemnoty, lekceważenia przez duchowieństwo — przez wielką liczbę duchowieństwa — obowiązek kapłańskiego stanu. Zło tak już rosło, tak przybierało na sile, że sam papież stwierdził, iż «potrzeba ognia i żelaza, aby je uleczyć»".

Najbardziej szokujący i paradoksalny był w średniowieczu fakt współistnienia nadzwyczajnej religijności z kompletnym cynizmem i zakłamaniem. Hegel utrzymywał nawet, że najwięcej zdeprawowane były te kraje, w których Kościół katolicki miał najsilniejsze wpływy.

Na początku XVI wieku Niccolo Machiavelli oskarżył Kościół i Papiestwo o doprowadzenie społeczeństwa włoskiego do upadku moralnego i religijnego. Twierdził on, że gdyby przeniesiono Stolicę Apostolską do któregoś z bardzo moralnych krajów, to z pewnością wpłynęłaby na pogorszenie jego obyczajów. Na jakiej podstawie tak sądził? Za odpowiedź niech posłuży fragment artykułu o kardynałach, zamieszczonego w tygodniku katolickim „Ład" (nr 5 z 1983 r.). Czytamy tam:

„Korupcja i symonia krzewiły się prawie otwarcie w kurii papieskiej doby renesansu. Pod koniec XV w. za pontyfikatu papieża Innocentego VIII (1484—1492) wśród dziewięciu nowo mianowanych kardynałów tylko jeden — Ardicino della Porta — był człowiekiem godnym i gorliwym mężem Kościoła. Purpurę kardynalską dość często przyznawano zeświecczałym, rozpustnym i małoletnim nepotom papieskim. Giovani Medici (późniejszy papież Leon X) otrzymał kardynalat jako 13-letni chłopiec. Rozpustny oficer Rodrigo de Borgia (późniejszy papież Aleksander VI), nie mając święceń kapłańskich, powołany został do kolegium kardynalskiego przez własnego wuja Kaliksta III. Będąc już papieżem kreował purpuratem swojego syna, 17-letniego Cezara".

Dodajmy tu, że właśnie ów Cezar Borgia — syn papieża Aleksandra VI, a brat pięknej i zepsutej Lukrecji — był dla Machiavellego wzorem skutecznego polityka. Dlatego pewien pisarz francuski stwierdził, że trzeba być Borgią, aby zrozumieć i zastosować zasady „Księcia".

Intratnym źródłem dochodów Papiestwa i Kościoła stał się

HANDEL ODPUSTAMI I RELIKWIAMI.

Można było sobie kupić częściowe lub całkowite darowanie kary czyśćcowej za grzechy. Wystarczyło tylko ofiarować Kościołowi odpowiednie majętności. Specjalni wysłannicy papieża jeździli po Europie i sprzedawali tzw. listy odpustowe.

W 1517 roku przybył taki wysłannik, dominikanin Jan Tetzel, do Wittenbergii nad Łabą. Jego oszukańczych machinacji nie mógł ścierpieć wykładowca Pisma Świętego na miejscowym uniwersytecie, zakonnik augustianin, doktor teologii Marcin Luter (1483—1546). Według popularnej tradycji przybił on 31 października 1517 r., na drzwiach kościoła zamkowego plakat zawierający 95 tez w sprawie odpustów. Wydaje się jednak, że naprawdę nigdzie ich nie wywieszał, lecz wysłał do niektórych przedstawicieli władz kościelnych — w tym do zarządzającego udzielaniem odpustów arcybiskupa Albrechta Brandenburskiego.

Ponieważ nie otrzymał żadnej odpowiedzi, postanowił zapoznać z tezami szerszą opinię publiczną. Na wstępie słynnego później tekstu czytano:

„Gorące pragnienie wyświetlenia prawdy jest powodem dysputy, której poddane zostanie wszystko to, co tu poniżej napisano. Dysputa odbędzie się w Wittenberdze pod przewodnictwem wielebnego ojca Marcina Lutra, magistra nauk wyzwolonych i świętej teologii, będącego tamże lektorem ordynaryjnym. Prosi on tedy, aby ci, którzy nie mogą osobiście wziąć udziału w dyspucie, uczynili to drogą listowną. W imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, Amen.".

Luter zakwestionował prawo papieża i kleru do uwalniania dusz cierpiących w czyśćcu. Stwierdził, że ci, którzy wierzą w zbawienną moc listów odpustowych, zostaną potępieni na zawsze razem ze swymi mistrzami. Papież zaś, udzielający odpustów w miarę zwiększania się jego potrzeb, bardziej niż pieniędzy pragnie modlitwy za swoją intencję. Ostatnia czyli 95 teza brzmiała:

„Niechaj wierzą (chrześcijanie — dop. E. L.), *iż raczej przez wiele utrapień i udręk niż przez spokojne i bezpieczne życie wejdą do królestwa niebieskiego* (Dz. Ap. 14, 22)".

W ten sposób szalki mnich zapoczątkował wielki ruch religijno-społeczny (reformacja), który doprowadził do rozłamu w Kościele katolickim i powstania protestantyzmu. Nazwa „protestantyzm" (od łac. „protestari" — oświadczać, sprzeciwiać się) wzięła się stąd, że 19 kwietnia 1529 r., na sejmie w Spirze mniejszość luterańska (reprezentanci 6 księstw i 14 miast Rzeszy niemieckiej) zaprotestowała przeciwko uchwale większości katolickiej, zabraniającej dalszego szerzenia doktryny Marcina Lutra. A później nazwą tą zaczęto obejmować wszystkie ugrupowania religijne powstałe w wyniku ruchów reformacyjnych.

Luter był człowiekiem bardzo pobożnym i pierwotnie nie miał zamiaru zrywać z katolicyzmem. PRAGNĄŁ TYLKO OCZYŚCIĆ CHRZEŚCIJAŃSTWO z błędów i wypaczeń. W przedmowie do pierwszego tomu wittenberskiej edycji swych dzieł pisał:

„Kiedy więc w roku 1517 sprzedawano (chciałem powiedzieć: ogłaszano) w tych okolicach odpusty, czerpiąc z tego haniebne zyski, ja byłem wówczas kaznodzieją, młodym (jak się to mówi) doktorem teologii, i zacząłem odradzać ludziom i odwodzić ich do tego, by dawali posłuch owym handlarzom odpustów, namawiając ich, by lepszym sprawom poświęcili swój czas. Czyniąc to byłem przekonany, że będę miał obrońcę i opiekuna w papieżu, na którym wówczas z całą ufnością polegałem, a który w swoich dekretach potępiał w sposób zupełnie wyraźny nieumiarkowane zapędy poborców (tak nazywa odpustowych kaznodziei)".

Jednakże reakcja papieża i biskupów zaskoczyła i rozczarowała Lutra. Wybuchła burza. Papiestwo wystąpiło przeciwko zuchwałemu mnichowi.

„Tymczasem Niemcy — pisze dalej Marcin Luter — *jako że zmęczeni już byli plądrowaniem, kupczeniem i nie kończącymi się szalbierstwami rzymskich hultajów, w napięciu oczekiwali zakończenia tej tak ważnej kwestii, której żaden biskup ani teolog dotąd nie ośmielił się zaczepić. I sprzyjał mi w jakiś sposób ten powszechny nastrój, gdyż znienawidzone były już przez wszystkich owe rzymskie krętactwa, którymi zapełniali i udręczali cały świat"*.

Jean Delumeau trafnie stwierdza, że Luter nieustannie zwalczał pięciu wielkich wrogów: papieża, anabaptystów (radykalny ruch religijny i społeczno-polityczny), Turków, Żydów i diabła. Papieża uważał nawet za Antychrysta. Stąd w XVII wieku pojawiły się sztychy, na których przedstawiano papieża w postaci Antychrysta na tronie bądź jako składającego hołd Lucyferowi.

MARCIN LUTER ZNAŁ BARDZO DOBRZE PISMO ŚWIĘTE

Sam podkreślał, że prawie całe umiał na pamięć. Rozważając prawdy biblijne dokonał odkrycia (Rz 1, 17), że ludzie zostaną usprawiedliwieni i zbawieni nie przez uczynki, lecz tylko przez wiarę Chrystusową. Zakładał on, że jeśli człowiek naprawdę głęboko uwierzy, to nie będzie źle postępował. Był przekonany, że w rzeczywistości dzieje się tak, iż ludzie dobrzy spełniają dobre uczynki, a źli złe. Nieprawdą zaś jest, że dopiero dobre uczynki czynią ludzi dobrymi, a złe złymi. Powoływał się przy tym na następujące słowa Jezusa Chrystusa:

„Nie może dobre drzewo wydać złych owoców ani złe drzewo dobrych owoców" (Mt 7, 18).

Zdaniem Lutra, owoce nie rodzą drzew, ani też drzewa nie rosną na owocach, lecz odwrotnie — *„drzewa rodzą owoce i owoce rosną na drzewach"*.

Problem postawiony przez Lutra stał się przedmiotem ożywionych dyskusji wśród teologów. Na Soborze Trydenckim zgromadzeni biskupi długo nie mogli zająć określonego stanowiska. Lecz w końcu pod wpływem jezuitów D. Laineza i P. Salmerona uznali tę koncepcję za heretycką.

Marcin Luter twierdził, że nieomylne prawdy zawarte są tylko w Piśmie Świętym. Jeśli więc chrześcijanie chcą je poznać i zdobyć prawdziwą wiarę, to muszą studiować księgi biblijne. Ale nie wszyscy przecież umiejący czytać znali łacinę. W związku z tym Luter przetłumaczył Nowy Testament na dostępny wszystkim jego rodakom język niemiecki (bezpośrednio z greckiego). Notabene specjaliści oceniają ten przekład jako znakomity.

Zalecając czytanie Biblii oraz inspirując jej tłumaczenia protestanci przyczynili się do rozwoju języków narodowych. Wkład ich jest tym cenniejszy, że w Kościele katolickim Indeksy z 1559 i 1564 roku całkowicie zabroniły czytania Pisma Świętego w językach narodowych. Przedtem pozwalano jedynie na posługiwanie się przekładami w celach prywatnych; natomiast w kazaniach i dysputach trzeba było używać łacińskiej Wulgaty.

Podstawą eklezjologii protestanckiej uczynił Luter hasło: „KRÓLESTWO BOŻE JEST W NAS". Oznaczało to, że prawdziwym kościołem jest tylko chrześcijańskie wnętrze duchowe człowieka, a nie instytucja, którą utworzyli ludzie. Wobec tego najwyższym autorytetem dla chrześcijanina jest Pismo Święte i jego własne sumienie. Papież i Kościół nie mają władzy nad jednostką. W sprawach religii każdy jest niezawisły i odpowiada sam za siebie.

Jednakże z drugiej strony Luter miał dość ponure poglądy społeczno-polityczne. Uwolnił jednostkę od tyranii Kościoła, lecz podporządkował tyranii państwa. Uważał bowiem, że człowiek z natury jest istotą złą i występną, wymagającą twardych rządów cywilnych. *„Niech nikt nie myśli* — pisał — *że światem można rządzić bez krwi. Miecz cywilny będzie i musi być czerwony i krwawy"*. W zasadzie wszędzie reformacja wzmacniała władzę państwową, lecz równocześnie była — jak to określił Tomasz Mann — *„nacjonalistycznym ruchem wolnościowym"*.

Tomasz Mann, który nie lubił Lutra, uważał go za *„gigantyczne wcielenie niemieckości"*. Owa niemieckość ma się m.in. przejawiać w połączeniu rewolucyjności z konserwatyzmem. Prawdziwie niemiecka miała też być nienawiść Lutra do inspirowanego ewangelią powstania chłopskiego Tomasza Müntzera.

„Nakazywał zabijać chłopów — czytamy — *jak wściekłe psy i nawoływał książąt, aby przez zarzynanie i mordowanie tego bydła-chłopów zasługiwali sobie na królestwo niebieskie. Za smutny upadek tej pierwszej próby niemieckiej rewolucji i zwycięstwo książąt z wszystkimi jego konsekwencjami znaczną część odpowiedzialności ponosi Luter, niemiecki człowiek z ludu"*.

W życiu religijnym Luter zminimalizował znaczenie kapłanów, sakramentów i wszelkich praktyk zewnętrznych. W obliczu zatwardziałych ceremonialistów zalecał wręcz odwrotne postępowanie: łamanie postów, spożywanie mięsa itp. Ludzie ci, jego zdaniem, przestrzegają tradycyjnych obrzędów, a zapominają o wierze.

Myśl religijno-społeczna Lutra rozprzestrzeniała się bardzo szybko, szczególnie popierało ją mieszczaństwo, lecz także drobna szlachta. Pokój augsburski z 1555 roku podzielił Niemcy — według zasady *„cuius regio, eius religio"* — na dwa ugrupowania chrześcijańskie. Pod wpływami luteranizmu znalazło się aż dwie trzecie kraju. Przy katolicyzmie pozostały jedynie kraje bawarskie, cesarskie miasto Akwizgran oraz kilka biskupstw. Luteranizm ponadto rozprzestrzenił się poza granicami Niemiec. Stał się religią panującą w Szwecji, (w tym Finlandii), Norwegii i Danii. Przyjęły go państwa zakonne w Inflantach i Prusach. Znalazł zwolenników w Czechach, na Węgrzech, we Francji i Polsce.

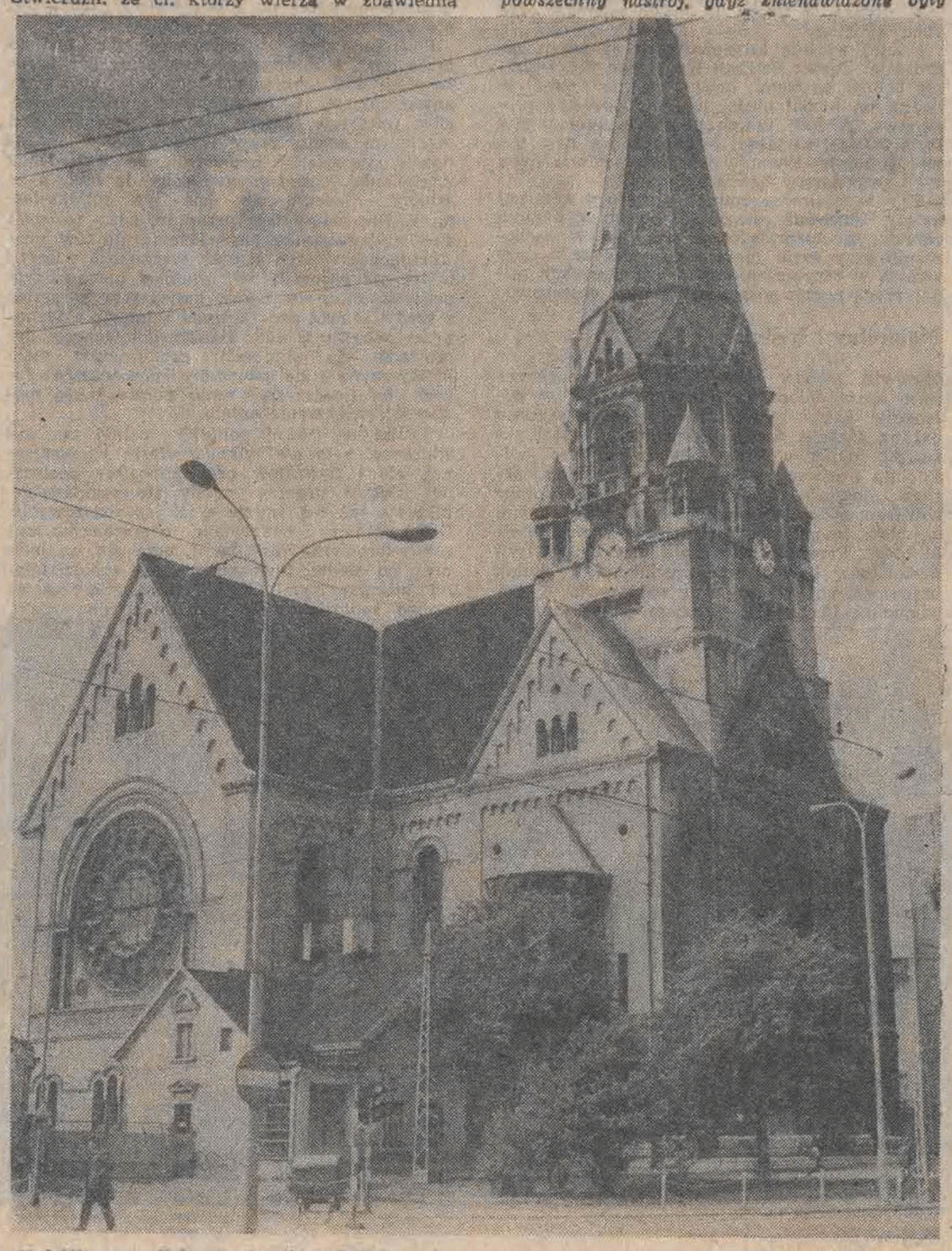

Kościół ewangelicko-augsburski w Łodzi **Foto: Grzegorz Gałasiński**

Makowiecki grał jak Wild Bill Davison, Dorawa jak Kid Ory, Wojciechowski jak Edmond Hall...

Ośmiu muzyków w jednej taksówce czyli jak „Tiger-Rag" wyzwalał diabła

ANDRZEJ KAROLCZAK

w nim najlepszy łódzki zespół tych lat, jeden z najlepszych w Polsce zespołów jazzu tradycyjnego, „Tiger-Rag". Nazwa zespołu to tytuł jednego z popularniejszych tematów nowoorleańskich, błędnie niekiedy tłumaczona jako „skok tygrysa". O swoim zespole, o swojej jazzowej młodości mówią: **ANDRZEJ MAKOWIECKI** — pisarz i reporter, w „Tiger-Ragu" trębacz i wokalista oraz znany malarz **RYSZARD HUNGER** — rektor Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi, niegdyś kontrabasista jazzowy.

ANDRZEJ MAKOWIECKI: Miałem siedemnaście lat, chodziłem do maturalnej klasy. Z jazzem zetknąłem się wcześnie: słuchałem audycji „Music USA" Canovera, słuchałem polskich zespołów. Wielkie wrażenie robili na mnie „Melomani". I wtedy właśnie postanowiłem zostać muzykiem. Zobaczyłem na wystawie trąbkę. Namówiłem ojca, kupił mi tę trąbkę i zacząłem w nią dmuchać bez żadnego przygotowania. Zacząłem grać. A kiedy już napisali o mnie w miesięczniku „Jazz" i w prasie łódzkiej, pomyślałem sobie: co ja tu będę robił w tej ławce? Po co mi szkoła? A sława tuż tuż! Grałem bez nut, przecież wiedziałem, że ci wielcy myzycy: Bunk Johnson, Buddy Bolden grali bez nut. Ale niektórzy koledzy imponowali mi znajomością muzyki i zacząłem się uczyć. Ojciec powiedział wtedy: skoro już masz być muzykiem, to idź do szkoły muzycznej. I poszedłem. Najpierw skończyłem szkołę pierwszego stopnia. W trybie przyśpieszonym — pięcioletnią szkołę skończyłem w dwa lata. Miałem wspaniałych nauczycieli: na trąbce uczył mnie Stanisław Szejwała, wspaniały człowiek, świetny muzyk. Moim kolegą w klasie trąbki był Andrzej Rokicki, z którym do dziś się przyjaźnię.

RYSZARD HUNGER: Muzyki uczyłem się jeszcze w szkole podstawowej, gdzieś od dwunastego roku życia. Chodziłem do Młodzieżowego Domu Kultury, tam istniał, zresztą znakomicie prowadzony zespół, podobny w stukturze do zespołu mandolinistów Ciukszy. Prowadził ten zespół Kazimierz Sosiński, który później założył klasę gitarową w Wyższej Szkole Muzycznej. Sosiński wychował całą plejadę gitarzystów, łącznie z obecnym rektorem Akademii Muzycznej Kowalczykiem. W tym zespole grałem początkowo na mandolinie, potem na banjo i gitarze, wreszcie na kontrabasie. Natomiast w szkole, już w podstawowej miałem szczęście poznać kilku dobrze się zapowiadających muzyków jak Wacek Małek — późniejszy pianista jazzowy i jego brat — klarnecista. Próbowaliśmy już grać coś innego od tego, co było obowiązujące. Słowo „jazz" było słowem tajemniczym, a ta myzyka, której jeszcze wcale nie znaliśmy, była czymś wymarzonym, czymś, do czego się dąży... Na szkolnych imprezach bardzo chcieliśmy grać jazz, nie wiedzieliśmy jednak, jak się do tego zabrać, co to jest? I kiedyś przyszedł Małek i powiedział: dziś zagramy jazz! Zagrał ...rumbę „Tici-tico"! W naszym rozumieniu to był jazz, bo jazzem było wszystko, co nie mieściło się w „oficjalnym" repertuarze...

W tym emdekowskim zespole, o którym wspomniałem osiągnąłem nieco wyższy stopień wtajemniczenia: z moim przyjacielem Wackiem Rezlerem próbowaliśmy grać najprostsze standardy jazzowe — na mandolinie i gitarze czy na gitarze i kontrabasie, czy wreszcie biorąc jeszcze jakiegoś kolegę z dętym instrumentem.

W roku 1959 powstał klub jazzowy „Storyville". Funkcjonował w „pałacyku", pod patronatem ZMS. Ogłoszono nabór muzyków i zespołów. Proszę sobie wyobrazić, że do eliminacji przystąpiło kilkanaście zespołów, w tym większość dixielandowych. Ja wówczas grałem w zespole Jurka Bożyka „Silver Jazz". Przedtem jeszcze grałem w kwartecie mego szkolnego kolegi, Włodka Gulgowskiego, dziś świetnego pianisty jazzowego. Jak pewnie pamiętasz kilka prób odbyło się u ciebie w mieszkaniu, bo akurat u ciebie było panino...

Pamiętam, że było trochę hałasu... Wróćmy do jazz-clubu w Pałacyku.

— Na przesłuchaniach zagrałem coś tam z Witkiem Afeltem i zostałem przyjęty. Za miesiąc czy dwa Andrzej Orłowski zaproponował mi granie w „Tiger-Rag'u" bo odszedł basista Kazio Głuch. To był koniec roku 1959 lub początek 1960.

Wkrótce potem wprowadziłem do zespołu Wacka Rezlera.

Grali bardzo dynamicznie i ekspresyjnie. Kiedy dziś, po latach słucha się radiowych nagrań, które jakoś uchowały się w archiwach, można powiedzieć, że grali — jak na owe czasy — nowocześnie. Że dziś jeszcze można by z takim programem śmiało startować w „Old Jazz Meeting" z pełnym powodzeniem. Choć nie ustrzegli się naśladownictwa. Nie było się czego wstydzić, mistrzowie byli przedni. Znakomita sekcja melodyczna łatwo daje się rozszyfrować: Makowiecki jest pod wyraźnym wpływem Armstronga i Wilda Billa Davisona, Andrzej Dorawa w brawurowej solówce „Ory's Creole Trombon" gra jak sam Kid Ory, Zbigniew „Kajtek" Wojciechowski to „jak żywy" Edmond Hall.

ANDRZEJ MAKOWIECKI: Mimo iż jazz już zdobył sobie uznanie społeczne, grany był w szacownych salach filharmonii i królował w radiu, opinia muzyków starszego pokolenia zwłaszcza nauczycieli szkół muzycznych była konserwatywna. Twierdzili, że jazz manieruje muzyka, że uniemożliwia mu wręcz prawidłowe wykonanie „prawdziwej" muzyki poważnej, koncertowej. Patrzyli źle na uczniów — jazzmanów, wręcz zabraniali nie tylko chałturzenia, ale nawet koncertowania. Mówiono, że trębacz jazzowy nie może dobrze zagrać koncertu na trąbkę Artuniana. Była to bzdura, żeby choćby przypomnieć Benny Goodmana, który był równie dobrym klarnecistą jazzowym jak filharmonikiem. A nie jest to przykład odosobniony. Właśnie jazzmani udoskonalili technikę gry na instrumentach dętych, doprowadzili ją do perfekcji.

W „Tiger-Ragu" znalazłem się w ten sposób, że zaprosił mnie szef kapeli, perkusista Andrzej Orłowski. Jeszcze przed „Tiger-Ragiem" graliśmy w innych zespołach np. w „Jazz Lovers". Później powstał „Tiger-Rag".

Robiliśmy to „ideowo". Granie sprawiało nam szaloną frajdę. Nieważne były nagrody na festiwalach, dyplomy, nawet pieniądze. Muzyka zawsze była najważniejsza. Skład zespołu zmieniał się przez te lata. Z różnych przyczyn. Na przykład na basie grał Hunger, ale grywali i inni jak Zbigniew Horyt czy Michał Walicki. Zmieniali się klarneciści, trębacze również. Stały trzon zespołu stanowili jednak: Andrzej Orłowski, Andrzej Dorawa, Wacław „Sasza" Rezler, Ryszard Hunger i ja.

RYSZARD HUNGER: Szybko zdobywaliśmy popularność w Łodzi. Potem były już tury koncertowe po kraju i festiwale. Były wówczas dwa festiwale: w Opolu (nie mylić z festiwalem piosenki!) i we Wrocławiu, który jeszcze wtedy nie nazywał się „Jazz nad Odrą". Jednego roku wygraliśmy Wrocław a drugiego Opole. Staliśmy się znani w kraju, graliśmy w Warszawie i na Zaduszkach Jazzowych w Krakowie, a także w imprezach „Jazz w Filharmonii".

Festiwal wrocławski wygraliśmy dzięki improwizacji. Ale nie dzięki improwizowanym solówkom, to byłoby w przypadku zespołu grającego „hot" czymś normalnym. Rzecz polegała na tym, że już po przyjeździe, na miejscu dowiedzieliśmy się, że każdy zespół musi zaprezentować własną kompozycję, własny temat. Myśmy niczego własnego w repertuarze nie mieli. Przez jeden wieczór, w hotelowym pokoju powstała kompozycja zbiorowa pod tytułem „Łódzkie syreny". Tytuł wymyślił chyba Makowiecki...

Utwór miał taki charakterystyczny chorus puzonu i trąbki, który przypominał trochę wycie fabrycznych syren. Ten utwór najbardziej się podobał i zapewnił nam sukces.

Jazz nie miał jeszcze konkurencji, takiej jaką stworzył mu później rock and roll czy tzw. „big-beat". Jazz był muzyką całej młodzieży i mieliśmy ogromną popularność i frekwencję na koncertach. Pamiętam takie tournée po rzeszowszczyźnie: Lesko, Nisko, Rymanów itp. miasteczka. Przychodzili ludzie zupełnie nie przygotowani, surowi i odbierali bardzo żywiołowo, spontanicznie. Pamiętam po koncercie w Dębicy poszliśmy do domu towarowego i usłyszałem w kolejce taki dialog:

— Była pani wczoraj na koncercie „Tiger-Ragu"?

— Byłam! Proszę pani, oni ze mnie diabła wyzwolili.

Odbierano nas bardzo emocjonalnie, bo i bardzo emocjonalnie traktowaliśmy muzykę my. Graliśmy dynamicznie, agresywnie. Może mniej dbaliśmy o harmonię, o wszystkie sprawy warsztatowe. W znacznym stopniu ten „drive" zawdzięczaliśmy Makowieckiemu. Był taki okres, kiedy „Mackie" odszedł od zespołu. Przyszedł inny trębacz, Tomczyk, który zaczął pisać aranże, ograniczał improwizację. I to już nie był ten „Tiger-Rag"... Makowiecki nadawał zespołowi dynamizm i charakterystyczne brzmienie.

ANDRZEJ MAKOWIECKI: Doskonale pamiętam to tournée po Bieszczadach, o którym mówi Rysiek. Przypomnę jeszcze jedną anegdotę: jechaliśmy do Krakowa, chyba na Zaduszki. Czasu było mało, Orłowski ściągnął taksówkę, wpakował do niej cały zespół i na dodatek... wielkiego Brychta, który był naszym „fanem" i koniecznie chciał być z nami na tej imprezie. Trudno dziś opisać, jak się tam wcisnęliśmy, trudno też nie dziwić się taksówkarzowi, który się na to zdobył. Umieściłem tę scenę w jednej z moich powieści i w nie zrealizowanym scenariuszu filmowym.

Inna anegdota, którą niedawno przypomniał mi kolega muzyk. Wystąpiłem kiedyś na jakimś szkolnym wieczorku, miałem chyba 19 lat. Wystąpiłem na tej imprezie z klipsem w uchu. Była to na owe czasy duża ekstrawagancja... Okazuje się, że byłem prekursorem mody, która dziś powszechnie panuje wśród punków i muzyków rockowych.

RYSZARD HUNGER: Nie grałem w „Tiger-Ragu" do końca, do rozwiązania zespołu. Kiedy skończyłem studia, musiałem się na coś zdecydować: albo być „najlepszym basistą wśród plastyków" albo, po prostu, dobrym malarzem. Dostałem w WSSP asystenturę, zająłem się pracą twórczą i pedagogiczną, na muzykę przynajmniej uprawianą czynnie, nie było czasu. Grałem do 1965 roku. Andrzej Makowiecki odszedł wcześniej, tak więc jeszcze przez rok grałem z Andrzejem Wojciechowskim, „weteranem" „Melomanów".

Myślę, że bardzo trudno będzie ustalić, kiedy „Tiger-Rag" przestał istnieć. Na dowód mogę przytoczyć anegdotę: W okresie naszego największego powodzenia byliśmy rozrywani żeby grać do tańca, zwłaszcza w karnawale. A już każda szkoła średnia koniecznie chciała nas mieć na studniówce. W pewną karnawałową sobotę okazało się, że „Tiger-Rag" gra w pięciu miejscach naraz. Wynikało to stąd, że koledzy z innych zespołów, żeby dostać angaż podawali się za „Tiger-Rag". Niektórzy mieli do tego jakieś prawo, bo przez zespół, przez lata jego istnienia przewinęło się wielu muzyków... Wśród nich wielu znakomitych, tak wówczas jak i dziś: Michał Urbaniak, Zbyszek Namysłowski.

ANDRZEJ MAKOWIECKI: W szczytowym okresie powodzenia „Tiger-Ragu" skończyła się moda na jazz tradycyjny. Muzycy coraz chętniej grali be-bop, a zwłaszcza cool. Grali to beznadziejnie, nie mieli techniki — nie było ani jednego trębacza, który miałby technikę pozwalającą wygrać to, co amerykańscy trębacze. Teraz oczywiście jest inaczej — Tomasz Stańko czy Majewski to muzycy o europejskiej a nawet światowej klasie. W Polsce w tych latach byli tylko dobrzy pianiści grający modern-jazz. Wśród wyrobionej publiczności jazz tradycyjny był w pewnej pogardzie. My jednak graliśmy to konsekwentnie i z powodzeniem, którego coolmani nigdy nie osiągali wśród szrokich kręgów publiczności, wśród — praktycznie — ogółu młodzieży.

Potem nastąpił kryzys, wieloletni kryzys jazzu. Pojawiły się — chyba w roku 1957 — pierwsze nagrania Billa Halleya. Potem był Presley, potem inni. Młodzież odwróciła się od jazzu, zapanowała era rocka. Wreszcie pojawili się Beatlesi, skądinąd znakomici i posiadający jazzowy rodowód. Warto dziś o tym pamiętać, że „ten cały rock" narodził się z jazzu, z bluesa.

Nie skończyłem średniej szkoły muzycznej. Zacząłem odczuwać niedosyt, zwątpiłem, czy spełnię się w muzyce, choć miałem przecież sukcesy. Wróciłem, w wieku 23 lat do liceum ogólnokształcącego, zrobiłem maturę. Zacząłem pisać, opublikowałem pierwsze recenzje muzyczne w „Odgłosach", Rozpocząłem studia. Na drugim czy trzecim roku Brycht i Dorawa namówili mnie do come beck'u. Zagrałem kilka koncertów, między innymi w programach telewizyjnych Rzeszewskiego. Ale pisanie przynosiło mi coraz więcej satysfakcji. Musiałem się zdecydować, wybrałem dziennikarstwo i literaturę...

RYSZARD HUNGER: Grałem na wielu instrumentach. Na puzonie, na trąbce, na tubie i oczywiście na kontrabasie. Jest to trochę przykre, że nawet kiedy mam okazję, nie mogę sobie pograć dla przyjemności. To nie tylko kwestia utraty wprawy. To czysto anatomiczna kwestia twardych palców, wytrenowanych warg. Gram natomiast na gitarze — prywatnie, towarzysko. Trochę śpiewam. A ponieważ nie wypada mi śpiewać przebojów, to wymyślam sobie piosenki i jako śpiewak-gitarzysta mam nawet pewną popularność wśród przyjaciół.

Czy muzyka inspiruje mnie w malarstwie? Na pewno. Tylko są różne rodzaje inspiracji. Można rysować instrumenty, co z powodzeniem uprawia paru grafików, można kompozycji malarskiej nadać tytuł „Blues" czy coś takiego... Ja mam inspiracje muzyczne innego rodzaju. Muzyka może mi się kojarzyć z jakimś klimatem, który staram się utrwalić na płótnie, harmonia muzyczna może mi się kojarzyć z harmonią kompozycji plastycznej. Mógłbym to tak zdefiniować: jeśli „słyszę" obraz, jeśli jest w nim rytm i harmonia podobna do rytmu i harmonii muzycznej, to wiem że obraz jest udany...

ANDRZEJ MAKOWIECKI: Od czasu, kiedy definitywnie zarzuciłem granie w zespole, rzadko zdarzało mi się sięgnąć po trąbkę. Co nie znaczy, że to się nie zdarzało... Jeszcze kilka lat temu, kiedy odwiedził mnie w domu Andrzej Hampel i powspominaliśmy sobie stare czasy, zagrałem mu, powodując pewne zaniepokojenie sąsiadów w kilku domach przy Piotrkowskiej.

Wreszcie mój syn zaczął się bawić trąbką. Skutek oczywisty, jest popsuta, dziurawa i już nikt na niej nie zagra...

RYSZARD HUNGER: Nie było ludzi, którzy umieliby i chcieli lansować zespół w kraju. O niektórych postaciach można wspomnieć: Zdzisław Szadkowski, który patronował nam w imieniu pionu kultury ZMS oraz o Zdzisławie Bartoszewiczu. To była barwna postać: pozował trochę na Willisa Canovera, miał prywatną radiostację i nadawał audycje jazzowe. Był jednym z założycieli Jazz-Clubu „Na piętrze" przy ulicy Jaracza, potem trochę współpracował z nami. W „Pałacyku" rej wodził student UŁ, dziś krytyk filmowy, Andrzej Lipiński. Spotkałem go niedawno — odbyliśmy razem podróż samolotem do Rzymu. Całą drogę przegadaliśmy o jazzie, o starych, dobrych czasach... Ale ani Szadkowski, ani Bartoszewicz, ani Lipiński nie mieli takiej siły przebicia, żeby załatwić nam, jak to się dziś mówi, promocję na rynku krajowym, płyty, koncerty itd. Nie tylko nam — było wiele dobrych zespołów w Łodzi, które się nie przebiły.

Skoro o malowniczych postaciach mowa, to chcę przypomnieć Jurka Bożyka — świetnego pianistę i wokalistę, który też z „Tiger-Ragiem" występował. W swoim czasie wylali go z konserwatorium właśnie dlatego, że grał jazz. Proszę sobie wyobrazić, że dwa lata temu zrobił dyplom na filologii polskiej! Ba, dyplom wyróżniony specjalną nagrodą za najlepszy dyplom roku! Jurek pozostał wierny swoim pasjom, prowadzi zespół tradycyjny w Krakowie. Przed koncertem tego zespołu w Łodzi zatelefonował do mnie, żebym zastąpił basistę, który nie dojechał z Krakowa, oczywiście odmówiłem, nie miałem instrumentu w rękach od dwudziestu lat. Jurek na to: stary, nie masz się czego bać, gramy te same standardy!

Minęła cała epoka w muzyce popularnej. Dla pokolenia „Tiger-Ragu" dla mojego pokolenia jazz był szkołą kultury muzycznej — praktycznie nie było żadnego umuzykalnienia młodzieży szkolnej, poza nudnymi lekcjami śpiewu z nieśmiertelną dzieweczką, co to do laseczka. Jazz był inny, był nasz. U wielu naszych rówieśników młodzieńcze zainteresowanie jazzem przerodziło się w prawdziwe, szerokie zainteresowania muzyką całą — nowoczesną, klasyczną.

Jazz nauczył nas jeszcze jednego — tolerancji dla gustów muzycznych młodzieży. Możemy nie lubić współczesnego hard-rocka czy heavy-metalu, ale nie gorszymy się, że młodzież to lubi.

Każde pokolenie ma swoją muzykę...

ze str. 1

budowlanych. Roboty murarskie, stolarskie i dekarskie wykonała firma „Paweł Holc i S-ka", instalację elektryczną — „Bracia Borkowscy" z Warszawy, wodociągową i kanalizacyjną — „Domański i S-ka", prace malarskie powierzono zakładowi Konstantego Łowkisa, zaś centralne ogrzewanie założyła „Prosna". A wszystko to trwało zaledwie do grudnia 1925 roku.

Nowy budynek przy ulicy Przyszkole przydzielono dwóm szkołom: Powszechnej nr 42 — męskiej, której nadano też imię Stanisława Staszica oraz wydzielonej z niej wcześniej żeńskiej Szkole Powszechnej nr 62. Posiadały one wspólne boisko i ogród szkolny, gdzie posadzono wiele różnych drzew, krzewów i innych roślin, wykorzystywanych na lekcjach przyrody, ale — odrębne wejścia i sale gimnastyczne.

W dniu jubileuszu 25-lecia „Staszic" był szkołą o bardzo dobrych warunkach lokalowych, bogato wyposażoną w sprzęt i pomoce naukowe, posiadającą swój własny sztandar i cieszącą się zasłużenie dobrą opinią.

Następny rok szkolny rozpocząć się miał 1 września 1939 roku.

3.

Chciałem przeżyć to jeszcze raz.

W sali gimnastycznej wmieszałem się w tłum rodziców, którzy przyprowadzili swe pociechy po raz pierwszy do szkoły. Dzieci — zgodnie z tradycją — ubrane na biało i granatowo, poważne, skupione, ale do czasu. Dorośli — przejęci i też jakby trochę początkowo przestraszeni. Pomyślałem, że gdyby kazano im również ustawić się w pary, wziąć za ręce, zrobiliby to bez słowa. Bo w szkole człowiek zawsze czuje się uczniem — niezależnie od wieku i sytuacji.

Uroczystość inauguracji nowego roku szkolnego 1987/88 zaczęła się od wysłuchania radiowej transmisji przemówienia minister oświaty i wychowania. Nie wiem, czy uczniowie najmłodszych klas, tak zwane dziś „pacholęta", coś z niego zrozumieli. Nie wiem, czy nawet starali się zrozumieć. Kiedy się ma siedem-dziewięć lat, znacznie ważniejsze jest, gdzie kto był na wakacjach, jak wygląda nowa „pani" i z kim chciałoby się siedzieć w jednej ławce. Reszta jest tylko mało znaczącym dodatkiem.

Tak samo było, gdy ja rozpoczynałem swą edukację, choć ministrowie nie przemawiali wtedy jeszcze przez radio, 1 września wszyscy uczniowie i nauczyciele spotykali się na szkolnym boisku, które dziś jest zdewastowane i zaniedbane, a miało prawdziwą bieżnię na 60 metrów, skocznię i inne urządzenia. Nic nie pozostało też z przyszkolnego ogrodu — na jego miejscu stanął nowy blok. Szkoda.

Potem przemawiała „nowa" pani dyrektor. Nowa dla mnie, gdyż kiedy chodziłem do Czterdziestej Drugiej, jej tam jeszcze nie było. Zresztą w ogóle nie było wówczas dyrektora. Wystarczał kierownik — w moich czasach **BOLESŁAW HOFLINGER**, wieloletni pedagog i przede wszystkim artysta malarz. Mieszkał tuż obok szkoły, w jednym z dwóch bliźniaczych budynków wzniesionych pod koniec lat 20-tych specjalnie dla nauczycieli. Przez pewien czas uczył w naszej klasie „rysunków" jednak rzadko zjawiał się na lekcjach. Stale był zajęty. Poza tym — wiek: jesienią 1969 roku obchodził jubileusz 50-lecia pracy w zawodzie nauczycielskim. Zmarł przed kilku laty.

Nie zauważyłem w szkole ani jednego jego obrazu.

4.

Z końcem 1939 roku budynek przekształcono w koszary jednostki SS, spalono księgozbiór i archiwum, aresztowano kierownika **MAURYCEGO BORUCKIEGO**, a nauczycieli wyrzucono z ich mieszkań. Wielu z nich kontynuowało swą pracę na tajnych kompletach.

Odrodziła się Czterdziesta Druga w lutym 1945 roku.

„Gmach szkolny — wspomina LEOKADIA KAWALLA — opuszczony w popłochu przez stacjonujące tu oddziały wojsk hitlerowskich zastawiony był żelaznymi łóżkami stołami, krzesłami i ciężkimi szafami. Na sali gimnastycznej walały się stosy korespondencji z rozprutych worków. W nie opalanej szkole rozpoczęły się zapisy uczniów zgłaszających się na naukę w wolnej Polsce. Moich przedwojennych uczniów z klasy IV zapisałam do klasy V. Wystosowałam prośbę do inspektora szkolnego, aby zezwolił im na uczęszczanie do szkoły dziennej, mimo ukończonych 16 lat. Równoległe starsze klasy były przyspieszone, tzn. program 2 lat przerabiały w ciągu jednego roku. (...) Gdy wspominam ten czas, zwłaszcza wiosnę 1945 r., widzę szkołę i mrówczą pracę wszystkich: nauczycieli i uczniów".

W roku szkolnym 1945/46 liczba uczących się zmniejszyła się z 577 do 437, klas było 11 i tyluż nauczycieli, a kierował nimi tenże sam Maurycy Borucki, co przed wojną dbający, by młodzież wzrastała w duchu ideałów wielkiego patrona swej szkoły. Kierował do 1951 roku.

W rok później Szkoła Podstawowa nr 42 im. Stanisława Staszica przestała istnieć po raz drugi. Nie zważając na tradycje, władze oświatowe przemianowały ją na Szkołę Ogólnokształcącą stopnia podstawowego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci nr 16. W 1955 roku — kolejna reorganizacja: połączenie ze Szkołą TPD nr 17, a w 1956 — powrót do dawnej nazwy, ale już bez imienia Staszica. Dlaczego — do dziś nie wiadomo. Imię przywrócono na początku lat 60-tych.

5.

W klasie „b", do której trafiłem, było nas ponad czterdzieścioro — znacznie więcej niż obecnie liczą klasy, a to z tego powodu, że byliśmy pokoleniem tak zwanego wyżu demograficznego, uczyło mniej niż teraz nauczycieli oraz — brakowało miejsca. W budynku przy ulicy Przyszkole 42 mieściły się bowiem wówczas aż trzy szkoły: nasza, Sto Sześćdziesiąta Druga i IX Liceum Ogólnokształcące.

Korytarze poprzegradzane były prowizorycznymi ściankami ze sklejki. My zajmowaliśmy parter, kawałek pierwszego piętra i połowę drugiego wraz z całą lewą klatką schodową. W sumie — 11 sal lekcyjnych na 17 klas, grubo za mało w stosunku do potrzeb, więc nauka odbywała się na dwie zmiany (któregoś roku chodziłem, pamiętam, na godzinę 13.30, kiedy inne dzieci wracały już do domu). Lekcje skrócono do 40, a przerwy do zaledwie 5 minut, przy czym i tak nieraz „pani" prowadziła nas do świetlicy w suterenie lub do biblioteki na samej górze, gdzie siadywaliśmy pod ścianami na tornistrach. Bywało też, zwłaszcza zimą, iż gimnastykowaliśmy się w korytarzu, bo salę zajmowała akurat jakaś inna, na ogół starsza klasa.

Oczywiście nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego że mogłoby, że powinno być nam w szkole wygodniej. Dla nas, dzieci, były to normalne warunki i wbrew pozorom wcale nie chcieliśmy lepszych, gdyż im większe zamieszanie, tym trudniej było nas upilnować. Cieszyliśmy się, że na lekcji można bezkarnie porozmawiać, pograć w papsy lub też ciągnąć dziewczyny za warkocze. Podobało się nam, gdy na zastępstwach zamiast słupków i tabliczki mnożenia poznawaliśmy z czytanej na głos książki Rene Gościnnego przygody Mikołajka, albo po prostu zwalniano nas wcześniej do domu. I tak oprócz „matmy", „polaka" czy „śpiewu" uczyliśmy się też od najmłodszych lat naszej trudnej, skomplikowanej rzeczywistości. Później jednym z nas udało się z tych lekcji wyciągnąć właściwe wnioski, innym — nie.

6.

Szlag mnie trafia — mówi dyrektor **LUCYna GASZEWSKA** — gdy słyszę nieraz na ulicy, jak ktoś zwraca uwagę dziecku **„To tak cię szkoła wychowuje!"**, bo przecież wychowanie wynosi się przede wszystkim z domu. Ale o tym nikt nie chce pamiętać. Łatwiej wszystkie obowiązki przypisać szkole, obarczyć ją za wszystko odpowiedzialnością.

Dzieci są dziś na pewno lepiej rozwinięte niż kiedyś, inteligentniejsze, nie znaczy to jednak wcale, że — lepiej wychowane. W coraz większej pogoni za pieniądzem, za wygodami rodzice zapominają często, że mają potomstwo któremu należałoby poświęcić dużo czasu i uwagi. Są rodziny — i to nie zawsze te najbiedniejsze — gdzie dziecko po prostu przeszkadza na przykład w robieniu kariery zawodowej. A potem tacy rodzice przychodzą do szkoły, prosząc o pomoc nauczyciela, bo sami nie mogą dać już sobie rady.

W niektórych klasach aż jedna trzecia uczniów pochodzi z rodzin rozbitych. Nie brak dzieci alkoholików. A zdarzają się i takie, którym szkoła zapewnia nie tylko bezpłatne obiady, wyjazdy wakacyjne, ale nawet — ubranie. Szczególne pod tym względem są okolice ulicy Felsztyńskiego.

I najgorsze — narkomania. Już jest. Na razie sporadyczne przypadki. Na razie!

BARBARA ZAPAŁOWSKA powiada, że choć dawniej było trudniej uczyć, bo klasy przepełnione ciasnota, brak możliwości bliższego, indywidualnego kontaktu z każdym uczniem, to jednak chętnie zamieniłaby obecną trzydziestoosobową klasę na tamtą z lat 60-tych, gdzie było niekiedy 50 uczniów. Młodzież była wtedy spokojniejsza, mniej znerwicowana. Nauczyciel cieszył się większym autorytetem.

Pani Zapałowska pracuje w Czterdziestej Drugiej nieprzerwanie od 34 lat. W piątej albo w szóstej uczyła naszą klasę matematyki. Czy mnie pamięta? No skąd, to już tyle lat. A mnie wydaje się, że przez te lata prawie wcale się nie zmieniła. Poznałem ją od razu. Poznałbym też inne moje nauczycielki, chętnie z nimi dziś porozmawiał — o szkole, o naszej klasie.

Ze starej kadry pedagogicznej pozostały już tylko dwie. Wraz z nowym pokoleniem uczniów przyszło też nowe pokolenie nauczycieli. Wielu z nich to moi rówieśnicy. Uczą i wychowują tak, jak sami zostali wychowani.

7.

Chociaż bardzo lubimy idealizować przeszłość, pamiętam, że nie byliśmy wcale małymi, niewinnymi aniołkami. Spóźnialiśmy się na lekcje, biliśmy na przerwach, zalewaliśmy atramentem sobie książki i zeszyty, rysowaliśmy na ławkach, a na dodatek nie wszystkim z nas chciało się naprawdę uczyć.

Od samego początku zresztą, od pierwszej — drugiej klasy zarysował się podział na uczniów dobrych i bardzo dobrych oraz tych, którzy ledwo dawali sobie radę, z trudem przechodząc z klasy do klasy, albo i nie. Skład osobowy obu grup do końca pozostał niemal ten sam. Dobrzy prawie zawsze byli dobrzy, a przeciętni rzadko potrafili wybić się ponad przeciętność. Czasem aż trudno mi uwierzyć, że mieliśmy przecież tych samych nauczycieli.

Moja szkoła

Foto: Grzegorz Gałasiński

Pamiętam również, że był w naszej klasie Jacek — ancymon jakich mało. Zdolny, lecz tylko przeciętny uczeń. Wagarował, uciekał z lekcji przez okno, popalał w ubikacji, popijał wino i — co tu dużo mówić — kradł. Gdy zostawał złapany, wzywano do szkoły matkę, a ta sprawiała mu tęgie lanie na oczach całej klasy, uznając to, widać, za najlepszą i jedyną chyba metodę wychowawczą. Skutek był taki, że chłopak ze łzami w oczach przyrzekał poprawę, by w parę dni później znów trudno było sobie z nim poradzić.

Jacek mieszkał „na Felsztynie", czyli przy ulicy Felsztyńskiego, przed wojną już cieszącej się złą sławą, gdzie w ciasnych, pozbawionych wygód mieszkaniach gnieździły się wielodzietne rodziny, piszczała bieda i nierzadko od progu już czuć było odór alkoholu, który stanowił zarówno przyczynę, jak i skutek nędzy — mniej może materialnej, co duchowej.

Daleki od chęci uogólniania zadaję sobie nieraz pytanie: co stało się z Jackiem po ukończeniu szkoły?, czy ma dzieci?, jak je wychowuje?

8.

Leokadia Kawalla:

„... w pamięci mojej o pracy w pierwszych latach powojennych nie zachowały się żadne trudności i kłopoty wychowawcze, pojawiające się coraz częściej z biegiem lat. (...) wybudowano nasze piękne osiedle, warunki mieszkaniowe, opieka nad zdrowiem dzieci poprawiły się ogromnie. Wymagania szkoły wobec uczniów w zakresie nauczania obniżyły się. Przyczyną, może nie główną, było rozliczanie nauczycieli z niedostatecznych ocen, więc „dobry" nauczyciel stawiał dostateczne, często z jednym lub z dwoma minusami, dla spokoju własnego sumienia. Niechcący usłyszałam, jak jeden uczeń przekonywał drugiego: „Ona musi cię poprawić z tej dwójki!". A nagminnie stosowane egzaminy poprawkowe? A w zamyśle pedagogów powinny to być wypadki sporadyczne.

Obserwuję rozluźnienie dyscypliny, wynikające także z przeładowania szkół. Gmach został wybudowany dla dwóch szkół... (...) Teraz (od 1974 roku — przyp. P.T.) jest siedzibą jednej szkoły, Szkoły 42. Włączono do niej uczniów z drugiej szkoły zlikwidowanej, oraz uczniów z klas IV—VIII z sąsiedniej Tysiąclatki. (...)

Zadajemy sobie pytanie: gdzie tkwi przyczyna? Dlaczego obniżył się autorytet nauczyciela? Czy tylko dlatego, że mało zarabia?"

Dyrektor **LUCYNA GASZEWSKA** twierdzi, że nie ma w zasadzie powodów do narzekania. Udało się jej nawet ostatnio obsadzić wakujące stanowiska nauczycieli od wychowania muzycznego, których zawsze brakowało.

Młodzi pedagodzy są na pewno merytorycznie lepiej przygotowani, ale czy wszyscy trafiają do tego trudnego zawodu w wyniku świadomego wyboru? Na studiach nauczycielskich nie dokonuje się właściwie żadnej selekcji. Ludzie często idą pracować dziś do szkoły, ponieważ nie udało się im znaleźć nic lepszego. Poza tym w Czterdziestej Drugiej, a i w innych szkołach zdecydowana większość kadry, to kobiety, które są również żonami, matkami i też muszą „odstać swoje" w kolejce po mięso. Nie jest to bez znaczenia, choć dyrektor Gaszewska podkreśla stale, że pedagog powinien swoje prywatne sprawy zostawić przed wejściem do szkoły.

9.

Przeglądam protokoły z posiedzeń Rady Pedagogicznej z lat 1961—1967. Znajome nazwiska, znajome sprawy. Jakże inaczej jednak wyglądające z tej drugiej strony, która dla nas, uczniów, otoczona była mgiełką tajemnicy.

Wynotowuję niektóre zalecenia dla naszej „pani" i innych „pań": rozwijać samodzielne myślenie ucznia, częściej korzystać z pomocy szkolnych, punktualnie z dzwonkiem wychodzić z pokoju nauczycielskiego, nie obciążać zbytnio uczniów pracami domowymi (np. w drugiej klasie norma wynosi 45 minut dziennie).

Gdzieś dalej uwaga, by stanowczo zabronić wożnemu stosowania kar cielesnych.

Przeglądam kroniki samorządu uczniowskiego. I znów zaskoczenie, zdumienie nawet — tyle, że innego rodzaju: opisy jakichś uroczystości, wzmianki na temat rocznic, ważnych wydarzeń w kraju... Nic, absolutnie nic z tego nie pamiętam. Nie tym żyliśmy, to nie nasze problemy, nie nasze sprawy! Zastanawiam się, dla kogo było to pisane? Po co?

Ale to również jest świadectwo minionych dni, fragment historii szkoły, polskiej oświaty, kraju...

10.

Zobaczyć, jak najwięcej zobaczyć, zajrzeć w każdy kąt, by obudzić w pamięci to, co uśpione.

W bibliotece — świetlica; w pracowni fizycznej — *biblioteka, wyburzona ściana; w pokoju nauczycielskim* — archiwum; w naszej klasie — pracownia biologiczna akwaria, preparaty nowoczesne ławki, szafy, nowa tablica. Niestety, nie ma już naszej klasy!

Przez chwilę ogarnia mnie zwątpienie, czy dobrze zrobiłem przestępując ponownie próg mojej — nie mojej już szkoły.

— Czy chce pan jeszcze zobaczyć stołówkę i kuchnię?

— Proszę bardzo — mówię bez przekonania, schodzimy na dół i nagle... kluski na parze z sosem truskawkowym, nasze ulubione świetlicowe danie. Nigdy już później i nigdzie tak nie smakowały. Boże, jakże chętnie zjadłbym tu znów choć jedną!

Nie, teraz wiem już, że lepiej tego nie robić.

11.

W dawnym gabinecie kierownika zlikwidowanej Szkoły Podstawowej nr 162 — izba tradycji. Dokumenty, eksponaty, sztandar „Staszica" ufundowany dla szkoły w 1965 roku przez społeczeństwo Górnej. Drugi sztandar, gdyż pierwszy — z 1931 roku zrabowali hitlerowcy w pierwszych dniach wojny i nikt go od tamtej pory nie widział. Nikt oprócz jednego człowieka — pracownika Uniwersytetu Śląskiego z Katowic, autora listu do „Przekroju", ukrywającego się pod inicjałami M.B.

W 1980 roku opisał on w popularnym krakowskim tygodniku przygodę, jaka przeżył na wakacjach we Francji „w małej normandzkiej wiosce". Spotkał tam mianowicie przypadkiem staruszka, członka ruchu oporu w czasie okupacji, który wraz z bratem i paroma innymi osobami brał udział w ataku na niemiecką ciężarówkę w 1943 (lub 1944) roku. Po kilkudziesięciominutowej walce ciężarówka została zdobyta. Przewożono nią hitlerowskie sztandary, a wśród nich... sztandar z Polski, z Łodzi, sztandar Szkoły Powszechnej im. Stanisława Staszica.

Staruszek zatrzymał go na pamiątkę — smutną, gdyż w potyczce o ciężarówkę zginął jego brat — i przyrzekł sobie, że odda pierwszemu spotkanemu po wojnie Polakowi. Tym pierwszym był właśnie M.B. Sztandaru jednak nie otrzymał, albowiem staruszek zmienił nagle zdanie, powiedział, że dopiero po jego śmierci rodzina przekaże sztandar do Polski i na tym się rozmowa skończyła.

M.B. odmówił udzielenia informacji, jak nazywa się „mała normandzka wioska", gdzie mieszka ów staruszek i jak można by się z nim skontaktować. Mimo to, nie należy tracić nadziei, że kiedyś sztandar powróci tam, gdzie jego miejsce — na ulicę Przyszkole 42.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

ze str. 1

znaczenie przy układaniu repertuaru miesiąca — nic nie jest przypadkowe w tym teatrze.

W piątek — dzień postu i zamyślenia — „Wielki teatr świata" Calderona de la Barca, rodzaj moralitetu w konwencji teatru plebejskiego o stosunku człowieka do świata, ludzi i Boga, o karach i nagrodach za złe bądź dobre życie, o tym, jak dużo zależy od nas samych przy wybieraniu drogi, o czynieniu dobra i jego przewadze nad złem, o pochwale pracy i skromności, o ukaraniu pychy, głupoty, skąpstwa i egoizmu, o tym wreszcie, że dola człowieka bywa igraszką, kaprysem losu — upostaciowanego na potężnego Autora — robiącego z

mają trudne zadania, wywiązują się z nich jednak dobrze i bardzo dobrze. Reżyser przedstawienia, Andrzej Dziuk, występujący jako Autor, ma świetne pomysły inscenizacyjne, a autorem scenografii jest zmarły niedawno Tadeusz Brzozowski, entuzjasta i przyjaciel Teatru im. St.I. Witkiewicza, który był jego ostatnią pasją. Tadeusz Brzozowski zaprojektował również kostiumy do tego bardzo interesującego przedstawienia.

Następnego dnia, w sobotę, w dzień uciech, zabawy i beztroski, oglądamy „Cabaret Voltaire" — seans dadaistyczno-surrealistyczny. Zasiadamy przy kawiarnianych stoliczkach, zastawionych dzbanami z kefirem i rzodkiewkami (zimą podaje się grzane wino), roznoszona jest również gorąca herbata. Sala nabita. Ludzie siedzą

„Sic et Non" — Misterium — na podstawie „Abelarda i Heloizy" Ronalda Duncana. Autorem scenariusza, scenografii i reżyserem spektaklu jest Andrzej Dziuk. Publiczność oczekująca w foyer (około 50 osób, ilość miejsc ograniczona) zostaje wprowadzona do salki, gdzie odbywa się przedstawienie, przez dwóch pątników dzwoniących w dzwonki kościelne. Wchodzimy na podium, będące sceną i widownią i zasiadamy w kościelnych ławach. Intensywny zapach kadzidła, ciemność, tylko wąski snop światła pada na małą scenkę. Dzwonki milkną, zapada niezwykła cisza, nieprzerwana po stronie widowni do końca. Nastrój, jaki tworzy się już od wejścia jest niepowtarzalny. Kolejny świetny pomysł inscenizacyjny Andrzeja Dziuka. Z aktorów, znów dających popis swych możliwości,

można robić teatr mądry, artystyczny, ważny i „gorący" bez uciekania się do ulotnych drwinek, skandali, półpornografii, czy epatowania odwagą polityczną „z grubej rury".

W tematach podejmowanych przez Andrzeja Dziuka również mamy politykę, sprawy bardzo aktualne, dotyczące nas wszystkich, ale podane inteligentnie, wymagające ruszenia mózgiem, a przy tym nie odbijające się ujemnie na artystycznej stronie spektaklu, co jest przedmiotem szczególnego starania pana Andrzeja. Gdy przed rokiem rozmawiałem z nim o przyszłości Teatru, dawało się wyczuć niepokój i niepewność, mimo sprecyzowanego do końca pomysłu na całość przedsięwzięcia. Dziś sukces stał się

Fenomen pod Giewontem

człowiekiem co zechce, ku przestrodze i pouczeniu widza. Niby wiemy o tym wszystkim, lecz pamięć ludzka jest krótka i zawodna, przypominać więc należy od czasu do czasu elementarne prawdy o nas samych, by zmusić do krótkiej choćby (lecz jednak) porozmyślań nad życiem, jego sensem, wartościami, itd. Jednym z wielu zadań sztuki jest przecież zmuszenie do myślenia, co podobno uszlachetnia i upiększa wnętrze człowieka. Przedstawienie reklamowane jest tak: *„Komedia o ludzkim życiu! Człowiek aktorem? Życie teatrem??? Musisz to przeżyć!!!"*, a fragment tekstu ks. Józefa Tischnera pt. „Szkoła człowieczeństwa" zamieszczonego w programie, mówi właściwie wszystko:

„...Świat jest czymś niezwykłym, wielkim, tajemniczym, może nawet, jak potem powie Schelling, jest on »poezją nieuświadomioną« — ale jest to tylko scena, scena ludzkiego dramatu. Natomiast człowiek jest aktorem, a więc artystą swego losu i swej osobowości — jest twórcą. Bóg posyła ludzi na świat, aby dali popis swoich możliwości. Jakaż sztuka najbardziej powołana jest do tego, by opowiadać o prawdzie człowieka, jeśli nie sztuka teatru? Muzyka, malarstwo, rzeźba — wszystko powinno znaleźć się na scenie, gdzie jest ich miejsce. Wszyscy jesteśmy aktorami Na naszą grę kieruje się spojrzenie Wielkiego Autora. Role są wyznaczone. Czas i miejsce także. Gramy lepiej lub gorzej i na tym polega nasza wolność. Nasza wolność jest wolnością wcieloną, sytuacyjną, konkretną. Nie oznacza to jednak zniewolenia. Wybór dobra lub zła jest wciąż w naszym zasięgu.

Przedstawienie odbywa się w największej sali, publiczność stoi, ławki przeznaczone są dla osób starszych. Widzowie również są reżyserowani, aktorzy pomocniczy nakazują zmiany miejsc, akcja przenosi się w tę część gdzieśmy przed chwilą stali lub siedzieli. Przedstawienie jest dynamiczne, prowadzone w dużym tempie, aktorzy

na podłodze między stolikami, stoją pod ścianami, tak jest ponoć zawsze. Aktorów tego teatru wielka frekwencja już przestała dziwić, sprawiać im to musi natomiast ogromną przyjemność.

Rozpoznaję twarze tych, którzy byli poprzedniego dnia w Teatrze (będą oni również nazajutrz), a wśród nich młodą dziewczynę w inwalidzkim wózku, wpatrzoną jak zaczarowana w akcję sceniczną. Zabawa jest przednia, pomysły kapitalne, tempo znakomite. Nie jest to jednak, wbrew pozorom, zabawa prosta i łatwa. Trzeba porządnie wysilić wyobraźnię i rozum, by wyczuć pod- i nadteksty, rozpoznać pastisze np. z Becketta i Ionesco, wychwycić odniesienia, aluzje — przede wszystkim artystyczne, mniej — polityczne. Bo jest to kabaret artystyczny. Publiczność reaguje żywo, czasem wręcz żywiołowo, w lot odczytuje cienką kreską malowane znaczenia, absurdy, szyderstwa — słowem — wystawia sobie jak najlepszą cenzurę. Trójka aktorów dopasowała się do ogólnego poziomu (a może odwrotnie?) dając popis kunsztu scenicznego. Balansują na krawędzi kiczu (jest to zamierzone), nigdy jednak nie przechodzą w obszary jego królestwa. Znawcy twierdzą, iż prawdziwa sztuka zawsze mieszka przez ścianę z kiczem. Bardzo dobry był Andrzej Jesionek, ale i Dorota Ficoń, a także Lech Wołczyk świetnie czują się w takiej konwencji, ujawniają dużą vis comica, sprawność ruchową i świetne wyczucie niełatwego przecież tekstu. Reżyser, scenarzysta i autor scenografii, Andrzej Dziuk, włączył w widowisko teksty m.in. Tristana Tzary („Serce na gaz"), Georga Riesemont-Dessaignesa („Niemy kanarek"), wiersze Paula Eluarda oraz fragment „Pożądania schwytanego za ogon" Pabla Picassa. Muzykę skomponował Jerzy Chruściński, kierownik muzyczny Teatru im. St.I. Witkiewicza.

Niedziela jest dniem ciszy, modlitwy i nieokreślonej tęsknoty. Tego dnia oglądamy

tym razem dramatycznych (Dorota Ficoń, Krzysztof Łakomik i Lech Wołczyk), zaimponował mi ten ostatni, który przez cały czas trwania spektaklu, nie biorąc zbyt często udziału bezpośredniego w akcji scenicznej, siedział na podłodze z nienaturalnym grymasem jakby sparaliżowanej twarzy i wytrzeszczonym jednym okiem — i ani na chwilę nie wypadł z roli. Dzieję dwojga tragicznych kochanków, srodze potraktowanych przez los, a raczej wymogi religii, ogląda się w skupieniu i w skupieniu wychodzi z teatru. Aby przedłużyć nastrój, przy wyjściu ustawiają się pątnicy z blaszanymi żebraczymi puszkami, zbierając datki. Żegna nas dźwięk dzwonków kościelnych.

Wszystkie omawiane przedstawienia poruszają (każde z innego powodu i na inny sposób) widownię. Po wyjściu na ulicę słychać rozmowy o tym, co działo się na scenie i poza nią, szczególna atmosfera Teatru otacza nas bowiem od samego wejścia do gmachu gigantycznej willi zakopiańskiej, gdzie na parterze usytuował się opisywany przybytek sztuki. W którym teatrze można napić się przed przedstawieniem (po również) gratisowej herbaty i pogawędzić choć przez chwilę z kierownikiem artystycznym lub aktorem, nie znając go wcześniej? Dlatego po wyjściu z teatru miejskiego (jakiegokolwiek) słychać najczęściej rozmowy o pieniądzach, trudnościach, kolejkach lub innych sprawach codziennych, rzadko bowiem teatr działa na widza w sposób tak magiczny jak ten zakopiański, im. Witkiewicza.

Teatralnym autorem trzech opisywanych spektakli jest Andrzej Dziuk. Tak różne teksty, konwencje i inscenizacje umiał zabarwić swoją osobowością i oryginalnością. Dowiódł, że jest niezwykle zdolnym artystą, przy sprawdzonych już wcześniej talentach organizacyjnych i dyplomatycznych. Pokazał swoje wielkie możliwości, a także możliwości zespołu, którym kieruje. Udowodnił, że

faktem: tłumy publiczności, pochlebne artykuły i recenzje we wszystkich chyba polskich tygodnikach i nie tylko, nagroda I stopnia im. Stanisława Wyspiańskiego dla zespołu. Teatr został zauważony w Polsce, przybywa dosłownie z dnia na dzień przyjaciół, sympatyków, czy wręcz entuzjastów. Wokół Teatru zaczyna tworzyć się ruch intelektualny (w znaczeniu ruchu myśli), odbudowujący powoli tradycję Zakopanego jako artystycznej stolicy Polski. I nie ma w tym, co piszę, żadnej przesady. Trzeba pojechać pod Giewont i przekonać się o tym samemu. Nie sądzę, by ktokolwiek żałował takiej decyzji. Urodziło się i trwa pewne zjawisko, już silnie oddziałujące na pokolenie młodej inteligencji. I to nie w Warszawie, Krakowie czy innym wielkim ośrodku miejskim, tylko na tak często pogardzanej przez „wielkich" — prowincji. Dziwny tylko i smutny jest fakt, że tam, na miejscu, lokalne władze w dalszym ciągu nie wierzą w sukces Teatru i czekają na jego porażkę, której są absolutnie pewni. Teatr? W Zakopanem? To się nie może udać! Jednak się udało. Oby tylko urzędnicy od kultury nie zechcieli pomóc swym czarnym oczekiwaniom i udowodnić, że nigdy się nie mylą. Znamy i takie przypadki.

Pora jednak przedstawić pozostałych twórców wspaniałego zakopiańskiego Teatru. Są to (poza wymienionymi wcześniej): aktorzy: Karina Krzywicka, Marta Szmigielska, Piotr Dąbrowski, Krzysztof Najbor, Piotr Sambor, plastyk Elżbieta Wernio, sekretariat prowadzi Brygida Jesionek, dział literacki jest w rękach Iwony Romanówny, kierownik techniczny, to Beata Wodecka i dwaj pracownicy techniczni: Maciej Bielawski i Stanisław Ziemianek. Stale z Teatrem współpracują: Ewa Dyakowska-Berbeka i Jadwiga Król. Ten mały zespół ma w tej chwili w repertuarze dziewięć przedstawień!

Przyjaciele, robicie wielką rzecz!

MAREK KOPROWSKI

Mówi: Bogdan Łazuka

— Jest pan aktorem i piosenkarzem, ale coraz rzadziej słyszę pana śpiewającego na estradzie. Co się stało?

— Stała się rzecz następująca: jestem aktorem teatru „Syrena" od czterech sezonów i mam przeróżne zajęcia typu zawodowego właśnie na Litewskiej 3, gdzie mieści się „Syrena". Obliguje mnie to tak bardzo, że coraz mniej mam czasu, by „indywidualnie krępować publiczność moją skromną osobą". Co prawda jeżdżę na spotkania, które są bardzo kameralne i, muszę powiedzieć bez cienia megalomanii, że to co robię, ludziom się podoba.

— Pamiętam pana z piosenek — szlagierów, że przypomnę „Charlestona" czy „Bogdan, Bogdan, trzymaj się!". Jeździł pan niegdyś po kraju z programem „Popierajmy się", był pan na ustach wszystkich, a teraz jest pana jakby mniej...

— Powiem panu otwarcie: człowiek osiągnął już pewien wiek, zarówno zawodowy, jak i biologiczny.

— Czyżby fotel, ciepłe pantofle i miła żonka?

— Szukam nie wygody, broń Boże, ale stabilności w wyrażaniu czegoś, w czym mógłbym się określić precyzyjnie. Mnie już w tej chwili nie za bardzo wypada ryzykować. A pierwszy okres, o którym był pan uprzejmy wspomnieć, był bardziej emocjonalny, nieskonkretyzowany...

— Do wieku patriarchalnego jeszcze panu daleko...

— W moim przypadku jest to sprawa administracji swoim czasem oraz to, że już najwyższy czas, kiedy powinienem się określić jako postać na estradzie. Ostatnie moje piosenki, które jakoś długo pozostawały w obiegu, to był „Entliczek — pentliczek" i „Ananasy", które mnie prześladują.

— Pański sposób bycia na estradzie sugeruje, że jest pan typem bon vivant'a i po trosze Casanovą...

— Na szczęście nie jestem w tym odosobniony.

— To nie jest odpowiedź.

— Dobrze, powiem to inaczej. Otóż wydaje mi się, że aktor żyjący współcześnie musi być człowiekiem otwartym, tzn. doceniać to, co wokół się dzieje. Jeśli zaś chodzi o mnie, jako mężczyznę, to przecież coś we mnie musi być, skoro czwarta kobieta wychodzi za mnie za mąż. To jest stan na dzień dzisiejszy.

— A czy jest pan koneserem piękna?

— Ostatnio byłem jurorem konkursu „Miss Polonia", a więc widać ludzie mają do mnie w tej dziedzinie zaufanie.

— O tym konkursie słyszałem różne opinie, nie zawsze pochlebne.

— Podczas tego typu konkursów, gdy odbywa się głosowanie, jurorów zamyka się w osobnym pomieszczeniu. Być może niektórym to nie odpowiadało w sensie entourage, ale Opera Leśna to przecież nie Hilton. Zapewniam jednak, że oddaliśmy swoje głosy zgodnie z regulaminem.

— Jaki był pański typ?

— Mój typ był zupełnie inny, jednak głosy pozostałych przeważyły. Myśmy z Markiem Piwowskim i dyrektorem Pietkiewiczem mieli ten sam typ. Dobrze się złożyło, że pan reprezentuje prasę łódzką, bo chcę powiedzieć, iż moim typem była łodzianka nr 12, której twarz została uwieczniona jako symbol Matki Polki. Jest to bardzo piękna kobieta.

— Dobrze, potraktujmy pańską skłonność ku płci pięknej jako rzecz naturalną, jako wrodzoną cechę charakteru. Wobec tego, czym się pan pasjonuje?

— Moje hobby nie jest tyle nudne, co oryginalne i nie za bardzo pasuje do mojej sylwetki. Otóż zbieram z całego świata pocztówki z widokiem zachodzącego słońca.

— Istotnie oryginalne zainteresowanie. Ile pan tego ma?

— Po pewnej selekcji moja kolekcja liczy 627 kart. Mam do tego specjalne albumy, klasery...

— W jaki sposób je pan zdobywa?

— Od przyjaciół, przeważnie dziennikarzy jeżdżących po świecie. Mam nawet z Nowej Zelandii.

— Inne pańskie zainteresowania?

— Jestem zapalonym kibicem piłki nożnej i to na tyle, że mój czternastoletni syn Adam jest w tej chwili w kadrze juniorów „Legii" i przebywa aktualnie we Włoszech.

— Więc jest pan kibicem „Legii", której ja z kolei nie lubię, bo moimi ukochanymi drużynami są „Górnik" Zabrze oraz „Widzew".

— Jestem kibicem „Legii", bo nie mam większego wyboru. W Warszawie mamy tylko tę drużynę w pierwszej lidze. Sercem byłem z „Motorem" Lublin, ale jakoś im się nie udało w minionym sezonie i pożegnali się z ekstraklasą.

— Co jeszcze można byłoby powiedzieć o Bogdanie Łazuce, czego inne gazety dotąd nie napisały?

— Niezbyt skomplikowany, nieoryginalny w pojęciach, przystosowany do rzeczywistości, sentymentalny, jeśli chodzi o rodzinę...

— A jakim jest pan kierowcą?

— Ostrożnym. W ciągu 20 lat nie miałem jeszcze wypadku.

— Lubi pan pitrasić?

— Od tego jest moja wspaniała żona. Natomiast chętnie robię zakupy, a to dlatego, że mogę kupić to, co sam lubię.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, to pańska żona przyrządza znakomite zakąski, a pan zajmuje się alkoholami...

— Trzy i pół roku temu alkohol wykreśliłem ze swojego jadłospisu.

— Jak pan to znosi, tylko szczerze!

— Szczerze: lepiej się czuję, ale nudniej.

— Co jeszcze pan uwielbia na tym pięknym świecie?

— Zawodowo: kiedy jestem po jakiejś premierze, a prywatnie: kiedy moja żona nie wynajduje mi żadnych zajęć.

— Gdzie pan wypoczywa?

— W Kazimierzu nad Wisłą. Tam się nie nudzę. Jestem jak Japończyk: wyjeżdżam do Kazimierza na tydzień i wracam całkowicie wypoczęty.

— W Kazimierzu pan oczywiście szaleje?

— Tylko spaceruję nad Wisłą.

— A jak przedstawiają się pańskie lektury? Co pan ostatnio czytał?

— Czytam, a właściwie uczę się tekstu Tuwima pt. „Karol". Jest to tak zwane znalezisko, rzecz bardzo wprost i bardzo śmieszna, ale nieznana. Przygotowuję to na występy do RFN.

— Życzę sukcesu i dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

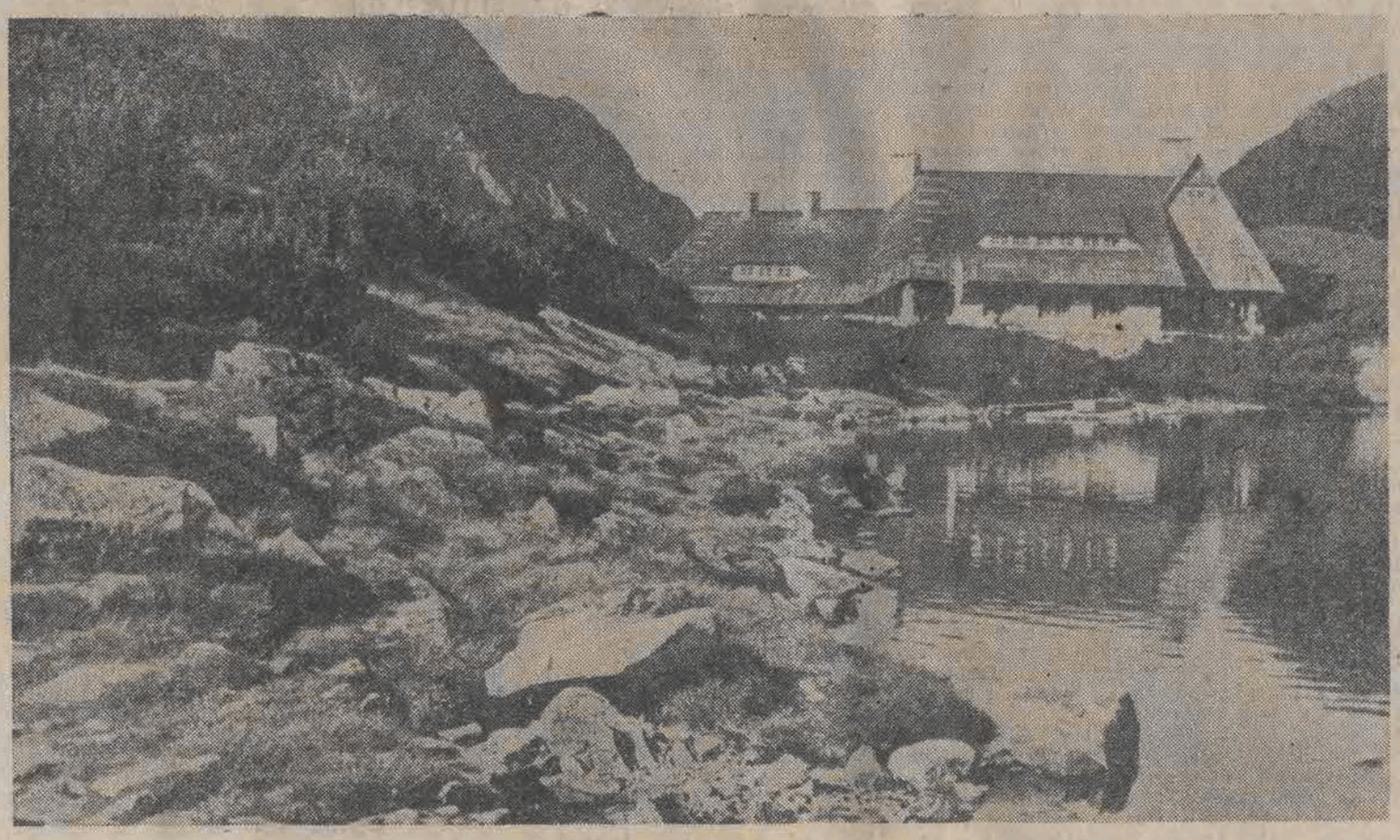

Schronisko w Dolinie Pięciu Stawów

Poezja północy

Mikkjal Dánialsson á Ryggi

Sztorm

Potężny on —
rozwala szerokim hukiem
głębiny mórz,
w dalekim pustkowiu chrzęści.
Potężny on —
niedźwiedziej złości pomrukiem
wyrywa dań
i rwie ją wściekle na części.

Wąwozem gna —
przesmykiem mocarnej siły,
dla niego świat
bez przeszkód ziemia niczyja.
Jak wiosłem w tył
stwardniałe odsuwa bryły,
kamieni stos —
o skalne ściany rozbija.

I sypie piach,
dolewa do słonej piany —
w dolinach już,
nawet na bagnach szaleje,
po piasku pląż
przetacza morskie bałwany
i ostrzy ząb,
zgrzytem o burty i reje.

A tam od gór
krzyk dziki i wrzawa dźwięczy —
to stary troll
do ciężkiej walki wystąpił.
Szalony ryk,
wiatr wschodni po szczytach jęczy.
Huragan dmie —
ostrego świstu nie skąpi.

Już ściany drżą —
chwieje się pałac północy,
Hagena Dwór
pęka jak orzech w łupinie.
Lecz jednak wciąż,
choć ręką słabnącej mocy,
miotając grom —
potężny jeszcze — nie ginie.

Niech będzie sztorm,
niech będzie walka do końca —
tylko wśród burz
kradziona siła ucieka,
życiowa gra
w blasku pogody i słońca
zbyt mało da —
bezsilnym czyni człowieka.

Niech ryczy sztorm,
niech fala spieniona bije —
pragnienia czyn
w mozolnej spełnia się męce,
i wschodzi kłos,
a ziarno zwycięstwem żyje —
wtedy jak stal
człowieka głowa i ręce.

Stephan G. Stephansson

Pozdrowienie Ojczyzny

Jeżeli nawet wśród długich podróży
Dotknąłeś stopą wszystkie świata kraje,
To jednak w myślach i w sercu głęboko
Twój kraj ojczysty wiernie pozostaje:

O — morze lodowate
I ty — wulkanie drzemiący.
Spieniony wodospadzie,
Gejzerze — źródłem rwący!
Budowniczowie wieków —
Kamieniem na usypiskach,
Tych wzgórz okrytych ciszą,
Gdzie kwiatem lśnią wrzosowiska,
Wy — szkerów gospodarze,
Dziedzice wiecznego śniegu,
Błysków czystego nieba
I skalnych morza brzegów!

Kiedy myśl twoja biegnie ponad światem,
Krąg nieboskłonu wędrówką przecina —
Niejedno jeszcze pochylone drzewo
Runie zwalone w Przyszłości krainach.

Lecz na krawędzi morza,
Które za Wieczność stanie —
Twa ukochana wyspa
Wiekami trwa nieprzerwanie.
Podobna Światu Wiosny
Bez nocy ciemnej i mglistej.
Oddechem przepojona
W przestrzeni wolnej i czystej.

Ty śnisz o cichych Islandii ustroniach.
Tu twej ufności na zawsze mieszkanie —
Tam, gdzie lodowce potężne spływają,
Pysznią się wzgórza w kwitnącym dywanie.

O — morze lodowate
I ty — wulkanie drzemiący.
Spieniony wodospadzie,
Gejzerze — źródłem rwący!
Budowniczowie wieków —
Kamieniem na usypiskach,
Tych wzgórz okrytych ciszą,
Gdzie kwiatem lśnią wrzosowiska,
Wy — szkerów gospodarze,
Dziedzice wiecznego śniegu,
Błysków czystego nieba
I skalnych morza brzegów!

Przekład: JERZY GŁUSZEK

Teatr od kulis

Michael Frayn, angielski dziennikarz, powieściopisarz, przede wszystkim jednak dramaturg, którego debiut przypadł na połowę lat sześćdziesiątych, nie jest w Polsce znany. Na premierę jego sztuki, o której krążyła fama, iż jest to komediofarsa niesłychanie zabawna, wybierałem się pełen gotowości do śmiechu, ale i do rejterady, gdyby akt pierwszy miał mnie zawieść. Nie ukrywam, że zawarliszy znajomość z postaciami sztuki i z głównym jej zamiarem — pokazania od strony kulis miernego raczej zespołu aktorskiego, przygotowującego nie najmądrzejszą komedyjkę, byłem skłonny dyskretnie się wymknąć, nie liczyłem bowiem na to, że jakaś miła niespodzianka może mnie spotkać.

Owszem, sam pomysł komediowego ukazania aktorskich i reżyserskich zmagań z oporną materią utworu scenicznego wydał mi się znakomity, odniosłem jednak wrażenie, że przedstawieniu nie dostaje trochę lekkości i wdzięku. Cóż więc jeszcze mogło się wydarzyć po akcie przedstawiającym, na zasadzie teatru w teatrze, próbę pełną nieprzewidzianych kłopotów i wpadek? A jednak pojawił się nowy pomysł autorski — usytuowania akcji drugiego aktu za kulisami, zza których, tzn. plecami do nas, ale przodem do znajdującej się z tamtej strony kulis widowni, wychodzą i powracają aktorzy, przechodząc od nastroju podniecenia grą do plotkarskiej codzienności teatralnej.

Wreszcie akt trzeci rozegrano znów na scenie, zarazem umownej (bo jakby „wewnątrz" tamtej sztuki), jak i rzeczywistej w stosunku do nas, widzów. No i tu dopiero nastąpiło spiętrzenie niezamierzonych sytuacji, od chwili bodajże trzem postaciom przypada rola w konwencji niejako jednopłaszczyznowej: Loretcie Cichowicz jako inspicjentce, Michałowi Kretowi jako pracownikowi technicznemu, Timowi i wreszcie Krzysztofowi Kaczmarkowi w roli reżysera, potraktowanej chyba zbyt „zasadniczo". Wyobrażałem sobie w tej roli Piotra Krukowskiego.

Bardzo konsekwentnie i precyzyjnie przeprowadziła swoją rolę rozbrajająco naiwnej Dotty Barbara Wałkówna, nieco wykolejonym pijaczyną w „prywatnym" wcieleniu był Ludwik Benoit, wcielający się „na scenie" w emerytowanego włamywacza, z którym towarzyski kontakt mógłby stanowić dla okradzionego prawdziwą przyjemność. Damskie powaby Barbary Dembińskiej (Brooke) nie pozwalały mi uwierzyć, że odtwarza postać podstarzałej aktorki, we właściwy komediowy ton utrafiła Teresa Makarska jako Belinda.

Ze względu na teatralną materię tej sztuki funkcjonalność scenografii (ciągłe ogrywanie wejść i wyjść, wraz z zamierzonymi „pomyłkami") miała tu pierwszorzędne znaczenie i myślę, że zdawała egzamin.

Nie jestem pewny czy z tego co napisałem wynika, iż na to przedstawienie wybrać się warto, jeśli ktoś ceni sobie rzeczy zabawne, a zwłaszcza humor tzw. zwariowany. Otóż warto!

JERZY KWIECIŃSKI

Michael Frayn: „Czego nie widać". Przełożyli: **Karol Jakubowicz** i **Małgorzata Semil**. Reżyseria — **Jerzy Hutek**, scenografia — **Barbara Stopka**. Premiera w Teatrze Nowym.

Jest tak, jak się państwu zdaje

Wokół „Doktora Faustusa"

Jan Kott, dopóki jeszcze był w kraju i pisywał recenzje, w nadtytułach zwykł nawiązywać do Szekspira. Wydał nawet kilka trudno dziś osiągalnych zbiorków, choćby „Miarkę za miarkę" czy „Poskromienie złośników" — ten ostatni, drukowany w Łodzi tomik w 1957 roku kosztował marnych 12 złotych!

Co do mnie — choć jak widać w ostatnich latach słowo drukowane niezwykle wprost wzrosło w cenie — uznałem iż mimo wszystko godzi się zachowywać proporcję a człowiek z prowincji nie powinien sięgać wyżej Pirandella. Ten przebrzmiały już, choć kiedyś ogromnie wzięty włoski autor w tytule jednej ze swoich sztuk zawarł myśl wcale zdrową, istotnie jest bowiem tak, jak się państwu zdaje i nie pomogą tu żadne manipulacje. Jeżeli widownia dyskretnie ziewa, a na sali skrzypią krzesła, winien jest teatr, nie publiczność, choć ewentualnie częścią odpowiedzialności można jeszcze obciążyć prasę.

Dyrektor Teatru Nowego Jerzy Hutek w wywiadzie udzielonym „Kalejdoskopowi" (nr 5 z maja br.) wypomniał na przykład nam, recenzentom, że nic, tylko „wyjaśniamy" i „przybliżamy", zamiast wpędzać ludzi w kompleksy i tworzyć snobizm na uczestnictwo w kulturze. Owszem, byłbym nawet za tym, pod warunkiem, że znajdzie się jakiś powód.

Od dłuższego czasu utrzymuje się na przykład zaiste snobistyczna moda na diabła. „Urok szatana" czy „Rosemary Baby" miały znakomitą frekwencję przed telewizorami, trudno dopchać się do Teatru Wielkiego na rock-Fausta Ewy Wycichowskiej, a o biletach na warszawskiego „Mistrza i Małgorzatę" w ogóle nie ma co marzyć. Boję się jednak, że „Doktora Faustusa" nie uniesie ta fala powodzenia, spektakl brzmi głucho, nie porusza, nie budzi żadnego odzewu.

Można wprawdzie ratując sprawę zacząć „wyjaśniać i przybliżać", teatr jednak podobnych tłumaczeń najwyraźniej sobie nie życzy i to tak dalece, że w programie nie ma słowa o epoce czy też o autorze. Jest w tym pewna konsekwencja, choć wątpliwa. „Zapomniano o pułkach profesorów, dywizjach docentów i doktorów, że nie wspomnieć o armiach magistrów" — mówił we wspomnianym wywiadzie Jerzy Hutek, niezbyt przejmując się faktem, że specjalizacje mamy dziś wąskie i jeden z drugim znakomity astrofizyk może o poetyce moralitetu wiedzieć akurat tyle, co ja o gwiazdach neutronowych.

Wspomniany artrofizyk rozezna się wszakże bez trudu, że Mefisto oszukał doktora Faustusa, wszechświat bowiem zbudowany jest całkiem inaczej, niż czart opowiada. Jeżeli tedy na widowni znajdzie się jakiś ambitny prawnik, obaj gotowi pospołu wysmażyć skargę rewizyjną, która wlec się będzie aż do Najwyższej Instancji.

To, rzecz zrozumiała, są żarty, całkiem serio myślę jednak, że wyliczone przez dyrektora Hutka dyplomowane wojsko — pomijając anglistów i Samodzielną Brygadę Teatrologów pod dowództwem prof. Kaszyńskiego — zapytane, ktozacz był Marlowe, w większości odpowie, że to detektyw, bohater powieści Chandlera. Tymczasem Christopher Marlowe istniał realnie, był rówieśnikiem Szekspira, umarł jednak młodo, zakłuty w jakiejś knajpie.

Anglicy uważają, że był to człowiek ogromnie zdolny i Marlowe też tak o sobie myślał, wszelako jego rola w historii dramatu to temat dobry na seminarium, gdy widza interesuje raczej, co pisarz i teatr dzisiaj mają mu do powiedzenia.

Otóż obawiam się, że bardzo mało. Nie znam spolszczenia Sity, z tłumaczenia Kasparowicza — zawierającego w dopiskach również bardziej rozbudowaną wersję dramatu — wynika jednak, że Marlowe dał materiał do wielkiego widowiska przypominającego po trosze baletowego „Pana Twardowskiego". Z mnóstwem duchów, książąt i kardynałów, a nawet z papieżem, któremu Faustus płata brzydkie figle.

To wszystko w ascetycznym, w zadziwiający sposób łączącym poetykę moralitetu z poetyką teatru studenckiego spektaklu Zbigniewa Micha zniknęło bezpowrotnie. Pozostał żądny wiedzy młody naukowiec, który bez dłuższych wahań sprzedaje duszę diabłu i niemal natychmiast zaczyna tego żałować, nie umiejąc jednak w porę zdobyć się na akt skruchy, w parę wieków później ładnie nazywany samokrytyką. Kończy tedy Faustus w piekle ku postrachowi maluczkich i łagodnemu znudzeniu bardziej dorosłych widzów.

Rolę tytułową bez głębszego zaangażowania odtwarzał Jacek Pawlak, choć scenę finałową miał ładną. Półnadzy Bronisław Wrocławski i Jolanta Banak byli rozdzielonym na dwie płcie Mefistofelesem, ale więcej biegali po scenie i pokrzykiwali niż rzeczywiście mieli do zagrania. Ładnym pomysłem było zwierciadlane ustawienie ról Anioła Stróża (Iwona K. Pawlak) i Anioła Kusiciela (Jolanta Nowińska), obie te bliźniaczo przybrane postacie różniły się bowiem od siebie jedynie rekwizytami.

Scenografię przygotowała Joanna Braun, ruch sceniczny — Zofia Rudnicka, oprawę muzyczną stanowił Koncert na klawesyn i orkiestrę Mikołaja H. Góreckiego

JERZY PANASEWICZ

Teatr Nowy, Mała Sala — Christopher Marlowe: „Doktor Faustus" — Spolszczył Jerzy S. Sito — Premiera prasowa 17. IX.1987.

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko — obyczajowa

CICHE NABOŻEŃSTWO

Stańczykowi, to jest błaznowi, umarła żona. Dał mu król Jan (Sobieski) złotych 200 na pogrzeb. Poszedł do ks. plebana, zapłacił, ale obligował go, żeby jutro po wschodzie słońca była zaraz eksportacja. Pyta się (ksiądz):

— *Czemu tak rano?*

Odpowie:

— Rad bym się jak naprędzej złego z domu pozbył. Po wtóre obliguję, żeby na pogrzebie nie było kapeli, ani żadnego śpiewania, tylko same czytane msze święte.

O godzinie 10 idzie też król do kościoła na modlitwę i przypatrzeć się z jaką paradą odprawuje się pogrzeb, a gdy ani kapeli, ani kapłanów śpiewających nie słyszy, dziwuje się i mówi do niego:

— *Czemu tak cicho w kościele rekwialne odprawuje się nabożeństwo?*

Odpowie:

— Miłościwy królu, żona moja była za żywota wesoła, światowa, gdyby kapela zagrała, to by licho z trumny wyskoczyło.

PASJA UCZONEGO

Znakomity Bandtkie wielkim był miłośnikiem szachów. W podeszłym mianowicie wieku gra w szachy stała się dla zasłużonego dziejopisa jedyną przyjemnością i rozrywką wśród uciążliwych badań i studiów. Owóż zdarzyło się razu jednego, że Bandtkie przyszedłszy do sali uniwersyteckiej, w której miewał odczyty archeologii, znalazł ławki opróżnione ze słuchaczy. Staruszek zapominał się często w wykładzie, mieszał swój przedmiot z postronnymi rzeczami, toż młodzież wolała przespać poobiednią godzinę w domu niż na lekcji uczonego profesora. Nareszcie zjawia się jeden uczeń, ale o kolegach ani słychu. Tres faciunt collegium, toż niepodobna rozpocząć lekcji, a do domu nie chce się iść w poobiednią godzinę. Nareszcie profesor wpada na genialną myśl:

— *Grywasz pan w szachy?* — zapytał.

— Znam początki — odpowie uczeń.

Rysy szanownego profesora przybrały wyraz serdecznej radości, wyjął z zanadrza składaną szachownicę, ustawił na niej figury i obaj zapaśnicy, profesor i uczeń, zasiedli do morderczej walki. Szczęściem uczeń okazał, że początki miał dobre, partia przeciągnęła się niespodziewanie, a sędziwy profesor na końcu ledwie się spostrzegł, że nauczyciel estetyki, mający tu mieć swoje prelekcje po odczycie Bandtkiego, wszedł do sali i z licznymi swymi słuchaczami przypatrywał się w milczeniu i z uśmiechem udziału toczącej się walce. Uczeń, który tyle okazał znajomości szachów, stał się codziennym gościem i przyjacielem domowym Bandtkiego.

Zamiłowanie uczonego staruszka w szachach objawiało się także innym, szczególniejszym sposobem. Bandtkie ulegał wspólnej pladze znakomitszych ludzi, to jest musiał przyjmować wizyty najrozmaitszych przyjeżdżających i nie przyjeżdżających, którzy chcieli go odwiedzić. Odwiedziny te zaprawdę nie najprzyjemniejsze, często z gościem nie ma o czym mówić. Ale Bandtkie radził sobie doskonale: po pierwszych pytaniach o miejsce mieszkania, cel podróży, drogę itp., zaprzegał gościa do szachów i jako z przyjemnością dla siebie zabijał czas wizyty. Czasem, niestety, gość nie umiał szlachetnej sztuki wschodnich mocarstw. Wtedy zwykła się była toczyć następująca rozmowa:

— *Zapewne grywasz pan w szachy?*

— Nie, panie dobrodzieju, ja tylko w warcaby grywam i w diabełka.

— Tak — zauważał na to profesor z bolesnym westchnieniem i dodawał żałośnie: — Ha, to chyba będziemy gadali.

„Dziennik Literacki", 1859

O LUKRECJI

Lukrecyja w czci obronie
Utopiła sztylet w łonie.
W rzymskich dziejach to czytamy,
A cóż na to nasze damy?
Każda by się przebić chciała,
Ale puginaiem z ciała.

I. P. Legatowicz (z rękopisu)

WIĘCEJ PRACOWAŁ GĘBĄ

Przechodząc się król Stanisław August po Ogrodzie Saskim, zobaczył szlachcica polskiego, w kontuszu, z szablą, który miał siwą brodę, a głowę jak kruk czarną. Uderzony takową sprzecznością zapytał obecnych dworzan o przyczynę. Na co Wolski szambelan, sławny z dowcipu, odpowiedział:

— *Najjaśniejszy Panie, dlatego ma siwą brodę a głowę czarną, że więcej pracował gębą niż głową.*

„Kurier Warszawski", 1829, nr 33

NA POETÓW NIERYMOWYCH

Wy! co Polskę dziwicie wierszem nierymowym,
Próżno zawiść powstaje przeciw rzeczom nowym,
Prawo z wami, wyraźnie mówi statut Feba;
„Gdzie sensu nie ma i rymów nie trzeba".

Antoni Gorecki (1818)

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

XII Festiwal Polskich Filmów Fabularnych (2)

W stronę przeciętności

TOMASZ KUBIK

W konkursie wystartowało dwadzieścia sześć filmów, w tym osiem telewizyjnych i może o tych najpierw, jako że stanowiły poniekąd festiwalowy margines i jury nie przyznało nagrody w tej kategorii, a szkoda, gdyż było w tej grupie kilka interesujących propozycji.

Franciszek Trzeciak, który osiągnął wysoki cykl produkcyjny i majstruje jeden film rocznie, na szczęście powrócił do tematyki wiejskiej — mocno zaniedbanej albo wykoślawionej w filmie polskim — i przedstawił „Ojcowiznę", jak to się mawia — kawał prawdy o problemach polskiej wsi. Bohater rezygnuje z kariery sportowej i zostaje na wsi, co odbija się na jego życiu osobistym, gdyż dziewczyna studiuje i nie ma ochoty wracać „na gnój", a rodzeństwo mieszkające w mieście traktuje go z rezerwą i przyjeżdża tylko przed świętami.

„Druga strona medalu" Janusza Petelskiego to debiut w niedojrzałości swojej dojrzały, gdyż niedociągnięcia dramaturgii nie pozwalają zarżnąć widza mądrością, a dobra gra pary aktorskiej: Marka Walczewskiego i Ewy Sałackiej, oraz pogodna muzyka, która sączy się w ucho jak dźwięki harfy na przyjęciu w willi rzymskiego patrycjusza, sprawiają, iż można odetchnąć i przewietrzyć znużony codziennością umysł.

Temat wojenny jakby się w polskim filmie wyeksploatował, gdyż amunicji zużyto już tyle, ile w kilku większych bitwach na polach II wojny światowej i padło mrowie statystów, a więc dalsza penetracja tej tematyki wymaga większego zaplecza intelektualnego. „Pogrzeb lwa" Jana Rutkiewicza na podstawie opowiadania Jana Gierałtowskiego, to być może zwiastun tej optyki. Rutkiewicz dość wiernie filmuje przerażliwie smutną prozę Gierałtowskiego. Okupacja zaznaczona jest tu nienachalnie, ale przez to wciska się do każdego zakamarka duszy — trup na ulicy, transport do obozu pod semaforem, rozwydrzone łotdactwo hitlerowskie w cyrku, złożone z czegoś, co kiedyś było ludźmi.

Wiesław Saniewski w „Wolnym strzelcu" nakręconym w 1981 roku próbuje ukazać zwyrodnienia, które miały miejsce za rządów Gierka u schyłku lat siedemdziesiątych. Znany dziennikarz próbuje wyjaśnić sprawę śmierci robotnicy w zakładzie pracy i przy okazji publikacji materiału dowiaduje się, że jego artykuł to tylko sposób na usunięcie nieudolnego dyrektora. Reportażowa maniera Saniewskiego drażni i zaciera przesłanie, które jest ubożuchne i równie dobrze mogłoby stać się tematem felietonu: polityką kadrową powinna rządzić rzeczywista przydatność zatrudnionych, a mechanizmy kontrolne, do jakich między innymi należy prasa, powinny być jak najmniej skrępowane.

Pomysł przeniesienia na szklany ekran opowiadania Czechowa nie jest najszczęśliwszy, gdyż jedynymi specjalistami od swoich klasyków są Rosjanie, którzy siłą rzeczy najlepiej czują rosyjską duszę i rosyjskie realia. Temat sam w sobie „Sali nr 6" Krzysztofa Grubera na podstawie opowiadania pod tym samym tytułem jest o tyle ważny, że podejmuje wątek psychiatryczny, jak dotąd traktowany w polskim filmie marginesowo.

„Nieproszony gość" Feliksa Falka, to jeden z najbardziej przykrych incydentów na tegorocznym festiwalu, ponieważ zrealizowano już sztukę telewizyjną na podstawie tego samego scenariusza. Co prawda Falk wyjaśnił na konferencji, że scenariusz jest jego, a sztukę zrobił ktoś inny, ale skoro tak bardzo zdenerwował się tą nieprawością, to mógł w szale twórczym napisać nowy scenariusz, co przy trudnościach finansowych, z jakimi boryka się kinematografia, byłoby bardziej pożądane.

Mariusz Malinowski „Sprawą hrabiego Rottera", która była już pokazana w telewizji przed festiwalem, dokonał chłodnej rekonstrukcji wydarzeń i rozprawy sądowej sprzed wojny. Podejrzanym i następnie oskarżonym jest tytułowy hrabia Rotter w wykonaniu Marcina Trońskiego, który jednak z racji warunków zewnętrznych bardziej pasowałby do ról starzejących się gwiazd boksu.

Jedyną próbą rejestracji otaczającej nas rzeczywistości jest „Głód serca" Romana Załuskiego, w którym śmiech mieszą się ze smutkiem, ale nie jestem pewien, czy reżyserowi właśnie o to chodziło. Nie do końca dopracowany tekst i kilka scen banalizują fabułę.

Zawód scenarzysty w Polsce jest w zaniku, co częściowo tylko tłumaczy pasję pisarską reżyserów. Przywrócenie właściwej rangi tej profesji to jeden z najbardziej wskazanych środków leczniczych polskiej kinematografii i podwyższenie jakości produkcji. Co prawda kilku reżyserów podołało obowiązkom scenarzysty (np. Bajon, Koterski), ale większość, która zaufała swoim talentom, niewiele wzniosła się ponad poziom kawiarnianego grafomana, jak na przykład Piwowarski.

Za kryterium klasyfikacji filmów fabularnych przyjąłem treść, gdyż tak zwane gatunki filmowe jak komedia, melodramat, dramat psychologiczny czy obyczajowy etc. nie zmaterializowały się w czystej postaci. I tak wyróżniam: filmy dla dzieci — „Cudowne dziecko", „Przyjaciel wesołego diabła"; ekranizacje liczących już blisko sto lat powieści — „Wierna rzeka", „Między ustami a brzegiem pucharu", „Łuk Erosa", „Komediantka", „Magnat" Filipa Bajona; filmy o czasach stalinowskich — „Matka Królów", „Niedzielne igraszki", „W zawieszeniu"; rejestracje współczesności — „Anioł w szafie", „Maskarada", „Przypadek", „Śmierć Johna L.", „Życie wewnętrzne"; wspominek z lat sześćdziesiątych „O rany, nic się nie stało!!!"; kryminał „Prywatne śledztwo" i trudny do określenia dziwoląg, czyli „Pociąg do Hollywood".

Z filmów dla dzieci tylko „Cudowne dziecko" Waldemara Dzikiego to niewątpliwa atrakcja i dzięki współpracy z Kanadyjczykami łyk spielbergowskiego blichtru. Historia chłopca, który odblokowuje w sobie zdolności telekinetyczne i zakłóca spokój w mieście, przy czym dialogi i sposób bycia brzdąców przypominają zachowania ludzi dorosłych. Dzieje się to nigdzie, stąd może nieletnia publika nie rozpuści się zanadto i uszanuje tradycyjny autorytet dorosłych.

Natomiast „Przyjaciel wesołego diabła" Jerzego Łukaszewicza, według powieści Kornela Makuszyńskiego, stanowi strawę duchową dla dzieci mocno niedorozwiniętych, skoro dialogi składają się z dziesięciu słów, z czego połowa to neologizmy produkcji niejakiego Piszczałki. Tymczasem w powieści Piszczałka to całkiem elokwentny diabeł i jego wypowiedzi łącznie z opisami wydarzeń i przyrody są w stanie rozwijać u dzieci trudną sztukę konwersacji. Wspomniane już w tym tekście niekorzystne skutki łączenia etatów przy realizacji filmu (Łukaszewicz jest scenarzystą, reżyserem i operatorem!) ujawniają się tutaj w całej okazałości i chociaż zdjęcia są rzeczywiście na wysokim poziomie, za co zresztą Łukaszewicz otrzymał nagrodę, to cóż z tego, jeśli pozostała część roboty leży.

Z ekranizowanych powieści najważniejsza jest „Wierna rzeka" i o niej najpierw. Pewne akcenty zostały wytonowane, jak na przykład główne przesłanie powieści zawarte w wypowiedzi Huberta Olbromskiego, z której mniej więcej wynika, że Polska musi stać się potęgą dorównującą Rosji i Niemcom, aby nie być przez nich zgniecioną. Stąd film nie wyłuszczył znaczenia ideowego powieści i nabrał cech romansu z wojną w tle, co może i lepiej, jako że czas się zmienił, a i Rosjanie wyciszają w swojej twórczości akcenty antypolskie w celu roztopienia nieufności i pogłębienia zaufania.

Kazimierz Kuźmiński ustawiając w roli hrabiego Wentzla Jacka Chmielnika i Henryka Bistę jako służącego Franza, spastiszował powieść Rodziewiczówny, ale jednocześnie dając jako przeciwwagę liryczną Katarzynę Gniewkowską sprawił, iż, by tak rzec, problem polsko-niemiecki nabiera rumieńców i „Między ustami a brzegiem pucharu" zbytnio nie nuży. Części co chutliwszej młodzieży, która wybiera się na kilka scen z udziałem Anny Wesołowskiej, radziłbym poczekać na „Łuk Erosa" Jerzego Donaradzkiego, na podstawie powieści Juliusza Kadena-Bandrowskiego pt. „Łuk", skoro na kostiumy dla Grażyny Treli wydano tu naprawdę niedużo i rozbiera się ona z taką naturalnością, że aż serce... no tak, serce się ściska.

Nie wiem, czy „Komediantki" Władysława Reymonta są ulubioną lekturą do poduszki Jerzego Sztwiertni, w każdym razie film to skuteczny środek usypiający i przy okazji jego konsumpcji zastanawiałem się, czy nie warto by w przyszłości ustanowić trofeum dla najbardziej nużącego dzieła.

„Magnat" Filipa Bajona był jedynym filmem, który wzniósł się ponad tegoroczny festiwal, a to może z racji braku nacisków doraźności i na szczęście jurorzy zdołali dostrzec go w obłokach i zlokalizować nagrodą specjalną. Opowiadając fragment dziejów rodu książąt pszczyńskich (1900 — 1935) reżyser łączy artyzm z wymogami komercji i, co jest dość istotne, skręci się z tego serial telewizyjny. Tak jak w „Limuzynie", uczestniczy w najważniejszych momentach dziejowych, ale jakby z boku i z artystycznym dystansem.

O czasach stalinowskich informują trzy filmy, z czego dwa: „Matka Królów" i „Niedzielne igraszki" to filmy wyprodukowane kilka lat temu i zdjęte z półek.

„Matka Królów", na podstawie powieści Kazimierza Brandysa, zdobyła „Złote Lwy Gdańskie" oraz dwa „brązowe" dla Magdy Teresy Wójcik i Joanny Szczepkowskiej, a także nagrodę dziennikarzy i nagrodę młodzieżowego jury. Ukazany jest los prostej kobiety, która przed wojną traci męża i wychowuje samotnie czterech synów, drżąc o nich podczas okupacji i tracąc jednego z nich w okresie stalinowskim. Nie należy dziwić się Kazimierzowi Brandysowi, który był piewcą socrealizmu, a więc w pięćdziesiątym szóstym, kiedy pisał „Matkę Królów", drżał o własną pozycję i poniekąd tą książką dokonywał rachunku sumienia, że wstrzelił się w ówczesną koniunkturę i przedstawił wzorzec doświadczeń przeciętnego człowieka. Niemniej jednak, po tylu latach, mając zapewne szersze spojrzenie na problem, mógł Janusz Zaorski pokusić się o rzetelniejszą analizę polityczną tych czasów, która w książce jest zdawkowa i absolutnie niczego nie wyjaśnia.

Podobny zarzut można postawić „Niedzielnym igraszkom" debiutanta Roberta Glińskiego i ponadto zarzucić zbyt artystyczną wizję tych czasów. Na podwórku dzieci bawią się w wojnę, a jeden grubas ubrany odświętnie odjeżdża na wakacje, ale rozgłasza, że jedzie na pogrzeb Stalina i przypina sobie do marynarki kilogram medali, z czego wynikają perturbacje, gdyż kilka orderów jest nie takich, jak trzeba. Co prawda na konferencji reżyser zdradził morał — szło mu o ukazanie tak zwanej selekcji negatywnej — ale, między Bogiem a prawdą, rzucają się w oczy jedynie niedociągnięcia w ówczesnym systemie oświatowym i pozostawienie dzieciom niewielkiego wyboru: sztuczna skala wartości albo dziczenie na podwórkach.

Lukę, że tak powiem, informacyjną starał się jak mógł wypełnić Sławomir Krzystek (nagroda za debiut) filmem „W zawieszeniu", który wyświetlił los akowca, mimo amnestii i ujawnienia się zmuszonego do pozostania w ukryciu przez kilka lat. To nie tylko studium psychologiczne tropionego jak zwierzę człowieka, ale również pierwsza próba, choć jeszcze niejasna i aluzyjna, odsłonięcia kulis tych czasów: szczególnie w scenie, gdy w pięćdziesiątym szóstym roku Radziwiłłowicz zgłasza się do odpowiedniego urzędu i nowy urzędnik Wardejn zawiadamia go o wszczęciu procesu, podczas gdy inny, który nie tak dawno przesłuchiwał ojca Radziwiłłowicza, siedzi w kącie zdezorientowany i jakby przestraszony.

O współczesności traktuje mniej więcej jedna trzecia produkcji przeznaczonej dla kin i jest to właściwa proporcja, z tym, że w dalszym ciągu problemem pozostaje jakość, choć w dwóch przypadkach udało się, jak na nasze możliwości techniczne i finansowe, stworzyć dzieła.

Stanisław Różewicz drąży człowieka w sposób coraz bardziej neurotyczny i zapytany na konferencji, na ile jest to wynik rzeczywistości, w której bohater nie potrafi się ułożyć, a na ile jego sfery intelektualnej i emocjonalnej, odpowiedział, że oba te czynniki nakładają się na siebie, gdyż człowiek funkcjonuje w ściśle określonej rzeczywistości, która odciska się na jego psychice, i cały problem polega na wygospodarowaniu sobie kawałka azylu. Tym razem o dźwiękowcu filmowym, który podczas pracy słyszy odgłosy nie wiadomo skąd i to wywołuje u niego strzępy skojarzeń z przeszłości. Przy okazji tradycyjny u Różewicza wątek izolacji człowieka w sobie i nieumiejętności otworzenia się do bliskich.

„Maskarada" Janusza Kijowskiego to jedyny film, na którym odetchnąłem z ulgą i odblokowałem się z hamulców recenzenta. Wszystko tutaj jest określone, a jednocześnie niedookreślone: przygotowania do spektaklu, strzępy music-hallu, eksperymentalny teatr Zapasiewicza na odludziu, który służy również za miejsce medytacji, a mistrz Zapasiewicz ryczy jak raniony tur, co należy do podstaw edukacji teatralnej. Świetny montaż, a wszystko w znakomitym tempie i jakieś zaczątki Czystej Formy, o którą bezskutecznie walczył w swojej twórczości Witkacy. Wątek jest. Można wyłowić, że chodzi o konflikty, jakie rozdzielały i rozdzielają środowisko artystyczne od początku lat osiemdziesiątych, ale to jakby wymuszona danina na rzecz biologii filmu.

Krzysztof Kieślowski w dalszym ciągu pozostaje niespełnionym talentem i wyszukuje tematy na pewno ważne, które niejednokrotnie mają wymiar symbolu, ale mógłby wreszcie pomyśleć o komercyjnej stronie swojej działalności. Główny nerw dramaturgiczny, który składa się z tego, że kogoś tam inwigiluje milicja i konfiskuje nielegalną gazetkę, coraz mniejszą już liczbę widzów potrafi zająć, a w końcu to dla nich, a nie tylko dla garstki kontestatorów z DKF-ów, robi się filmy.

Miłym przerywnikiem muzycznym było „O rany, nic się nie stało!!!" Waldemara Szarka o młodzieży w małym miasteczku, która nie bardzo ma na czym grać rythm and bluesa, a na dodatek napatoczył im się obywatel z Kuby i muszą go przytrzymać, gdyż akurat „amerykańscy chłopcy" lądują w Zatoce Świń. Tylko na jaką cholerę film jest czarno-biały? Rozumiem, że pan Szarek debiutuje, ale nie wiem, czy dla debiutantów brakuje kolorowej taśmy, czy w ten sposób reżyser chce udowodnić, że jest ambitny.

Również o muzyce młodzieżowej, ale tym razem o wielkich i współcześniej, traktuje „Śmierć Johna L." Tomasza Zygadły — kicz-pamflet na idola muzyki rockowej i kręgi zbliżone. Zygadło korzysta z tradycyjnych przy okazji takich filmów artybutów, jak alkohol, narkotyki, dziewczynki o dość dużej rozpiętości wieku (te starsze po mocnym piciu) i na szczęście Wojciech Wysocki wkłada w tytułową postać sporą dawkę komizmu. Na pewno film w jakiś sposób obrzydza młodzieży ich idołów, tyle tylko, że nie bardzo dowiedziałem się, co może ona otrzymać w zamian.

Jedynie Marek Koterski uczynił w tym roku udaną próbę wdarcia się do naszych podstawowych problemów i frustracji i połączył obyczajowe realia z namiastką groteski, co dało rezultat w postaci smutnej komedii. Na konferencji powiedział, że to dlatego tak, ponieważ całkowicie zgadza się z przemyśleniami Lenina, który miał podobno powiedzieć, że śmiech to najwyższa forma autorefleksji.

Nigdy nie mieliśmy szczęścia do poważnych kryminałów, gdyż metody działania naszej milicji nie polegają na wyczynach supermanów, a poza tym w najbardziej atrakcyjnym wzorcu amerykańskim policjant nie tylko masakruje przestępców, ale niejednokrotnie ma również kłopoty z powodu korupcji kolegów. Stąd propozycja Wojciecha Wójcika, choć jeszcze ze sporym niedowładem scenariusza, ale to być może właściwy schemat na polski kryminał, gdzie udział milicji jest jakby marginesowy, a porachunki załatwia obywatel, prowadząc „Prywatne śledztwo".

O „Pociągu do Hollywood" Radosława Piwowarskiego jak najmniej — obejrzałem film, spojrzałem na twarz Piwowarskiego pełną intelektualnej zadumy i zrozumiałem. W poprzednich filmach Piwowarski w miarę trzymał się realiów i łączył śmiech z odpowiednią dawką liryzmu, chociaż i tu można by sobie podyskutować. Komedia to według nauki mistrzów, podobnie jak inne gatunki filmu, zwierciadło rzeczywistości, tyle że w ujęciu śmiesznym i widz musi, w minimalnym chociaż stopniu, oglądać w nim siebie i swoje reakcje. Natomiast „Pociąg do Hollywood" jako żywo przypomina mi medyczny opis wyobraźni człowieka już naprawdę mocno zmęczonego alkoholem.

Wnioski, jakie padły na Forum Stowarzyszenia Filmowców Polskich, nie nastrajają do optymizmu, gdyż większość mówców żaliła się jedynie na kierowanie filmów na półki, a więc problem w znacznym stopniu już nieaktualny. Bardzo niepokoi, że nadal wielu twórców, w tym sporo młodych, większy nacisk kładzie na przyjęcie roli przewodnika dusz niż na profesjonalny i komercyjny aspekt swojej działalności. To prawda, że bieda zagląda do kas filmowych zespołów, ale zwalanie wszystkiego na finanse nie wyjaśnia, dlaczego tak mało jest filmów dobrych. Rozdzieranie szat na temat tzw. kina ambitnego byłoby może wskazane, ale tylko wtedy, gdyby film łączył w sobie wysoki poziom artystyczny z wymogami komercji. Sprawna robota komercyjna, jak słusznie zauważył Wojciech Wójcik, jest pierwszym przystankiem na drodze do kina ambitniejszego, ale egocentryzm i zapatrzenie się we własną mądrość, co często jest efektem braku talentu, nie pozwalają części naszych reżyserów „zniżyć się" do gustów i upodobań widowni.

W podstawowej swojej części polskie filmy powinny zaspokajać większość gustów, a jednym ze środków osiągnięcia tego celu jest ostrzejsza selekcja scenariuszy i skończenie z polityką prywatnych folwarków, która rządzi produkcją filmów w Polsce i zazwyczaj przynosi opłakane skutki.

Kronika kulturalna

DNI IWANOWA

GALOWYM KONCERTEM w Teatrze Wielkim zainaugurowane zostały 29 września Dni Iwanowa w Łodzi.

Z niezwykle gorącym, serdecznym przyjęciem licznie przybyłych łodzian spotkały się występy artystyczne iwanowskich przyjaciół: m.in. chóru Pałacu Techniki i Nauki Włókniarzy, zespołu pieśni i tańca „Włókniarski kraj", oraz laureata wielu prestiżowych nagród — zespołu Meridian.

Z bardzo bogatego i różnorodnego programu artystycznego Dni, tego fascynującego spotkania przyjaźni, szczególnie wydają się nam godne odnotowania wystawy: „Plakatu politycznego grafików radzieckich" (w Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego), „Tkaniny drukowanej okresu rewolucji i pierwszych lat władzy radzieckiej" (w Centralnym Muzeum Włókiennictwa), „Obwód iwanowski w fotografii" (w salonie LTF).

Dwie urzekające ekspozycje: miniatur lakowych z Palechu (w Muzeum Historii m. Łodzi) i malarstwa dzieci z Iwanowa (w ŁDK) również wzbudziły duże zainteresowanie wśród mieszkańców naszego miasta.

Wizyta radzieckich przyjaciół w Łodzi zaowocowała bliższym poznaniem się oraz konkretnymi rezultatami. Zawarto m.in. porozumienie o stałej współpracy w różnych dziedzinach pomiędzy łódzką dzielnicą Widzew a jedną z dzielnic Iwanowa.

UROCZYSTĄ PROJEKCJĄ głośnego obrazu „Pokuta" Tangiza Abuladze w kinie „Iwanowo" zapoczątkowany został 30 września w Łodzi przegląd filmów radzieckich.

W hallu kina otwarto bardzo ciekawą wystawę radzieckiego plakatu filmowego.

W ramach przeglądu łódzka publiczność będzie mogła m.in. zobaczyć tak wybitne filmy, jak „Gońca" Karena Szachnarozowa, „Proch" Wiktora Aristowa czy też „Owacje" Wiktora Baturlina.

EKRANIZACJĘ GŁOŚNEJ POWIEŚCI Borysa Pasternaka „Doktor Żywago" przygotowuje znany radziecki reżyser — Siergiej Sołowiow (twórca m.in. takich filmów, jak „Zapamiętajmy to lato", „Melodie białych nocy").

WARTO WYKORZYSTAĆ wolną chwilę czasu, do bliższego zapoznania się z malarstwem i rysunkiem Ryszarda Kuby Grzybowskiego.

Ten znany łódzki artysta plastyk, z bogatym dorobkiem twórczym, wystawia swoje prace w Salonie Sztuki Współczesnej (ul. Piotrkowska 88).

Natomiast w Galerii Bałuckiej, na Starym Rynku 2, od 9 października czynna będzie interesująca wystawa grafiki Mirosława Pawłowskiego.

PRZY ULICY KOPCIŃSKIEGO 57, w mieszkaniu gdzie spędziła większość życia wybitna działaczka ruchu robotniczego — Michalina Tatarkówna-Majkowska, urządzono poświęconą jej Izbę Pamięci.

Zgromadzono tam zachowane dokumenty, pamiątki rodzinne, fotografie, drobiazgi osobiste i odznaczenia.

WARTO ZOBACZYĆ w Muzeum Narodowym w Warszawie niecodzienną ekspozycję pn. „Oblicza socrealizmu".

Zawiera ona 400 obrazów, plakatów, rysunków, grafik i rzeźb (prace ponad 200 twórców).

Jest to pierwszy od wielu lat tak bogaty i wszechstronny pokaz sztuki tego nurtu.

Uzupełnieniem wystawy są fotogramy z lat 1948—1949.

W WARSZAWIE, na Saskiej Kępie, odsłonięty został pomnik Stefana Żeromskiego. Aktu odsłonięcia dokonała córka pisarza — Monika Żeromska.

Autorem pomnika jest znany warszawski artysta rzeźbiarz: Stanisław Sikora.

NA OSTATNIEJ, największej łódzkiej giełdzie książkowej (odbywającej się w budynku „UNIBUDU", przy ul. Sienkiewicza 85/87) tamtejsi bukiniści oferowali „Dzieła" Witolda Gombrowicza (WŁ) za 22 tys. złotych — absolutny rekord cenowy z tego dnia (wartość nominalna tej publikacji w subskrypcji wynosiła 10 tys.). Za jednotomową „Encyklopedię Popularną" PWN (drukowaną w Jugosławii) żądali 20 tys. zł; „Ilustrowaną kronikę legionów Józefa Piłsudskiego" (wydaną w latach trzydziestych) można było nabyć za 16 tys. Rewelacyjne zaś „Wspomnienia" Alfreda Speera „wycenione" były na 10 tys.

Aby stać się posiadaczem pięknego, albumowego wydania „Grzybów środkowej Europy" (PWRiL) — trzeba było zapłacić 5 tys. (cena księgarska 1900). Grzybiarze ulegali jednak szybko pokusie — i wyciągali ostatnie zaskórniaki.

Za „Rapier Napoleona" (WŁ) naszego redakcyjnego kolegi — szalejącego reportera — Andrzeja Makowieckiego brano 500 zł (kosztuje 150).

JERZY GRUZA, dyrektor gdyńskiego Teatru Muzycznego — o którym coraz głośniej w kraju („Jesus Christ Superstar") zapowiada na nowy sezon wiele szlagierów ze światowego repertuaru.

Trzydziestolecie tego teatru, przypadające w 1988 r., uświetni musical „Nędznicy" (według Wiktora Hugo). Przebojami mogą stać się również: „Barbara Radziwiłłówna", „Król w kraju rozkoszy" (musical według sztuki Franciszka Zabłockiego).

JUŻ PO RAZ SIÓDMY gościł w Łodzi na przełomie września i października br. Teatr im. S.K. Neumanna z Pragi.

Czechosłowaccy artyści zaprezentowali na scenie Teatru Powszechnego (ożywiona i owocna współpraca tych teatrów trwa już 24 lata!) „Miarkę za miarkę" Williama Szekspira" i sztukę Edwarda Albeego „Kto się boi Wirginii Woolf?" Oba spektakle inscenizował jeden z najwybitniejszych czeskich reżyserów — Jan Grossman.

Opracował: JAK

ANATOLIJ RYBAKOW (17)

Dzieci Arbatu

Zwęglonym końcem zapałki Sasza zapisał alfabet na pudełku po papierosach i zaczął stukać. Stukał powoli, z długimi przerwami, przykrywszy się kocem, żeby strażnik nie usłyszał hałasu. Sąsiad rozumiał go, ale Sasza nie rozumiał sąsiada, mylił litery, prosił o ich powtórzenie, choć sąsiad stukał powoli, wyraźnie i jasno, starannie odmierzając pauzy. Pytał o nazwisko Saszy, i podał swoje — Czerniawski, członek partii. Pytał też, czy Sasza otrzymuje gazety; poinformował, że on też ich nie dostaje.

Mimo to posiadał pewne wiadomości, prawdopodobnie od więźnia z następnej celi. Odbył się zjazd, ale nic szczególnego na nim nie zaszło. Sąsiad co wieczór przekazywał Saszy nowości. Jeżeli do jego celi lub do celi Saszy zbliżał się strażnik, korespondencja ustawała, a potem musieli zaczynać od początku. Dwa wieczory zajęła relacja, że na Północy zatonął zgnieciony przez lody parowiec „Czeluskin", następne dwa wieczory — wiadomość, że we Francji ogłoszono antyfaszystowski strajk powszechny.

Sasza nie mógł nie odczuwać wdzięczności wobec człowieka, który ryzykując karcer porozumiewa się z nim, chce złagodzić jego samotność. Kraj kipi życiem, buduje, a on siedzi w odosobnionej celi i bojaźliwie spogląda na drzwi: nie daj Boże strażnik zauważy że on, Sasza Pankratow, interesuje się wydarzeniami, o których piszą radzieckie gazety.

Uczucie pogodzenia się z losem, gotowość poddania się swojemu przeznaczeniu opuszczały go. Nie! Nie chce godzić się z takim losem, nie chce, nie chce, nie chce... Nie chce tej d r o g i — jego droga, to droga partii, narodu, państwa. Co robić? Do kogo pisać? Do prokuratora? Prokurator zatwierdził jego aresztowanie. Do Stalina? List dotrze najwyżej do Diakowa. Na co zresztą ma się skarżyć? Że nie ma nic wspólnego ze sprawą Marka? Nie wie nawet co to za sprawa, i czy aresztowano go akurat w związku z nią.

I wtedy w głowie Saszy dojrzał plan. Mało realny, ale spróbować można.

Podczas wieczornej korespondencji z sąsiadem Sasza spytał, co piszą o budowie, którą kierował Mark, i otrzymał odpowiedź: „Dowiem się — przekażę". Następnego dnia Czerniawski wystukał: „Uruchomili piec, dostali ordery". Sasza spytał: „Riazanow?". „Order Lenina" — brzmiała odpowiedź.

A więc Mark jest na wolności, nadal kieruje kombinatem! To nie o niego chodzi! Że też coś takiego mogło mu w ogóle przyjść do głowy! Chodzi o Instytut, ale nie o gazetkę, nie — o Kriworuczkę! Ostatnia rozmowa z Baulinem i Łozgaczewem — to ona odegrała decydującą rolę! Rozumiał to już wtedy, już wtedy czuł, że popełnił błąd: teraz ponosi jego konsekwencje.

Diakow też uporczywie wypytywał o Kriworuczkę. „Kto prowadził z wami kontrrewolucyjne rozmowy?". Tu tkwi sedno sprawy! Być może Kriworuczkę też aresztowali, i przyznał się, że rozmawiał z Saszą o Stalinie — choćby ze strachu, że Sasza ubiegnie go w zeznaniach. A więc Kriworuczko to uczciwy człowiek, przyznał się, a on, Sasza, nie jest uczciwy, krył go... „Kto prowadził z wami kontrrewolucyjne rozmowy?".

Diakow ma rację, zarzucając Saszy brak szczerości: sam sobie jest winien, sam sobie zgotował taki los. Nie wzywają go już trzy tygodnie, może nawet w ogóle już nie wezwą, po co, przecież wszystkiemu zaprzecza, zaprzecza faktom. Może sprawę już zamknięto, może decyzja już zapadła? Chodził po celi, nasłuchiwał kroków na korytarzu, czekał kiedy przyjdą po niego i odczytają wyrok — wciąż ze świadomością, że wszystko zawdzięcza wyłącznie samemu sobie. Nawet jeżeli decyzja jeszcze nie zapadła, jeżeli Diakow wezwie go jeszcze raz, to na przyznanie się i tak jest już za późno. Gdyby powiedział prawdę podczas pierwszego przesłuchania, to przyznanie się sprawiałoby wrażenie szczerego, dobrowolnego. Teraz byłoby czymś wymuszonym, a więc nieszczerym i nieuczciwym.

Rano nie chciało mu się wstawać, w dzień nie chciało się czekać na wieczorną toaletę i tak jak Sawielij zaczął korzystać z kubła. Stracił też ochotę na nocny prysznic, odmówił raz, potem drugi, strażnik przestał przychodzić. Dopisywał tylko apetyt, Sasza niecierpliwie czekał na posiłki, czekał na paczkę, marzył o jedzeniu, żałował, że wysłał gryps, w którym prosił tylko o mięso i biały chleb. Podjadłoby się teraz kiełbasy, dobre żarcie! Przynajmniej do tego ma przecież prawo. Życie i tak skończone, żaden cud nie pomoże! Piętna „kontry" już się nie pozbędziesz.

Zastukał Czerniawski. Sasza nie odpowiedział. Nie wie nawet kim jest ten Czerniawski, dlaczego ma się z nim porozumiewać? A w ogóle, to co go łączy z siedzącymi tutaj ludźmi? Myślał, że w więzieniu przebywa i Mark, i Budiagin — uczciwi, niewinni komuniści. I co — nie ma tu ani Marka, ani Budiagina, nie ma tu uczciwych komunistów, tu siedzą winni. Winny jest Sawielij, winny jest Czerniawski, winny jest i on, Sasza — pożałował Kriworuczki, okazał słabość, a teraz za to płaci. Nie zajął jasnego, pryncypialnego stanowiska, i z tego względu jego błędy — Azizjan, gazetka — nie są przypadkowe, tak jak nieprzypadkowe były wątpliwości co do osoby Stalina. Jest lekkomyślny, pewny siebie, wszystko chciał mierzyć własnym rozumem, a są sprawy, w których trzeba było zdać się na mądrzejszych od siebie.

Do mętnego kawałka szkła za żelazną kratą docierało kwietniowe słońce. Pierwszy prawdziwy wiosenny dzień, Sasza czuł jego radosną jasność. Wszedł na stół, otworzył lufcik, choć otwierać go wolno było tylko na czas spaceru. Natychmiast rozległ się jazgot zamka, w drzwiach stanął strażnik.

— Zamknąć! Odejść od okna! Karceru się wam zechciało?

Sasza zamknął lufcik, zeskoczył ze stołu.

— Powietrza się zechciało.

Zdążył usłyszeć daleki gwar ulicy, dzwonki tramwajów, klaksony aut, głosy dzieci. Wyobraził sobie wysychający asfalt trotuarów. Dziewczyny chodzą już w lekkich sukienkach, odsłonięte szyje, ramiona, zgrabne nogi. Czyżby miał utracić to wszystko? Teraz, kiedy jest młody, zdrowy... Nie! Chce być tam, na wiosennej ulicy, chce żyć, żyć jak inni!

Wiosną zeszłego roku był na praktyce w bazie samochodowej. W garażu pachniało benzyną, spalinami, panował półmrok — w oszklonym dachu prawie w ogóle nie było już szkła, ubytki łatano arkuszami blachy. Garaż był stary, jeden z najstarszych w Moskwie, zbudowany jeszcze przez Mossielprom, stały w nim nawet dwa jednotonowe „Fordy T", służące do rozwożenia chleba. Saszy podobał się dyrektor bazy, Antonow, niestary jeszcze, jasnowłosy, w okularach, podobała mu się jego bystrość, zdrowy rozsądek i to, że o każdej porze dnia i nocy można go było zastać w garażu. Ten robotnik wysunięty na odpowiedzialne stanowisko uosabiał to nowe, które przyniosła rewolucja, ludzie z nizin społecznych powołani do twórczego życia, prawdziwa władza robotnicza, lud! On też powinien być z ludem, tam jest jego miejsce, z Antonowem — byłym szoferem, z Małowem — byłym tragarzem, oni nie mędrkują, nie roztrząsają, ale pracują i tworzą. Jak piękne było tamto życie, jak mało je cenił! Ale wróci do niego, wróci za wszelką cenę!

Przynieśli książki. Sasza przejrzał je obojętnie. Bez tego zachwytu, który odczuwał za pierwszym razem. Trzeci i czwarty tom Gibbona, rozlatująca się książeczka w miękkiej oprawie — „Wrażenia z podróży do ZSRR" francuskiego posła De Monsi, drobnoburżuazyjnego polityka, lewicowego radykała. W połowie lat dwudziestych przebywał w ZSRR, napisał o tym książeczkę, wartką, ale powierzchowną. Sasza nie prosił o ten tytuł. Dlaczego bibliotekarz mu to przysłał?

Autor pisał o Związku Radzieckim raczej z sympatią, choć nie bez akcentów krytycznych, zwłaszcza w odniesieniu do prawa karnego i postępowania sądowego. Jako dowód przytaczał artykuł pięćdziesiąty ósmy. Właśnie ze względu na ten artykuł bibliotekarz przysłał książeczkę — zamiast kodeksu, o który prosił Sasza, a którego bibliotekarz nie mógł mu udostępnić.

W artykule Sasza nie doczytał się niczego istotnego ani szczególnie ważnego. Nie o artykuł zresztą chodziło.

Chodziło o to, że nieznajomy więzienny bibliotekarz odpowiedział na głos Saszy, odezwał się na jego wołanie, dał mu dowód człowieczeństwa, odwagi i zaufania.

Co nim kierowało? Czy naruszył swoje obowiązki służbowe? Bardzo możliwe. Spełnił za to inny, ważniejszy obowiązek — obowiązek człowieka. Prawa ustanowione przez ludzi nie mogą być sprzeczne z prawami sumienia. Swoje obowiązki naruszają ci, którzy sądzą niewinnych, pozostawiają bezbronnych bez obrony, odbierają resztki praw bezprawnie więzionym.

Sasza nie zerwał się z pryczy, nie zaczął biegać po celi. To co się stało, było tak czyste i jasne, tak współgrało z tym wszystkim, co w jego duszy pozostało ludzkie i prawdziwe, że nie doznał ani wstrząsu, ani wzruszenia, ani szoku. Znalazł to, co powinien był znaleźć. I czuł tylko wstyd, że utracił swoje męstwo.

Na ostatnie przesłuchanie Sasza szedł bez żadnej nadziei, wiedział, co go czeka, i niczego się nie bał. Człowiek, który powiedział, że Stalin będzie pichcić ostre dania, to jeszcze nie wróg. Diakow lekceważy bezpośrednie znaczenie słów, Diakow je interpretuje. Sasza nie chce brać w tym udziału. Chce stąd wyjść, to oczywiste — ale czysty wobec partii i swojego sumienia.

Diakow na powitanie przybrał oficjalny ton.

— Zakończmy sprawę Instytutu — powiedział rzeczowo. — Wasze zeznania zostały zaprotokołowane. Teraz musicie s a m i dokonać ich oceny politycznej.

— Wypuszczenie numeru gazetki ściennej uważam za błąd — powiedział Sasza.

— Subiektywny... — podchwycił Diakow. — Ale błędy mają też obiektywne przyczyny i obiektywne następstwa. Prawda?

Zaczyna się w a ł k o w a n i e. Dla Diakowa człowiek to tylko element niezbędny do zapełnienia protokołu, protokół zaś potrzebny jest do wydania wyroku.

— A więc, Pankratow, jakie są obiektywne przyczyny i obiektywne następstwa waszych błędów?

Sasza przyglądał się chłopięcej twarzy Diakowa. Ech, spotkać by go tak na Arbacie...

— Przeanalizujmy — zaczął Diakow pouczająco. — Gdyby w waszym instytucie panowała zdrowa atmosfera polityczna, wypuszczenie takiej gazetki byłoby niemożliwe. Zdrowej atmosfery politycznej jednak nie było. Kriworuczko kierował podziemną organizacją antypartyjną, została ona wykryta, jej członkowie zdemaskowani i aresztowani. Są tu, u nas, i przyznali się do wszystkiego.

W fabryce tacy jak Diakow dekowali się w biurze — księgowi, specе od norm, gryzipiórki z działu kadr. Co właściwie Diakowowi zrobi? On, Sasza, może dźwigać na plecach osiemdziesięciokilowe beczki, da radę i przy wyrębie lasu, wróci do brygadzisty Awierkijewa, do byłego dowódcy dywizji Morozowa, oni są przecież wszędzie, oni to lud.

A ci Diakowowie to właśnie prawdziwi wrogowie partii.

Diakow przez jakiś czas przyglądał się Saszy, liczył, że będzie mógł podelektować się efektem własnych słów, potem ciągnął dalej:

— Wy, Pankratow, jesteście człowiekiem niedoświadczonym, nie znacie ich. Kriworuczko opóźniał budowę akademików, żeby wywołać niezadowolenie studentów — taktyka obliczona na zdezorientowanie mas studenckich. W takiej atmosferze możliwe stało się wypuszczenie tej gazetki, którą wypuściliście wy, Pankratow. Czy chcieliście tego czy nie, staliście się narzędziem w rękach Kriworuczki i jego bandy, wykorzystali was do swoich kontrrewolucyjnych celów. Dlatego właśnie znaleźliście się tutaj. Tym bardziej, że nie chcieliście dokonać politycznej oceny swoich błędów. Jednakże na ocenę taką nie jest jeszcze za późno. Możecie nam wierzyć.

„Możecie nam wierzyć"... Dość już tego wierzenia! Tak, wierzył takim właśnie słowom ile razy już je słyszał, ile razy sam je powtarzał! To nie są ludzkie słowa, to magiczne formułki czarowników. Takie czary odprawiali Łozgaczew i Azizjan, tak samo czarował Stolper, teraz czaruje Diakow. A na ołtarzu ofiarnym — życie niewinnych ludzi.

Diakow spojrzał na Saszę.

— Zrozumieliście mnie, Pankratow?

— Zrozumiałem.

— To dobrze — powiedział Diakow. — No to tak właśnie zapiszemy.

— Tylko żeby wszystko było jasne — poprosił Sasza z tą szczególną intonacją, na którą nie dałby się nabrać żaden arbacki chłopaczek. A ten wymoczek nic nie rozumie, święcie wierzy w swój talent zastraszania ludzi, w swoje prawo do decydowania o ich losach, siedzi nadęty jak indyk i nie ma pojęcia, że tu, w tych murach, są także inni, noszący zresztą taki sam mundur, którzy dostrzegają ten fałsz, tę magię, wiedzą, że prędzej czy później skończy się to wszystko, i z narażeniem życia pomagają skrzywdzonym.

— Naturalnie — z powagą odparł Diakow.

Zerkając na karteczkę — brudnopis przyznania się Saszy do winy przygotował sobie wcześniej — wypełnił formularz, przebiegł wzrokiem tekst, a potem przeczytał go Saszy.

„Po przemyśleniu swojego postępowania i czynów, oraz po dokonaniu ich szczerej i pełnej oceny, w uzupełnieniu moich wcześniejszych zeznań oświadczam co następuje: uznaję za swój błąd polityczny wypuszczenie z okazji szesnastej rocznicy Rewolucji Październikowej antypartyjnego numeru gazetki ściennej oraz to, że do wypuszczenia tejże gazetki wciągnąłem studentów Runoczkina, Kowalewa, Połużan i Pozdniakową. Błędy te były rezultatem atmosfery politycznej, stworzonej w Instytucie przez zastępcę dyrektora Instytutu, Kriworuczkę. Uznaję, że wypuszczenie z okazji szesnastej rocznicy Rewolucji Październikowej antypartyjnego numeru gazetki ściennej było częścią działalności antypartyjnej, jaką Kriworuczko prowadził w Instytucie".

Diakow położył kartkę przed Saszą.

— Sprawdźcie, Pankratow, czy dobrze zapisałem, i podpiszcie.

— Nigdy tego nie podpiszę — powiedział Sasza, patrząc Diakowowi prosto w oczy. (...)

29.

Tego samego wieczoru, gdy Waria, Nina i Maks byli na tańcach w Domu Armii Czerwonej, gdy Jura jadł kolację u Wadima Marasewicza, a Lenę Budiaginą odwiedziła Gera Trenak, tego samego wieczoru mniej więcej o ósmej Zofia Aleksandrowna odebrała telefon. Poinformowano ją, że nazajutrz o dziesiątej rano ma zjawić się w komendanturze więzienia w Butyrkach w celu widzenia się z synem, Pankratowem Aleksandrem Pawłowiczem. Przywieźć ciepłą odzież, pieniądze i żywność. Głos w słuchawce brzmiał równo i spokojnie, mówił człowiek przywykły do codziennego powtarzania tego samego w sposób jasny i zwięzły. Przekazał co miał do przekazania, i nie czekając na pytania odłożył słuchawkę.

Zofia Aleksandrowna przeraziła się, że człowiek ten czegoś nie dopowiedział, że zapomniał o czymś ważnym, istotnym, bez czego ona nie zdoła wykonać polecenia jak należy. Bała się coś popląłać, pominąć, dlatego też gorączkowo usiłowała zatrzymać w pamięci to co o n powiedział: „Jutro, o dziesiątej, Butyrki, widzenie, ciepłe rzeczy, żywność, co jeszcze... Aha, pieniądze, pieniądze na drogę...". I żeby o niczym nie zapomnieć, Zofia Aleksandrowna zapisała sobie wszystko na karteczce. Pieniądze i żywność oznaczają zsyłkę, ciepłe rzeczy — Północ albo Syberię.

Przygotowania trzeba było zakończyć w ciągu tej nocy, toteż Zofia Aleksandrowna nie miała czasu na rozpacz. Nie mogła tylko sobie darować, że nie przygotowała tego wszystkiego już dawniej — nie chciała jednak zapeszyć losu przedwczesnym szykowaniem chłopca do takiej drogi. Sasza ma tam zimowy płaszcz, uszankę, sweter, ciepły szalik, walonek co prawda nie wziął, ale w kwietniu nie będą mu potrzebne, niezależnie od miejsca zsyłki. Tak, niezbędne staną się dopiero w zimie, a do zimy zdąży mu je wysłać. Teraz Sasza potrzebuje butów, t a m jest błoto, wilgoć, przepadnie w swoich trzewikach, buty — to jest to, czego potrzebuje, to, co może uratować życie. Butów Sasza nie ma. A sklepy już pozamykane. Co tam zresztą sklepy, przecież buty i tak sprzedają tylko na talony, skąd miałaby wziąć talon? Można kupić buty na bazarze płacąc bajeczne pieniądze i ryzykując, że wpakują tekturę zamiast skóry. Bazar też już nieczynny...

Wtedy przypomniała sobie, że Wiera, jej siostra, ma na daczy mocne solidne buty, rozmiar akurat na Saszę, czterdziestka. Odkupi im inne, zapłaci każdą cenę, ale te muszą oddać Saszy.

Zadzwoniła do Wiery. Wiera i jej mąż Wołodia wyjechali na daczę, wrócą dopiero pojutrze. Co za pech!

Młodsza siostra, Polina, nie miała telefonu. Telefon był u sąsiadów. Zofia Aleksandrowna znała jego numer z czasów, gdy Polina przyjaźniła się z tymi sąsiadami, ale już od kilku lat nie udostępniano jej telefonu, a i Polina prosiła, żeby nie dzwonić. Zofia Aleksandrowna mimo to zatelefonowała, choć ciążyła jej myśl, że sąsiedzi odmówią, może nawet ordynarnie.

Odezwał się męski, dziarski, pełnokrwisty głos.

— Najmocniej przepraszam — powiedziała Zofia Aleksandrowna. — Strasznie mi przykro, że państwa niepokoję, ale sprawa jest niezwykle pilna... Czy mógłby pan poprosić do telefonu Polinę Aleksandrownę?

— Jaką Polinę Aleksandrownę?

— Waszą sąsiadkę z mieszkania numer dwadzieścia sześć, tylko błagam, niech się pan nie gniewa, tu mówi jej siostra...

— No wie pani...

Mężczyzna nie odłożył jednak słuchawki, oddał ją kobiecie.

— Z kim pani chce rozmawiać?

— Przepraszam panią, najmocniej przepraszam — powiedziała Zofia Aleksandrowna. — Mówi siostra waszej sąsiadki, Poliny Aleksandrowny. Wie pani, jest taka bardzo nieprzyjemna sprawa, bardzo pilna, i właśnie w związku z tym... Czy mogłaby pani poprosić moją siostrę, niech pani będzie tak dobra...

— Zaraz — niezadowolonym głosem powiedziała kobieta.

Zofia Aleksandrowna długo czekała, wreszcie do telefonu podeszła zdenerwowana Polina, domyślała się już, że z Saszą źle.

— Saszę jutro wywożą — powiedziała Zofia Aleksandrowna. — Trzeba pojechać do Wiery na daczę, przywieźć buty.

— Nieszczęście, nieszczęście! — zaczęła lamentować Polina. — Igorek ma temperaturę, Kola przyjedzie dopiero po jedenastej. Co robić? Jak tylko Kola wróci, od razu do ciebie przyjadę, ale na daczę już nie zdążę.

C.D.N.

Tłum.: MICHAŁ B. JAGIEŁŁO

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

KAMIEŃ PAMIĄTKOWY W GAŁKOWIE LEKCJĄ HISTORII

W dniu 26 września 1863 r. Gałków stał się miejscem bitwy partyzanckich oddziałów powstańczych z kozakami. Żaden podręcznik historii o bitwie tej nie wspomina, snadź nie była to batalia godna zapisów historyka. Istniała jednak tradycja przekazywania dziejów ustnie, z dziada na wnuka, z pokolenia na pokolenie, i dlatego dotrwała ta wieść do czasów obecnych. Wiadomo, więc, że w ową wrześniową sobotę w Gałkowie zatrzymali się żołnierze Powstania Styczniowego, tropieni od jakiegoś czasu przez kozaków w służbie cara Aleksandra II Romanowa. Powstańcy biwakowali przy trakcie brzezińskim, koło kościoła parafialnego i przyrządzali sobie posiłek. Według opowiadań na posiłek została zarżnięta jałówka, więc powstańców musiało być sporo. Natarcie kozaków przyszło od strony leśniczówki i było tak nagłe, że spowodowało rozbicie oddziału. Przewaga liczebna i siła natarcia kozaków oraz fakt, że atak nastąpił na oddział przygotowujący się raczej do wypoczynku niż walki spowodowało chaos i dezorganizację. Część powstańców podjęła nierówną walkę, część salwowała się ucieczką w stronę Brzezin. Kilku powstańców poległo. Ilu, i gdzie zostali pochowani, nikt tego nie odnotował. Na wieś spadły zaraz represje ze strony carskich siepaczy, gdyż posądzano — i słusznie — że mieszkańcy Gałkowa sprzyjali powstańcom.

Po odzyskaniu niepodległości, w latach trzydziestych w Gałkowie wybudowano nową szkołę. Wysiłek społeczeństwa i pomoc ze strony wojska zaowocowały oddaniem placówki, która na owe czasy była w warunkach wiejskich jak najbardziej nowoczesna. Postanowiono również ufundować pamiątkowy kamień-pomnik dla uczczenia walki wyzwoleńczej narodu polskiego w latach niewoli. I tak, w jednym czasie powstała szkoła, której nadano imię Marszałka Józefa Piłsudskiego, i kamień-pomnik mówiący o bohaterskich zmaganiach Polaków z Powstania Styczniowego. Pamięć o tym krótkim, acz tragicznym w skutkach pobycie powstańców dotrwała i w ten sposób została uczczona. Rzeźba na kamieniu przedstawia godło państwowe, orła i napis: „W hołdzie bohaterskim zmaganiom, 26.IX.1863 r. Ziemia brzezińska". Kamień usytuowano przy głównej ulicy, obok szkoły. Tu odbywały się wszystkie uroczystości o charakterze państwowym i patriotycznym. Mieszkańcy Gałkowa, a szczególnie młodzież szkolna objęli opiekę nad tym symbolem walki o niepodległość. Stał się więc kamień własnością wszystkich.

Okupacja hitlerowska spowodowała, że nasz kamień doczekał się swojej wojennej historii. Niemcy, jak wiadomo niszczyli wszystko co polskie. Każdy symbol polskości raził ich. W dużych aglomeracjach miejskich, jak na przykład w Łodzi burzono wszystkie pomniki, a niektóre, jak pomnik Tadeusza Kościuszki na placu Wolności, przy dźwiękach fanfar, w obecności specjalnie na tę okazję zebranych folksdojczy. Nie inny los miał spotkać ów gałkowski kamień.

Opowiada mieszkaniec Gałkowa Romuald Kosiorek. „W listopadzie 1939 r. zostałem powołany do pracy przy budowie i konserwacji dróg. Na wiosnę 1940 r. wezwał mnie niemiecki komisarz nazwiskiem Rotch, i przez tłumacza nakazał, aby pamiątkowy kamień zniszczyć. Przeciągałem wykonanie tego polecenia, tłumacząc się brakiem odpowiednich narzędzi. Mijał jeden kwartał, drugi i trzeci, myślałem, że Niemcy o kamieniu zapomnieli. Tymczasem ktoś z miejscowych folksdojczy złożył na mnie doniesienie, że kamień jeszcze stoi i cieszy oczy i serca Polaków. Komisarz Rotch wpadł w gniew, wrzeszczał, że jeśli kamień w ciągu kilku dni nie zostanie zniszczony, to zostanie rozstrzelany. Tak właśnie powiedział: kamień zostanie rozstrzelany. Tłumaczyłem, że obok w szkole, gdzie mieściła się komora celna, wylecą szyby i popękają mury, ale szwab nie chciał o niczym słyszeć. Nie miałem innego wyjścia, musiałem coś z tym zrobić. Trudno było podjąć decyzję. Przed wojną prowadziłem Przysposobienie Wojskowe, ludzie mnie znali, młodzież szanowała. Teraz ja miałem zniszczyć, to co wszyscy w Gałkowie tak szanowali. Wziąłem się w końcu do wykonania tego rozkazu. Przy pomocy kilku robotników udało nam się kamień przewrócić tak, że godło i napis odwrócone były do ziemi. Kamień odciągnęliśmy kilka metrów dalej, a postument rozebraliśmy. Podstęp się udał, bo Niemcy nie widząc stojącego kamienia, już się więcej tym nie interesowali. W ten sposób kamień przetrwał wojnę i doczekał się wyzwolenia" — tyle opowiedział pan Kosiorek.

Należałoby oczekiwać, że po wyzwoleniu kamień zostanie odrestaurowany, zajmie dawne swoje miejsce i będzie spełniał swą symboliczną rolę. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Miejscowe ówczesne władze nie potrafiły, nie mogły albo nie chciały docenić jak ważną sprawą jest restauracja starych, symbolicznych reliktów przeszłości. Kamień więc w dalszym ciągu pozostawał w ukryciu i czekał na „swój dzień". Na szczęście byli ludzie, którzy o istnieniu kamienia nie mogli zapomnieć.

W latach pięćdziesiątych w budynku szkoły zostało zorganizowane liceum dla dorosłych, w szczególności dla kadry z ówczesnej jednostki wojskowej. Z szansy zdobycia świadectwa dojrzałości skorzystało wiele osób, i to zarówno wojskowych, jak i cywilnych. Jak to zazwyczaj bywa, uczniowie pełni wdzięczności za trud nauczania, pragnęli coś zrobić dla szkoły, pragnęli pozostawić po sobie ślad. Pani magister Leokadia Marciniak uczyła historii, a na propozycję uczniów odpowiedziała krótko: — „chcecie panowie zrobić coś dobrego dla szkoły, młodzieży i społeczeństwa — postawcie kamień-pomnik na należne mu miejsce". Wojskowi — uczniowie nie zastanawiali się wiele, zawinęli rękawy mundurów, wybudowali postument i kamień-pomnik wrócił na swoje miejsce.

Dziś, przy wjeździe do tutejszego Ośrodka Zdrowia, pod piękną rozłożystą wierzbą, nasz kamień-pomnik zatrzymuje wzrok przechodnia i spełnia swoją patriotyczną powinność. Nie wszyscy jednak wiedzą, że kamień ten mą również swój bardzo złożony życiorys: — przedwojenny, gdy był dumą mieszkańców i dowodem ich walki o wyzwolenie spod bata caratu — okupacyjny, gdy musiał ukrywać się, by przetrwać — wojenny, gdy długo czekał na uznanie — obecny, gdy uczy młodzież historii naszego narodu.

Nie godzi się miejsc pamięci narodowej klasyfikować na ważniejsze i mniej ważne — wszystkie gdzie o Polskę walczono są jednako cenne, tak jak każda kropla krwi polskiej przelana pod: Wizną, Lenino, Monte Cassino, nad Bzurą, czy na Wale Pomorskim jedną, jedyną ma cenę — była krwią polskiego żołnierza. O tym trzeba zawsze pamiętać.

Moim młodym przyjaciołom ze Szkoły Podstawowej w Gałkowie tę małą kartkę do podręcznika historii dedykuję.

ZDZISŁAW PIASECKI

WIARA, NADZIEJA I AIDS

Obdarzono już AIDS wszystkimi możliwymi, negatywnymi określeniami z pełną świadomością ich słuszności. Wydano na badania miliony dolarów, opublikowano wiele prac, podjęto szereg ważnych decyzji, ale nie powstrzymano pochodu AIDS przez kontynenty.

Walkę z tą najgroźniejszą chorobą prowadzi wiele ośrodków naukowych, z których najbardziej znane są amerykańskie i francuskie. Powołano Europejskie Międzynarodowe Towarzystwo do Walki z AIDS, z siedzibą w Paryżu.

Produkowane są nawet leki, które w pewnych przypadkach przedłużają życie i zmniejszają nasilenie objawów chorobowych. Najbardziej znanym specyfikiem jest AZT — azydotymidyna produkowana przez firmę Wellcome-Burroughs stosowana pomyślnie przy śródmiąższowym zapaleniu płuc związanym z AIDS. Są i inne, jeszcze mniej skuteczne środki.

Inwazja AIDS wykraczać zaczyna daleko poza medyczną problematykę i rzutuje coraz bardziej na wszystkie niemal sfery naszego życia. Nieuleczalność AIDS i obawy przed infekcją powodują indywidualne i zbiorowe reakcje o negatywnych konsekwencjach. Wiele tych pozamedycznych efektów oddziaływania AIDS robi wrażenie nieistotnych, pojedynczych zdarzeń, ale zestawienie ich razem przy jednoczesnym lawinowym zwiększaniu się liczby zachorowań budzi uzasadniony niepokój.

Doniesienia prasy o zabójstwach partnerów seksualnych, którzy nie ujawnili, przed rozpoczęciem współżycia swej choroby są coraz częstsze. Czy jest to wystarczający powód do kwalifikacji czynu jako zabójstwa w afekcie? Czy świadome rozprzestrzenianie AIDS może być uznawane za przestępstwo i rozważane w kategorii zabójstwa? Organizowanie się rodziców w ugrupowania „Obywatele przeciwko AIDS w szkołach" jest faktem w Stanach Zjednoczonych. Po ogłoszeniu wyroku Sądu Federalnego przywracającego dzieciom-nosicielom wirusa HIV prawa dalszego uczęszczania na zajęcia lekcyjne, organizacja rodziców ogłasza bojkot szkoły. W wielu krajach odzywają się pojedyncze i zbiorowe głosy domagające się izolowania chorych i nosicieli wirusa AIDS w gettach. Otrzymywanie wiz wjazdowych do niektórych krajów ma być uwarunkowane negatywnym wynikiem testu na wirusa HIV. Coraz częściej pracodawcy interesują się zachorowaniami swych pracowników na AIDS, a choroba staje się praktycznie równoznaczna z pozbawieniem pracy. Czy wreszcie podniesienie cen pogrzebu o 300 dolarów przez kalifornijskich przedsiębiorców pogrzebowych dla zmarłych na AIDS lub wykorzystywanie groźby zainfekowania wirusem HIV jako metody szantażu.

Tych kilka pozamedycznych przykładów wymownie świadczy o znaczących skutkach oddziaływania AIDS na jednostki i społeczeństwo.

Czy współczesny człowiek musi ukorzyć się przed AIDS, jako ucieleśnieniem ludzkiej bezsilności? Czy medyczne, ekonomiczne, społeczne i inne nieobliczalne skutki są tragiczną koniecznością?

Uczeni w pierwszym rzędzie próbują powstrzymać rozprzestrzenianie się AIDS. Propagowanie wiedzy o sposobach przenoszenia wirusa AIDS oraz idei bezpiecznego seksu jest jedną z głównych metod działania. Ze względu na wysoki stopień zagrożenia narkomanów (w większości młodych ludzi) przeznacza się duże sumy na szerzenie wiedzy w tych kręgach. Na przykład w Wielkiej Brytanii od 2 września br. rozpoczęła się kosztowna (około 5 mln funtów) i krytykowana przez wielu obywateli kampania propagandowa skierowana do narkomanów, której główne hasła brzmią: Jeśli nie będziesz wstrzykiwał narkotyków, nie wstrzykniesz sobie AIDS. Jeśli nie możesz przestać, nie używaj igieł i strzykawek wspólnie z innymi.

Brytyjska prasa donosiła ostatnio także o medycznych sukcesach w walce z AIDS.

Jim — jeden z pierwszych w Wielkiej Brytanii, u którego stwierdzono AIDS, w lutym bieżącego roku wydał przyjęcie w trzecią rocznicę rozpoznania choroby. Ten 30-letni mężczyzna celebrował swoje ocalenie. Minęło przeszło 45 miesięcy od dnia diagnozy. Przeżył on 6 ciężkich ataków zapalenia płuc, poważne zapalenie opon mózgowych, zaburzenia funkcjonowania układu pokarmowego, wyniszczające, nocne ataki pocenia się. Ubocznym efektem stosowania antybiotyków i leków przeciwbólowych była utrata słuchu w 75 proc.

Dziś nawroty zapalenia płuc są rzadsze i nie tak ostre, nocne ataki pocenia prawie ustały. Stan zdrowia Jima jest na tyle dobry, iż może podjąć pracę zawodową.

Charles — czterdziestokilkuletni mężczyzna — mięsaki Kaposiego — całkowite wyniszczenie chorobą, nie dawało jakichkolwiek nadziei na doczekanie nowego 1987 roku. Przez całe swoje życie pisał pamiętnik, który był jego pasją. W obliczu nieuchronnej śmierci zarzucił pisanie. Dziś jest optymistycznie patrzącym w przyszłość człowiekiem. Powrócił do pracy nad swoim pamiętnikiem i ma zamiar w najbliższej przyszłości podjąć pracę za granicą.

Opisane przypadki nie stanowią odosobnionych wyjątków. Liczba szybko wracających do zdrowia pacjentów jest znacznie większa. Ci chorzy dopomogli sobie sami. Wspólne dla nich czynniki, odgrywające najważniejszą rolę, to właściwa pozytywna postawa psychiczna i holistyczne, czyli całościowe podejście do leczenia AIDS.

Chorzy ci początkowo leczeni byli konwencjonalnymi metodami z użyciem szerokiej gamy antybiotyków, jak i silnych środków przeciwbólowych zawierających narkotyki. Następnie zastosowano holistyczną metodę leczenia, gdzie oprócz tradycyjnej chemoterapii wykorzystano szeroki wachlarz niecodziennych metod począwszy od technik treningu autogennego, homeopatii, akupunktury, stosowania ziół, chińskiej medycyny ludowej aż po oddziaływanie muzyką, tańcem i innymi środkami na psychikę leczonych jednostek.

Wszystkie te metody mają na celu leczenie i traktowanie człowieka jako całości złożonej z umysłu, emocji, ciała i psychiki, w przeciwieństwie do konwencjonalnej medycyny, która koncentruje się jedynie na ciele człowieka. Chorzy stosujący holistyczną terapię nie oczekują cudów, lecz wraz z zespołem leczących wypracowują specyficzny reżim postępowania odpowiadający ich indywidualnej naturze. Terapia holistyczna zawiera psychologiczne i psychoterapeutyczne techniki z jednoczesnym stosowaniem właściwego odżywiania i różnorakich ćwiczeń.

Grupa około 50 pacjentów utworzona 23 miesiące temu składała się z nosicieli wirusa HIV oraz 17 osób posiadających aktywny AIDS. Statystycznie należało się spodziewać, że przynajmniej 10 członków tej grupy umrze do dnia dzisiejszego. W rzeczywistości zmarł tylko jeden uczestnik, a pozostali poczynili znaczące postępy w leczeniu. Opiekunem grupy jest dr Kai Kermani, który prowadzi chorych na AIDS w Laughton Centre for Autogenic Training, w Wielkiej Brytanii.

Nieznany ofiarodawca, który uległ sile konkretnych efektów terapii holistycznej przeznaczył 1 milion funtów na otwarcie w londyńskiej dzielnicy Earl's Court nowego centrum leczenia AIDS tą metodą. Przyrzekł ponadto subsydiować funkcjonowanie centrum, w którym leczenie mogłoby być bezpłatne, a metody terapii opracowywane odpowiednio do indywidualnych potrzeb chorego. Zajęcia prowadzone przez dr Kermani obejmują dyskusje i ćwiczenia dotyczące możliwości usprawnienia różnych aspektów egzystencji związanych z ciałem, umysłem, emocjami i psychiką. Dr Kermani podkreśla, że leczenie holistyczne nie zastępuje konwencjonalnej medycyny, ale jest jej uzupełnieniem. Ma tworzyć harmonijny mariaż, którego działanie jest bardziej efektywne. Wspomagając ciało chorego treningiem autogennym, AZT lub innymi środkami daje się pacjentowi znacznie większą szansę na zwalczenie choroby.

Filozofia doktora Kermaniego przekazywana pacjentom jest bardzo prosta. Mówienie komuś o konieczności śmierci, jej nieuchronności, traktowanie jak wyrzutka, obciążanie winą — do czego to może prowadzić? Odwrotność działań — stwierdzenie możliwości utrzymania przy życiu, nalegania aby żył, otoczenie przychylnością i uczuciem, wyposażenie w efektywne techniki postępowania z ciałem i ludzką psychiką spowoduje, iż odporność organizmu ulega poprawie, co daje szanse na przedłużenie życia lub wyleczenie.

Choroba może być wyniszczająca, ale ponieważ dla wielu jedynym ratunkiem, który naprawdę istnieje jest wyuczenie ciała oraz wypracowanie innego podejścia do własnej psyche przez odsłonięcie samego siebie i stawienie czoła samemu sobie. Niektórzy chorzy żartują, że AIDS jest przyspieszaniem wewnętrznego doskonalenia się.

Stosowana metoda holistyczna nie ma cudownego charakteru panaceum. Jest próbą wyzwolenia wewnętrznej siły człowieka, która jest w stanie pokonać wiele przeszkód w walce o życie.

WIKTOR WYSZYWACZ

„TAKSÓWKARZ Z PABIANIC"

W nawiązaniu do informacji zawartej w tygodniku nr 36 z dnia 19 września 1987 r. pt. „Taksówkarz z Pabianic" Zrzeszenie Transportu Prywatnego w Łodzi przedstawia, co następuje.

Sprawa rozdziału asygnat na samochody osobowe w 1987 r. nie została jeszcze zakończona. Udzielona informacja dla redakcji nt. „że nikt spośród trzystu pabianickich taksówkarzy przydziału na nowy samochód nie dostał" — jest przedwczesna.

Rozdział asygnat na samochody osobowe jest procesem bardzo skomplikowanym, jeżeli zważy się, że zrzeszenie do dyspozycji otrzymało tylko 39 sztuk. Ubieganie się o przydział asygnaty obwarowane jest wysokimi kryteriami, które ustaliło Prezydium Zarządu Naczelnej Rady Zrzeszeń Transportu Prywatnego w Warszawie.

Między innymi są to kryteria:

— data wyprodukowania samochodu, którym prowadzona jest działalność (1981 r.)

— staż członkowski z ważnym zezwoleniem (2.01.1982 r.),

— że ubiegający się o przydział nie nabył samochodu z PP „Polmozbyt",

— że nie posiada przedpłaty na samochód osobowy,

— nie byli karani w ostatnich 2 latach w związku z prowadzoną działalnością,

— w ostatnich 2 latach nie wymieniali nadwozia.

Przedstawiono tylko najważniejsze kryteria, które upoważniają osoby ubiegające się o przydział asygnat samochodowych do składania podań.

Ubiegających się o przydział asygnat jest 357 osób (tyle złożono podań); a więc praktycznie co 10 osoba będzie mogła skorzystać z przydziału.

W dotychczasowych pracach komisji rozdziału asygnat rozpatrywano podania 16 osób pabianickich taksówkarzy. Z tej liczby Zarząd Zrzeszenia w dniu 23.09.1987 r. przydzielił 2 osobom asygnaty, a 3 osoby znalazły się na liście rezerwowej.

Procedura rozdziału asygnat samochodowych jak już na wstępie zaznaczono, jest pracochłonna i przechodzi przez kilka szczebli organów samorządowych zrzeszenia.

Zgodnie z uchwałą nr 389 Prezydium Zarządu Naczelnej Rady Zrzeszeń Transportu Prywatnego w Warszawie z dnia 5 maja 1987 r. pierwszym organem roboczym jest powołana specjalna komisja ds. rozdziału samochodów, która rozpatruje podania kandydatów, a następnie sporządza listę imienną przydziału asygnat samochodowych.

Propozycja komisji następnie oceniana jest w kolejności przez organa zrzeszenia:

— Prezydium Zarządu Zrzeszenia,

— Zarząd Zrzeszenia,

— Komisję Rewizyjną,

a ostateczne zatwierdzenie listy przydziału asygnat samochodowych następuje przez Prezydium Zarządu Naczelnej Rady Zrzeszeń Transportu Prywatnego w Warszawie.

Jeżeli niniejsza informacja nie będzie wystarczającą odpowiedzią na notatkę prasową, prosimy o wskazanie problemu, na który udzielimy dodatkowej odpowiedzi.

dyrektor
mgr BOGDAN MARASIAK

CZY WSZYSTKIM MUSZĄ PODOBAĆ SIĘ WIERSZE „CENTAURO"?

Spieszę przynieść słowa pocieszenia Tadeuszowi Kołaczykowi, który w „Odgłosach" numer 40 pisze, iż nie rozumie wierszy grupy Centauro.

Proszę Pana! Nikt ich nie rozumie z autorami na czele.

Być może już od zarania dziejów ludzie pletli trzy po trzy, ale komu by się wtedy chciało wykuwać banialuki w kamieniu? Dziś mamy drukarnie, którym wszystko jedno, jaki tekst przyjdzie im składać.

Mamy też grupy poetyckie!

Niegdyś poeta miewał powołanie, natchnienie itp. Dziś poeta pisze co popadnie i zapisuje się do grupy Centauro. Zapewne instytucja menażera, impresaria trafiła do nas ze zgniłego Zachodu, ale tam idzie przecież o gruby szmal, a tymczasem u nas, aby dobrze ulokować głupie 3000 zł nagrody w jakimś konkursie poetyckim, członek jury otwiera koperty z godłami autorów i ustala werdykt jeszcze przed posiedzeniem komisji...

Jakże łatwo w ten sposób kogoś zobowiązać, kogoś kupić, zaskarbić sobie czyjąś wdzięczność. Potem już jeden krok tylko do uzyskania stypendium literackiego, choć nie posiada się żadnego dorobku książkowego, ba, nie posiada się talentu ani umiejętności pisania.

Każda grupa adeptów muzy poetyckiej, niekoniecznie Centauro, jeżeli tylko potrafi znaleźć sponsora dla swojej działalności, będzie zaśmiecała łamy lokalnych czasopism swoimi wypocinami. Przy okazji istnienia takiej grupy zarabia przecież sponsor, krytyk, organizator imprez, dysponent świecącej pustkami sali, czasem recytator i inni.

Trzeba jednak ludzi zachęcić do uczestnictwa, bez względu na wartość tego, co piszą. To jest łatwe. Na hasło „publikacja" młody grafoman pójdzie w dym z zamkniętymi oczyma. Wystarczy mu cień szansy, że ktoś go wysłucha, oceni, a może nawet doceni, aby dał się wpisać na listę wszystkich grup świata. Potem istnieje taka lista martwych dusz świetna do przedkładania Głównemu Księgowemu, a wokół interesu kisi się we własnym sosie gromadka tych co bliżej żłoba. Jednocześnie drukuje się cokolwiek, żeby zachęcić, żeby dać znak życia jakiejś niedowartościowanej placówki kulturalnej, żeby pogłębiać, motać i umacniać u k ł a d y.

Kiedy przyłapany przeze mnie na gorącym uczynku produkowania werdyktu jury we własnym, jednoosobowym gronie, jeden z działaczy grupy Centauro powiedział ze szczerym zdumieniem: — No tak się przecież robi! — to było to tak rozbrajające, że nie warto było nawet podnosić rabanu. Pozostaje tylko pokiwać głową z pożałowaniem: Jeżeli tak się robi, to ma się potem efekty w postaci elitarnej kolumny w „Odgłosach", której publikacja nie służy ani Czytelnikowi, ani poezji, ani kulturze, ale właśnie owej elicie kombinatorów z towarzystwa wzajemnej adoracji, jaką stanowią naczalstwa ugrupowań poetyckich typu godnego pożałowania Centauro. Grupy, z której w porę i we własnym, dobrze pojętym interesie rejterował kol. Kajetan M. Dutkiewicz.

ANDRZEJ KRAKOWSKI

Łódź, 1987.09.30.

OD REDAKCJI. List Andrzeja Krakowskiego przypomina dawne czasy, gdy ostro i bezkompromisowo spierano się o poezję. Dziś tak potrafi jeszcze Artur Sandauer, choć nie wszyscy z nim się zgadzają i nie wszyscy przyznają mu rację. Ale rzecz zawsze rozchodzi się o fakty i ich interpretację. W przypadku listu Andrzeja Krakowskiego jest inaczej.

Mimo naszych zastrzeżeń drukujemy list Andrzeja Krakowskiego w nadziei, że może uda się w dalszej dyskusji, gdyby taka wywiązała się inwektywy i insynuacje zastąpić argumentami.

A poza tym każdy ma prawo do swego sądu o poezji. Nie wszystkim wszystko musi się podobać. W tym jest chyba cały sens i urok tego, że możemy publikować różne wiersze, a niektóre z nich mogą wywołać nawet... dyskusję.

Ostatnie trzy lata, ostatni koncert w „Olimpii" i ostatnie miesiące życia Edith Piaf.

„Nie, nie żałuję niczego!"

Rozmowę z CHARLESEM DUMONTEM i JEANEM NOLLY dla tygodnika „Ogoniok" przeprowadziła J. Karasiowa.

Piosenkarka tragiczna. Bardzo młoda, w nędzy, bez domu, urodziła córkę. Nosiła ją ze sobą po podwórzach, gdy śpiewała pod oknami. Dziewczynka zachorowała i zmarła w wieku dwóch lat. Przypadkowo usłyszał uliczną piosenkarkę z Montmartre'u zawodowy impresario. Wprowadził ją na scenę, odkrył dla publiczności. Wkrótce jednak, w wyniku jakichś porachunków, został zabity. A ona, wciągnięta w skandal, ponownie znalazła się na dnie... Gdy została znakomitością, po raz pierwszy na jej drodze znalazł się człowiek, z którym wydawało się możliwe prawdziwe szczęście — bokser Marcel Cerdan. Ale Marcel zginął w katastrofie lotniczej. A później ona przeżyła katastrofę — samochodową. Ciężkie kontuzje, ataki piekielnego bólu wybiły ją z normalnego rytmu pracy. Jako człowiek z natury optymistyczny, uwielbiający żarty i zabawy, usiłowała rozerwać ten mroczny, zamknięty krąg, z męstwem przeciwstawiając się przeciwnościom losu. Jak? Śpiewając oczywiście. Śpiewając coraz piękniej, coraz głębiej, z owacji i łez słuchaczy czerpiąc siły do walki ze „złym losem" Walka ta przybrała szczególny charakter na trzy lata przed śmiercią...

JEAN NOLLY: — Już rok prawie Piaf nie występowała. Rzadkie tournée kończyły się smutnie: w środku koncertu głos się rwał, spojrzenie stawało się błędne, nogi się pod nią uginały. Wzywano lekarza, który niezmiennie stawiał diagnozę: śpiączka. Wsadzano ją do samochodu nieomal bez życia i rozpoczynał się szalony wyścig do kliniki w Paryżu, w której mogli udzielić jej efektywnej pomocy... Jej dom, zwykle kipiący ludźmi, opustoszał. Z wyjątkiem ostatniego „bastionu" przyjaciół najbardziej oddanych, nikt prawie teraz nie przychodził. Dlatego, że nikt prawie nie oczekiwał teraz od niej niczego. Wśród nielicznych, którzy uparcie czekali i mieli nadzieję, był Bruno Coquatrix — dyrektor sławnej „Olimpii", przeżywającej finansowy kryzys. Wyjście z kryzysu widział tylko w występach Piaf, które gwarantowały olbrzymie dochody... Tego wrześniowego dnia 1960 roku, gdy po raz pierwszy zaproszono mnie do domu piosenkarki, Coquatrix jak zwykle już tam dyżurował. — Jak samopoczucie? — zapytał życzliwie, zaledwie Edith pojawiła się w salonie, w którym zebrała się cała jej maleńka „świta": impresario Lulu Barrier, dyrygent Robert Chauvigny, kompozytorka Marguerite Monod, poeta Michel Rivgoche Milcząc wzruszyła ramionami. Potem, prawie bezdźwięcznie, jakby miała nadzieję, że jej nie usłyszą, wymówiła: — *Mojej „Olimpii" nie będzie. Proszę wszystkich o wybaczenie.* — I aby uniknąć przykrych indagacji, kurczowo wpiła się obiema rękami w filiżankę z herbatą i uniosła ją ku drżącym ustom. Zebrani z przygnębieniem spoglądali po sobie. Monod objęła ją za chude, żałośnie opuszczone ramiona i odprowadziła do sypialni. Coquatrix zmęczony strzepnął popiół z papierosa z klapy marynarki i dotknął serca, jakby chciał się przekonać, czy ono jeszcze bije. Ciężkim krokiem ruszył do wyjścia. Za nim ruszyli pozostali. A więc — pomyślałem — krążące po Paryżu słuchy nie są przesadzone. Nie ma już piosenkarki...

CHARLES DUMONT: — Wyobraźcie sobie taką sytuację. Mieszka w Paryżu młody kompozytor, już dosyć znany (jego piosenki śpiewają Tino Rossi i Gloria Lassault), ale bez grosza w kieszeni. Na karku ma rodzinę, małe dzieci, które trzeba nakarmić, mieszkanie kupione na kredyt, który trzeba spłacać i w którym poza fortepianem i telefonem nie ma nic. W pewnej chwili, na znak protestu przeciw takiej niesprawiedliwości rodzi się w nim nieoczekiwanie buntownicza, rewolucyjna melodia. Dzwoni więc (ma na szczęście telefon) do przyjaciela — utalentowanego i popularnego poety, autora tekstów i prosi go o napisanie słów do tej melodii. Tamten pisze i uznaje, że piosenka godna jest zaproponowania samej Piaf. Kompozytor rozpaczliwie protestuje: dwukrotnie już proponował jej swoje utwory, a ona niezmiennie je odrzucała, dając do zrozumienia, że muzyk jest jej niemiły. Muzyk zaś jest drażliwy. Poza tym wszyscy wiedzą, że piosenkarka jest w beznadziejnym stanie i już nie będzie mogła śpiewać... Przyjaciel zgadza się, ale robi swoje i umawia się na przesłuchanie.

Jest wyznaczony dzień i godzina. I oto 5 października 1960 r. dzwonimy z Michelem Voquerem do drzwi domu stojącego naprzeciwko Lasku Bulońskiego. Wprowadzają nas do ogromnego, pustawego salonu, przypominającego dworcową poczekalnię. Pośrodku — czarny fortepian, niezgrabna, wygnieciona sofa z jaskrawobłękitnym obiciem, dwa fotele i niski stolik. A z boku, w drzwiach — sama gospodyni. Włosy proste, długi szlafrok — też błękitny, ale wyblakły, na nogach klapki. Bardzo blada i bardzo słaba. Odległość od fortepianu pokonuje chyba przez trzy minuty. Umyślnie mnie ignorując nie stara się ukryć rozdrażnienia i zwraca się do Michela: — Błagam, przejdźmy od razu do sprawy. Jak pan widzi, nie jestem w formie.

Pośpiesznie siadam przy instrumencie. Grając, jednocześnie śpiewam: „Nie, nie żałuję niczego!"... Kończę. Długa, nie do wytrzymania przerwa. Po raz pierwszy Edith podnosi na mnie oczy:

— *Proszę zagrać od nowa.*

Gram ponownie, oblewając się potem. Znowu przerwa. A po niej niedowierzające pytanie, kierowane osobiście do mnie:

— *Pan to sam napisał?... Dobre. Naprawdę dobre... Czy nie mógłby pan tego powtórzyć raz jeszcze?*

Powtarzam. A ona jeszcze raz z napięciem słucha. I nagle się przeobraża. Przeobraża się fantastycznie: oczy rozbłyskują, policzki się rumienią. Żadnego śladu zmęczenia i depresji. Nie może już być mowy o tym, abyśmy szybko wyszli. Nie — nie, powinniśmy zostać i przedstawić naszą piosenkę jej przyjaciołom...

Była właśnie godzina, o której przyjaciele zwykle zjawiali się, aby tradycyjnie „złożyć uszanowanie". Za każdym razem, gdy do salonu zaglądał kolejny bywalec, Edith niecierpliwie wołała:

— *Chodź szybko, posłuchaj no tego.*

I ja grałem, grałem, grałem. A Piaf do końca już klaskała i szczęśliwa krzyczała:

— *Wstrząsające, nieprawdaż?*

Sama odprowadziła mnie i Michela do progu i na pożegnanie poważnie powiedziała:

— *Może pan być pewien — na pewno będę wykonywać pańską piosenkę. I to znacznie szybciej, niż sądzicie, patrząc teraz na mnie!*

Wyciągnęła do mnie rękę, była to ręka dziecka.

JEAN NOLLY: — Nie było sądzone Dumontowi spać tej nocy. Po jego odejściu odrodzona Edith, napełniona nową energią, zwołała cały dom gości. Ogłosiła z triumfem:

— *Dzisiaj znalazłam to, czego szukałam — piosenkę, która mnie uratuje!.*

Wszyscy jej gratulowali. Szczególnie zaś gorąco i szczerze Bruno Coquatrix: chodziło przecież i o ratunek dla niego. Wszyscy oczywiście płonęli z ciekawości: cóż to za cudowna piosenka? Posypały się pytania. I wtedy Edith, tonem nie znoszącym sprzeciwu poleciła Claudowi, swojemu sekretarzowi, aby *„natychmiast zadzwonił do Dumonta i wezwał go tutaj".*

Trzeba było znać charakter piosenkarki, która, gdy chodziło o pracę, stawała się tyranem, aby zrozumieć taki postępek. Ale trzeba też było widzieć kompozytora... Nie dano mu jednak czasu na okazanie uczuć. Zaciągnęli go do fortepianu, posadzili, ucichli w oczekiwaniu. Potoczył zaspanymi oczami po zwróconych ku niemu twarzach, z których wiele bez kłopotu można było poznać: Pierre Brasseur, Michel Simon, Pierre Cardin... Potem, przemagając się, spojrzał na Piaf. W odpowiedzi uśmiechnęła się młodym, rozbrajającym uśmiechem:

— *Na Boga, Charles, proszę wybaczyć. Ale chyba przez pana zgodzę się ponownie na występy. I nie mogłam dłużej czekać na zademonstrowanie dyrektorowi „Olimpii" i wszystkim pozostałym mego szczęśliwego odkrycia.*

Wściekłość Dumonta ulotniła się. Wziął pierwsze akordy i z uczuciem zaśpiewał.

— *Mój drogi* — zaszeptał ze wzruszeniem Coquatrix, nachylając się nad nim. — *Do śmierci będę to panu pamiętać!*

— *A teraz, wszyscy do kuchni!* — rozkazała gospodyni. — *Okropnie chce mi się jeść!*

CHARLES DUMONT: — Stałem się świadkiem zadziwiającego wskrzeszenia... 5 października miałem przed sobą rozbitą, niemal sparaliżowaną kobietę. Teraz czesała się w fryzjera, zamawiała nowe suknie, starannie zajmowała się gimnastyką leczniczą. Wszystko miało służyć jednemu celowi, jakim był jak najszybszy powrót do „Olimpii". Niestety pierwsze próby sił wywoływały wrażenie przygnębiające. Piosenkarka podobna była do sportowca, któremu „wysiadły" muskuły. Moją piosenkę wykonywała z nerwem i temperamentem. Inne stare kawałki pozostawiały ją jednak obojętną i dlatego nie robiły wrażenia...

— *Nie znajdziesz jeszcze czegoś dla mnie?* — to było pytanie, które zadawała mi teraz niemal codziennie. A ja szukałem, to znaczy pisałem. Ona sprawdzała, poprawiała, krytykowała, wymagała. Uwielbiała brać udział w tworzeniu utworów przeznaczonych dla niej, a robiła to w sposób mistrzowski, z dużym profesjonalizmem... Krótko mówiąc, gdy sporządziliśmy w końcu program dla „Olimpii", okazało się, że z szesnastu zawartych w nim piosenek trzynaście — to moje. Nawiasem mówiąc, były wśród nich również te dwie, które ona w swoim czasie tak kategorycznie odrzuciła...

26 listopada 1960 r. przy wejściu do „Olimpii" tłoczył się wzburzony tłum ludzi bez biletów. Wśród pragnących przedrzeć się na premierę, obok wielbicieli piosenkarki byli też tacy, którzy po cichu liczyli na mrożący krew w żyłach widok agonii piosenkarki. Piaf o tym wiedziała. Szykowała się więc do koncertu premierowego jak do decydującego starcia. Pracowała jak koń. Robiła próby po trzy, cztery godziny na dobę, w rytmie dla niej, osłabionej, wyczerpującym. Kontrolowała wszystko: oświetlenie, miejsce muzyków, moment opuszczania i unoszenia kurtyny. Wyszlifowała najdrobniejsze elementy układu scenicznego:

— *Tutaj robię krok do tyłu, tutaj jest mi potrzebny spopielającobiały strumień światła. Jeżeli nie zaplaczą w tym miejscu, to mają kamienne serca...*

Nie bez zdumienia odkrywałem w niej profesjonalne wyrachowanie, twardość, niezłomność.

JEAN NOLLY: — Orkiestra zagrała „Hymn miłości" — tradycyjny sygnał wywoławczy Piaf. Wyszła z charakteryzatorni, podtrzymywana przez Coquatrixa i Dumonta, którzy, wydawało się, nieśli ją, aby uwolnić od zbędnych ruchów. Zdążyłem zauważyć, że ma na sobie starą suknię koncertową i stare, rozdeptane pantofle, zamiast nowych, dostarczonych w przeddzień z pracowni. Gdy ciężka, czerwona kurtyna zaczęła się powoli rozsuwać, odsunęła się od swoich pomocników, szybko się przeżegnała i pocałowała wiszący na szyi krzyżyk-talizman. Potem, obróciwszy się do Coquatrixa i Dumonta, wyszeptała z podnieceniem w oczach:

— *No cóż, ściskajcie za mnie kciuki.*

Posłusznie zacisnęli. Ruszyła w stronę mikrofonu. Sala, gdy ją zobaczyła, powstała. Razem z oklaskami przetoczyło się przez nią jej imię — skandowane, powtarzane niezliczoną ilość razy. Patrzyłem na zegarek: owacja trwała szesnaście minut, nie pozwalano jej rozpocząć koncertu. Ale oto jej głos wziął rozpęd i wzleciał nad rzędami, które natychmiast zamilkły. To był silny głos. Po pierwszej piosence publiczność ponownie powstała, aby tym razem przywitać tę siłę, która powróciła... Z każdą nową piosenką brawa stawały się coraz mocniejsze. „Nie, nie żałuję niczego!" Dumonta wywołała burzę oklasków. Dopiero po tej piosence Piaf zrobiła przerwę. Poszła za kulisy, aby wypić parę łyków wody. Obrzuciwszy nas wszystkich, stłoczonych wokół niej, oceniającym wzrokiem i zrozumiawszy, że jesteśmy wstrząśnięci, niedbale, jakby mimochodem, rzuciła:

— *Wygląda na to, że nieźle idzie!*

I już bez pomocy, znowu ruszyła na scenę.

CHARLES DUMONT: — Niektórzy widzowie, a ściślej kobiety, od nadmiaru emocji traciły świadomość. Za to sama Edith, w miarę jak koncert zbliżał się do triumfalnego końca, stawała się coraz silniejsza. Nikt już nie zauważał jej wątłości, śladów choroby na twarzy, chwiejnego kroku, obrzękłych nóg, rzadkich włosów. Widoczna była tylko artystka — wielka, niezrównana i dlatego piękna... Był to triumf woli, pracy i wiary nad codziennością, nad losem. Był to niepowtarzalny moment w historii piosenki francuskiej, w życiu każdego, kto tego pamiętnego wieczoru znajdował się w „Olimpii".

— *Tego jeszcze w moim teatrze nie było* — powtarzał Coquatrix nie wstydząc się łez.

Impresario Lulu Barrier nie mówił nic, ale jego oczy też były czerwone. Milczący, cierpliwy Barrier. Co by bez niego Edith zrobiła? Przyzwyczajona do baśniowych honorariów, nigdy nie interesowała się tym, ile pieniędzy było na jej koncie w banku. Ale czeki rozdawała na prawo i lewo, jak ulotki reklamowe. Nie było dnia, aby nie zjawiał się jakiś typ i nie opowiadał przeraźliwie smutnej historii o chorym dziecku, umierającej żonie, zbliżającej się operacji. Oni wiedzieli, że Piaf nie odmówi i grali na jej dobroci. Jakikolwiek, przypadkowy „gość" spokojnie mógł to,co chciał wynieść z jej mieszkania — magnetofon lub gramofon, drogą książkę lub wazę. Wszystko było rozdawane, roztrwaniane, rozkradane. A tymczasem, w miarę utraty zdrowia, jej własne długi rosły zatrważająco: za leczenie trzeba było dużo płacić. Biedak Lulu, na którym wisiały te wszystkie problemy finansowe, jak magik zatykał pieniędzmi jedną dziurę po drugiej. Na jego twarzy pojawił się jednak nerwowy tik. Zwycięski powrót Piaf na scenę umożliwiał mu przynajmniej złapanie oddechu.

JEAN NOLLY: — Pierwsze trzy tygodnie występów w „Olimpii" minęły pod znakiem powszechnej euforii. Pewnego jednak razu, bardzo zazwyczaj punktualna Edith przyjechała na koncert w ostatniej chwili, o mało się nie spóźniając. Przez tłum, który zawsze tutaj na nią czekał, któremu zazwyczaj rozdawała uśmiechy i żarciki, przeszła milcząc, z ponuro opuszczoną głową...

Znowu była niezdrowa. O ile jeszcze niedawno uwielbiała gwałtownie przerwać oklaski i szybko przejść do następnej piosenki, o tyle teraz chwytała się za nie jak za koła ratunkowe — łapała oddech. Powróciły zawroty głowy. Po ostatnim ukłonie trzeba było ją dosłownie podchwytywać i na rękach nieść do charakteryzatorni. Śpiewała jednak mimo wszystko znakomicie.

CHARLES DUMONT: — Wysiłek, jakiego te trzy miesiące wymagały od Piaf był nieludzki. Ludzie rozważni mówili, że niedopuszczalne jest takie roztrwanianie siebie. Ale czy rozwaga kiedykolwiek szła w parze z genialnością? Czyż zapał (a często szybkie spalanie się) nie jest udziałem geniuszu?... Była zbyt dumną, aby się poddać. A kontakt z salą był dla niej potężnym bodźcem życiowym. Dlatego po roku wróciła do „Olimpii", chociaż zdrowie już zupełnie jej na to nie pozwalało. Z tego też powodu, nie słuchając przestróg, jeździła na gościnne występy po Francji i Belgii.

W sierpniu 1963 roku znalazłem się przejazdem w Marsylii. W porcie wszedłem do restauracji na kolację i niemal zderzyłem się z Brelem. Od razu zaczął pytać o Edith. Dowiedziawszy się, że z nią jest zupełnie źle, pomroczniał, zamyślił się. I nagle zaproponował:

— *Słuchaj, a może napiszemy dla niej razem piosenkę?*

Podchwyciłem tę myśl.

— To będzie najlepsze lekarstwo!

— *A więc do roboty!*

Siedzieliśmy do północy. Nie czekając na koniec pracy, z samego rana rzuciłem się dzwonić do Piaf.

— Edith, z Brelem szykujemy dla ciebie niespodziankę — nową piosenkę!

Jej słaby, apatyczny głos, nagle się wzmocnił:

— *Zuchy! Przyjeżdżajcie do mnie natychmiast! Wspólnie dokończymy!*

Potem zamilkła i jakby się opamiętała, powiedziała głucho:

— *Chyba jednak poczekamy. Muszę się doprowadzić do porządku. Ale obiecaj, że nikomu nie oddacie piosenki, dobrze!*

Pozostały jej jeszcze dwa miesiące życia.

Tłumaczył:
HENRYK B. TYMIŃSKI

Jorgafony i maski

EUGENIUSZ IWANICKI

Kiszyniow (po mołdawsku Kiszyneu) oznacza źródło. W konkretnym przypadku chodzi o źródło wpadające do rzeki Byk (prawy dopływ Dniestru) wokół którego w XV w. zaczęto wznosić pierwsze budynki. Ale dopiero kronika z 1677 r. napisana przez Mirona Kostina (notabene po polsku) wymieniając 32 miasta mołdawskie, wymienia wśród nich także Kiszyniow.

Dziś Kiszyniow zajmuje ponad 162 km kw., a liczba jego mieszkańców przekroczyła 600 tys. Jest to nowoczesne miasto, jedno z centrów przemysłowych ZSRR. Rozwinął się tu przemysł budowy maszyn, spożywczy, lekki, drzewny, poligraficzny, papierniczy... Kiszyniow to także centrum nauki: tu znajduje się Akademia Nauk MSRR (zrzeszająca 16 wyższych uczelni), liczne instytuty naukowo-badawcze, szkoły techniczne, ogólnokształcące...

W Kiszyniowie jest prawie 100 bibliotek, liczne Pałace Kultury, Domy Młodzieży, Domy Kultury, 10 kin, 5 teatrów, filharmonia, 13 muzeów... W Kiszyniowie znajduje się ponad dziesięć drukarń, 6 wydawnictw, studio tv, rozgłośnia radiowa, ponad 30 gazet i periodyków, studia filmowe... W Kiszyniowie są 3 stadiony, 13 basenów, 140 sal gimnastycznych, 71 strzelnic sportowych, ponad 500 placów dla gier, 18 kortów tenisowych...

I oczywiście zabytki.

Ale przede wszystkim mieszkają tu ciekawi, nietuzinkowi artyści, ludzie bez reszty oddani swojej twórczej pasji. I o nich dziś chciałbym opowiedzieć.

JORGAFONY

Zwiedzając tereny „Wystawy Osiągnięć Gospodarki Narodowej" Mołdawii (które to tereny zajmują aż 125 ha powierzchni) w pawilonie przeznaczonym dla eksponatów twórczości ludowej, moją uwagę zwróciły niezwykłe instrumenty muzyczne sporządzone z tykwy. Okazało się, że ich twórcą jest człowiek mieszkający w Kiszyniowie Lubomir Jorga, a owe instrumenty od jego nazwiska nazywają się „Jorgafony".

Zapragnąłem natychmiast poznać tego nieprzeciętnego twórcę i wieczorem w towarzystwie moich mołdawskich przyjaciół schodziłem krętymi schodkami do pracowni instrumentów muzycznych jednego z najbardziej zadziwiających ludzi.

Lubomir Jorga sprawia wrażenie raczej sportowca niźli lutnika: dobrze zbudowany, siwy, w okularach, ma w ruchach miękkość i elastyczność skradających się panter.

Pytam, skąd to zainteresowanie muzyką.

— *Mołdawianie zawsze na czymś grali. Zanim jeszcze wynaleziono tylinkę (odmiana pasterskiej fujarki), gdzieś tam w zamierzchłych czasach grano na liściach. Zrywano liść z dębu czy winnego krzewu i grano. O tak:* — Jorga sięga po zielony liść i przez moment niewielką pracownię wypełniają dźwięki ludowej melodii. — *Tak bywało latem. Jesienią i zimą, kiedy nie ma liści, grano na rybich łuskach. Łowiono karpie olbrzymy i wybierano największe łuski.*

Znów rozlega się melodia mołdawska.

— *W całym ZSRR na naszej tylince* — mówi Jorga — *umiem grać tylko ja jeden. Niestety, nie mam następców.*

— Gdzie pan studiował muzykę?

— *Nigdzie* — odpowiada z powagą. — *Ja nie znam nawet nut. Z zawodu jestem tancerzem baletowym. A gry uczyłem się mając 25 lat, teraz mam 56.*

— Nieprawdopodobne! — nie wytrzymuję.

— *Mówię prawdę.* — Jorga bierze do ręki inny instrument wykonany z klonu, podobny do fletu, skręcony, dwuczęściowy, z pięcioma otworkami. — *Widzi pan to? Nazywa się to „kawał" i pochodzi z XV w. Ale w wirze i zamęcie historii zapomniano o nim. Dopiero w 1972 r., kiedy byłem w Paryżu, odnalazłem go w jednym z muzeów wraz z informacją, że to prastary besarabski instrument ludowy. Natychmiast wykonałem kopię i dziś proszę! Można na nim grać.*

Rozglądam się po pracowni: niskie, małe pomieszczenie zagracone glinianymi i gipsowymi formami. Pełno tu tykw i narzędzi. Właściwie nie ma wolnej przestrzeni, nawet ściany zawieszone są nieznanymi mi bliżej instrumentami i plakatami (chyba z całego świata), na których jest prezentowany Lubomir Jorga z jego jorgafonem.

— *Większość instrumentów wykonuję z drzew owocowych, a kiedy na nich gram, melodie pachną owocami.*

— A to co takiego? — pytam wskazując na stos glinianych form

— *Ach, to cała historia. W 1972 r. przy pomocy pewnego traktorzysty, restaurowałem niejako okarynę. To włoski instrument wynaleziony w 1860 r. przez Giuseppe Donatiego, a słowo „okaryna" znaczy „głowa gęsi". Powiedziałem sobie, że z okaryn stworzę orkiestrę: od najwyższych tonów po najniższe. I udało się. Obecnie po całym ZSRR wędruje ta moja niezwykła orkiestra. Niegdyś we Włoszech grano na okarynach Vivaldiego, dziś gramy nasze ludowe mołdawskie melodie.*

Lubomir Jorga kolejno demonstruje mi swoje instrumenty: i te, które „wskrzesił", wyciągnął z zapomnienia i te, które sam stworzył. A więc dawny flet bożka Pana, czyli naj, na którym koncertował w Europie Zachodniej grając Bacha, Mozarta i Vivaldiego; flujer czyli flujeraż (rodzaj fujarki); czimpoi (nasza kobza) instrument z Wysp Kanaryjskich, który do Europy przywieźli Szkoci. Jorga go zmodyfikował: zamiast skóry owczej użył materiału...

— *Uwolniłem* — mówi — *mołdawskie owce od ofiary na ołtarzu muzyki. Skóra, to rzecz mało praktyczna. No, bo proszę sobie wyobrazić, że ktoś do czimpoi użyłby skóry słonia. Musiałby dmuchać od poniedziałku do soboty, a dopiero w niedzielę mógłby dać koncert.*

— Przez te dni, które spędziłem w Mołdawii, zawsze towarzyszyła mi muzyka. Jesteście narodem rozśpiewanym i roztańczonym. — mówię do Jorgi, który wybiera kolejny instrument ze sterty leżących na stole.

— *O Mołdawianach mówi się, że dać im rurę kanalizacyjną, a oni i na niej potrafią zagrać. I to jeszcze jak! Tacy już jesteśmy. Teraz pokażę panu moje ukochane dziecko: to zwyczajna tykwa, jakie rosną u nas na polach. Nie nadają się do spożycia. Dawniej służyły do przechowywania wina i wody. Pomyślałem, że taka tykwa może też stać się instrumentem muzycznym. W wyciągnięty ryjek wstawiłem drewnianą rurkę z otworami, a z boku tykwy — ustnik. Okazało się, że to wspaniały instrument. Od mojego nazwiska nazwałem ją jorgafonem. Ta nazwa figuruje już w Encyklopedii Britannica.*

— W przeszłości wasza ludowa muzyka i wasze tańce były zakazane...

— *Nasz naród był chory, bo mu zabrano radość życia, którą jest śpiew i taniec. Opowiadał mi jeden z przewodniczących kołchozu, że teraz musi wyprowadzać niemal siłą ludzi na chore mare by tańczyli, bo takie jest polecenie Komitetu Rejonowego. A jeszcze nie tak dawno tenże przewodniczący na polecenie tegoż Komitetu zabraniał tańczenia tego naszego narodowego tańca. Zabraniał pod groźbą kary.*

MASKI GLEBA SAINCZUKA

O tym niezwykłym artyście dowiedziałem się na długo przed moim wyjazdem do Mołdawii. Moi informatorzy wyrażali się o nim z największym uznaniem.

Kiedy upał trochę zelżał i nad Kiszyniow nadciągnął wieczór, pojechaliśmy trolejbusem do pracowni Gleba Sainczuka. Na nasze spotkanie wyszedł siwawy, żywy niczym iskra, mężczyzna w dżinsach i brązowej koszuli.

— *Chwileczkę* — mówi. — *U mnie jest zasada: wszystko jedno kto skąd przybywa, musi mi narysować krowę. Inaczej nie będziemy rozmawiać.*

Rozdaje nam kartony i flamastry. Trochę zaskoczeni rysujemy coś zwierzopodobnego. Mnie najlepiej udały się rogi i ogon.

— *Brawo!* — woła Gleb Sainczuk. — *Jesteście wszyscy znakomici!*

Stawia na stole czerwone wino, nalewa.

— *Dlaczego krowa? Otóż, kiedy chodziłem do szkoły podstawowej, moja nauczycielka kazała nam narysować krowę. O mojej powiedziała, że jest najładniejsza, a ja jestem najzdolniejszy artysta w klasie. Innym dzieciom, oczywiście, powiedziała to samo. Chodziło o pobudzenie wiary we własne możliwości. Dlatego ja każdego zmuszam do rysowania krowy. Mam u siebie tych rysunków kilka tysięcy.*

Pijemy wspaniałe mołdawskie wino i rozmawiamy o sztuce. Gleb Sainczuk szybko szkicuje nasze portrety. Potem oddając nam te nasze konterfekty, na każdym z nich pisze, że zostaliśmy zwycięzcami konkursu na rysunek krowy.

Gleb Sainczuk należy do żywej legendy Mołdawii. Ma 68 lat, jest malarzem, portrecistą, karykaturzystą, a także twórcą niezwykłych masek — karykatur wykonanych z papieru-machć, które to maski zajmują całą wielką ścianę w jego pracowni. I właśnie te maski przyniosły mu międzynarodową sławę i popularność (wiele z nich znajduje się w zbiorach w Polsce, Czechosłowacji, Bułgarii, Japonii, Francji itp.). Ale same maski, choć wzbudzają zachwyt, to właściwie dopiero połowa estetycznych wrażeń. Gleb Sainczuk w swojej pracowni „robi" teatr.

Prosi aby nie przerywać biesiady, a sam chowa się za kotarę, uprzednio włączywszy adapter. I w takt muzyki zza kotary wychodzi nagle ktoś, kogo się zna, kogo się pamięta, kogo się niegdyś podziwiało. Największe wrażenie wywarła na mnie postać znanego także u nas aktora Eugeniusza Leonowa (pamiętacie film „Trzeci syn"?). Sainczuk — Leonow wyszedł w białym fartuchu, małej czapeczce, z butelką w ręku: Ach, co to było za przedstawienie!

Na dobrą sprawę cała rodzina Gleba Sainczuka, to znani w Mołdawii artyści malarze. Żona Walentyna Rysy-Czobanu, syn Like (ilustrował podręcznik dla przedszkolaków i elementarz), wnuczka Ilona — Tudora także próbuje swoich sił w malarstwie, choć najczęściej rysuje buszników, czyli swego dziadka Gleba.

Pracownia artystyczna Gleba Sainczuka stała się czymś w rodzaju muzeum, do którego koniecznie trzeba zajrzeć, jeśli się trafiło do Kiszyniowa. W księdze pamiątkowej są wpisy, których może pozazdrościć niejedna galeria malarstwa. Nie wspomnę o znanych pisarzach i poetach ZSRR, ale przytoczę wpisy dwóch znakomitych Francuzów: „Z uznaniem od pokonanej „ofiary" — Jean Paul Sartre, „Glebowi — memu przyjacielowi" — Marcel Marceau.

Gleb Sainczuk, kiedy pytałem go o powód, dla którego zajął się tworzeniem swoich masek, odpowiedział:

— *Robię to z miłości do ludzi, do ich twarzy. Przecież nie ma na świecie większej różnorodności, niźli ludzkie rysy. Tam nic się nie powtarza.*

Wychodzimy w gorącą mołdawską noc. Gleb Sainczuk dźwiga jakiś plecak, śpieszy się, niecierpliwi czekając na trolejbus.

— *Tyle mam dziś jeszcze roboty* — mówi. — *Nie gniewajcie się, ale pożegnam was. Bardzo się śpieszę.*

I tak się rozstajemy. ■

Po czeskiej stronie

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Foto: Tomasz Zarzycki

Najpierw było załatwianie rozmaitych formalności i długie oczekiwanie w sporawej kolejce po samochodowe ubezpieczenie „Warta", bez którego PZMot. nie wydałby mi jakże potrzebnych talonów na paliwo. Później czekała nas parogodzinna jazda ze znacznie ograniczoną prędkością, bowiem na trasie do Wrocławia kilometrami ciągnęły się odcinki szosy opatrzone tablicami „przebudowa drogi". Wreszcie przejazd przez nie kończące się ulice Wałbrzycha i już zmierzamy prosto do przejścia granicznego w Lubawce. Niestety, przed wyjazdem z Łodzi nikt nie był w stanie udzielić mi wiarygodnej informacji, czy przejście to jest czynne. Jadę więc na własne ryzyko, ale nadzieję na przekroczenie granicy z Czechosłowacją w tym właśnie miejscu podsycają dwa jadące z przeciwka wycieczkowe autokary „Czedoku".

Tego lata wiele słyszałem o samochodowych kolejkach na granicy polsko-czeskiej. Mówiło [illegible] „Lata z radiem", gdzie powracał jak bumerang temat handlu z upodobaniem uprawianego przez polskich turystów i zaostrzonej kontroli obydwu służb celnych. Tymczasem w Lubawce niespodzianka: na przejściu nie ma dosłownie nikogo. Odprawa trwa nie dłużej niż pięć minut i w tym czasie również nie nadjeżdża żadne auto z jednej czy drugiej strony. Na odjezdne czechosłowacka celniczka wręcza nam kartkę maszynopisu; na niej znajduje się lista towarów, których nie wolno wywozić z CSRS, a poniżej wyszczególniono te artykuły, które wymagają przy wywozie specjalnego zezwolenia. Nie wdając się w drobiazgowe statystyki można powiedzieć, że z kraju naszych południowych sąsiadów generalnie nie wolno wywozić niczego poza wódkami i winami wyprodukowanymi tamże. Co ciekawe zakaz obejmuje również znane poza granicami czeskie piwo. Przyjąwszy to wszystko do wiadomości wcisnąłem gaz i po paru sekundach znaleźliśmy się na szosie, ale już po czeskiej stronie. W kraju, w którym, jak się u nas utarło, mówi się bardzo śmiesznym językiem, choć — prawdę powiedziawszy — dla wielu obcokrajowców i polski język w brzmieniu wydaje się bardzo zabawny.

Skoro o języku mowa, to w dwa dni później weszliśmy do dużego delikatesowego sklepu z artykułami spożywczymi. Naprzeciw wejścia — duże stoisko z kolorowymi butelkami. Na półkach ustawione równiutko „Martini", „Cinzano", „Cora" i kilka innych gatunków vermouthu. Powyżej zaś napis: „lihoviny". Obok mnie zatrzymuje się zażywny rodak, a zorientowawszy się, że także jestem Polakiem, mówi nie bez zdenerwowania: „Patrz pan, chyba żeby nas wkurzyć tak napisali. To są liche wina? Niech spróbują naszego jabola". Dla mniej wtajemniczonych w arkana języka czeskiego informacja: „Lih" to spirytus, a „lihoviny" to po prostu napoje alkoholowe.

Sklepy w Czechosłowacji zaopatrzone są dobrze nie tylko w alkohol. Asortyment na półkach spożywczych „samów" wzbudza niejednokrotnie zazdrość u turysty z Polski, szczególnie jeśli chodzi o mięso i jego przetwory, garmaż, wędliny. (Choć i tu przytoczyć mogę językowy „kwiatek": oto w jednym ze sklepów dostrzegłem kiełbasę znacznie grubszą od naszej zwyczajnej z dumną etykietką... „kabanos".). Ale tak jest nie wyłącznie w odniesieniu do żywności — w luksusowych domach handlowych Hradec Kralove czy Pardubic właściwie każde stoisko potrafi wzbudzić zainteresowanie przybysza z Łodzi, Warszawy lub Poznania. Ceny natomiast są wysokie, nawet przeliczając po czarnorynkowym kursie czeską koronę kupowanie czegokolwiek zwyczajnie się nie opłaca. Chyba, że wwozi się coś „na handel", a przecież „Polak potrafi"...

Z geografii i historii wiemy, że federacyjna republika naszych południowych sąsiadów obejmuje w zasadzie trzy obszary etniczne: Czechy, Słowację i Morawy. Jednak w szerokim świecie Czechosłowację utożsamia się przede wszystkim z jej stolicą — Pragą. Stary gród legendarnej księżniczki Libuszy jest wizytówką całego państwa i jak magnes przyciąga turystów z różnych stron świata. Sezon turystyczny trwa w Pradze przez okrągły rok, ale szczyt tego sezonu to oczywiście miesiące letnie. Głównym deptakiem miasta — Vaclavskim Namesti — przelewa się barwny wielojęzyczny tłum. Przybysze podziwiają zabytki Starego i Nowego Miasta, oglądają nowoczesne budowle wkomponowane umiejętnie obok tradycyjnych kamienic, chwalą dbałość Czechów o wygląd ich stolicy, a gdy trzeba — szybko przenoszą się w inny rejon miasta funkcjonalnym metrem, o które jak dotąd trudno nawet w Warszawie. Kiedy spacerujemy przyglądając się charakterystycznym domkom przy słynnej Złotej Uliczce, przewodnicy oprowadzają właśnie dwie wycieczki: z Włoch i Republiki Federalnej Niemiec. Czasem mówi się, że zamek królewski na Hradczanach to taki czeski Wawel, tylko trochę większy. Istotnie, ale za to jeśli porównamy rzeki, nad którymi te dwa zamki wzniesiono — przy naszej Wiśle Wełtawa okaże się rzeczką raczej niewielką.

Jak wiadomo, Czechosłowacja nie posiada bezpośredniego dostępu do morza, ale warto powiedzieć, iż rzeki płynące przez jej terytorium mają swoje zlewiska aż w trzech morzach: Bałtyckim, Czarnym i Północnym. Nie wszyscy pamiętają o tym, że właśnie stąd bierze swój początek tak ważna rzeka, jak Łaba, do której zresztą wpada i Wełtawa, a część południowej granicy CSRS wyznacza bieg Dunaju, nie mówiąc już o mieszczących się tu źródłach naszej Odry.

Dla lubiących dużo i dobrze zjeść, do których i ja się zaliczam, wizyta u Czechów jest bardzo wskazana. Nie chodzi już o przysłowiowe czeskie knedliczki i zimne piwo na każde życzenie, ale o smakowitość i wielkość porcji mięsa oraz sposób jego przyrządzania. W restauracji hotelu, w którym mieszkaliśmy serwowano takie dania mięsne, że spod kotleta niemal nie było widać talerza. Poza tym przygotowywano mięso bardzo rozmaicie — karta dań mięsnych liczyła kilkanaście pozycji. Zresztą próbowaliśmy również kuchni w innych lokalach gastronomicznych i też było pysznie.

Przejechałem na terenie Czechosłowacji samochodem blisko tysiąc kilometrów i jako kierowcy nasunęło mi się kilka spostrzeżeń. Przede wszystkim drogi są bardzo dobrze oznakowane, jeśli uważnie obserwuje się tablice trudno zbłądzić. Na palcach jednej ręki mógłbym wyliczyć sytuacje, w których miałem niejakie wątpliwości. Ponadto Czesi nie marnują — jak to u nas we zwyczaju — blachy na nadmiernie gęsto ustawiane znaki ograniczenia prędkości. Liczby w czerwonych kółkach mówią realnie o tym, jaka szybkość będzie bezpieczna — jeżeli jest to czterdzieści kilometrów na godzinę to (choć takiej jazdy nie lubię) muszę się do niej dostosować, bo mogę — na przykład — za chwilę nie zmieścić się w zakręcie, a wtedy i pasy bezpieczeństwa nie zawsze pomogą. W Czechosłowacji zresztą w pasach jeździ się także w ruchu miejskim.

Wracając do Polski wybieram inną trasę, by uniknąć remontowanych szos i granicę zamierzamy przekroczyć na przejściu Kudowa Słone. Jest popołudnie, tym razem spory ruch. Na odprawę czeka kilka samochodów, w tym trzy auta jadące przez Czechosłowację tranzytem. Jeden fiat combi niemal dotyka rurą wydechową asfaltu tak jest załadowany. Są też piesi turyści z plecakami. Bezpośrednio przed nami stoi renault z Hiszpanii. W rezultacie czekamy na odprawę około godziny, po czym celnik, zorientowawszy się skąd wracamy, każe nam przejeżdżać na polską stronę o nic nie pytając.

W drodze do Łodzi zatrzymujemy się na spóźniony obiad w Opolu. Zamawiamy wątróbkę, a gdy kelnerka stawia przed nami talerze widzimy, że oprócz ziemniaków i surówki są tam również małe kawałki mięsa. Nie ma co — rozpuścili nas Czesi tymi obiadkami, ale czas wracać do domu. ■

Z rynku

SYPNĘŁO JUBILEUSZAMI! Niedawno 15-lecie swej działalności obchodził Central, a teraz — dwie kolejne, wielkie i znaczące dla Łodzi placówki handlowe (a w drugim przypadku nawet dla całej Polski) świętują okrągłe rocznice.

XX-LATEK BYŁ PIERWSZY! Chodzi oczywiście o UNIWERSAL — pierwszy w naszym mieście tak duży — i jak na owe czasy bardzo nowoczesny dom towarowy, usytuowany przy placu Niepodległości. Decyzja o jego budowie zapadła w 1959 r., w połowie 1962 rozpoczęto prace, a w 1967 (a więc dość szybko, zważywszy wielkość obiektu i nowatorskie, zastosowane tu rozwiązania) dokładnie 30 września, Uniwersal przyjął pierwszych klientów. NA POWIERZCHNI 6,5 tys. m kwadratowych zgromadzono tu towary najrozmaitszych branż — od drobnych i większych artykułów wyposażenia mieszkań poprzez odzież, obuwie, tkaniny aż po akcesoria samochodowe. Na klientów czekało 680 doskonale przygotowanych do pracy, uprzejmych i kompetentnych sprzedawców. Nic więc dziwnego, że od pierwszych dni po otwarciu w Uniwersalu panował tłok — tak zresztą dzieje się do tej pory, choć obecnie ma już Uniwersal dużą konkurencję innych, wielkich domów towarowych, bardziej nowoczesnych i lepiej, bliżej centrum miasta usytuowanych.

Od początku działalności pierwszoplanowym zadaniem, jakie postawiło przed sobą kierownictwo placówki była troska o dobrą sprzedaż: dobrą — a więc nie tylko ściąganie towarów z różnych źródeł, bogaty ich asortyment, ale także umiejętne i estetyczne jego zaprezentowanie, takie rozwiązania sal sprzedażowych, aby wszyscy mieli swobodny dostęp do towarów, a przy kasach nie tworzyły się kolejki. Trzeba przyznać, że realizacja tych celów udawała się.

RÓŻNE KOLEJE ORGANIZACYJNE przechodził Uniwersal w ciągu swego istnienia — najpierw był placówką samodzielną, potem — stał się zakładem Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Domy Towarowe Powszechne w Łodzi, aż w końcu, w 1975 r. wszedł w skład ogólnopolskiej firmy Domy Towarowe Centrum — a wraz z tym na salach sprzedażowych pojawiło się niebieskie, stylizowane słońce — znak firmowy „Centrum". Nie zatracił jednak swego własnego, indywidualnego charakteru, zarówno jeśli chodzi o wystrój, jak i szeroko rozumiany sposób podejścia do klientów.

OBECNIE, mimo sędziwego wieku, który tu i ówdzie widać (np. nieczynne ruchome schody) Uniwersal nadal, jeśli chodzi o aktywność handlową, pozostaje firmą młodą i prężną. W jubileuszowym roku każdy ze 410 pracowników sprzeda klientom towar za 18 mln zł — razem 7,4 mld. Wśród nich — szczególnie wiele atrakcji zarówno z coraz szerzej rozwijanych wymian z krajami demokracji ludowej i zachodnimi, z „normalnego" importu, wprost od czołowych producentów krajowych, wytwarzających często towary na specjalne zamówienie i wyłączność tej właśnie placówki. W sumie — oferta bogata i nieco inna niż w pozostałych łódzkich handlowych gigantach.

Drugim Jubilatem — XXV-letnim jest należący również do firmy Centrum **DOM SPRZEDAŻY WYSYŁKOWEJ,** znany w całym kraju, a zwłaszcza w małych miasteczkach, wsiach, wszędzie tam, gdzie zarówno sieć handlowa jak i jej zaopatrzenie pozostawiają wiele do życzenia.

DSW powstał ćwierć wieku temu jako eksperyment handlowy, wzorowany na dużych firmach zachodnich, które z korzyścią zarówno dla siebie jak i klientów od wielu już lat stosowały tę formę sprzedaży. Eksperyment się udał — miał więc powstać nowoczesny obiekt, w pełni zmechanizowany wewnętrznie, przystosowany do sprawnego wysyłania tysięcy paczek rocznie. Niestety pozostał w sferze projektów. Do chwili obecnej DSW mieści się w za ciasnych, przestarzałych pomieszczeniach — a obsługuje coraz więcej klientów. Nawet w okresie największego kryzysu działalność nie została przerwana.

CO DRUGI STATYSTYCZNY MIESZKANIEC POLSKI dostał w ciągu tych dwudziestu pięciu lat paczkę z DSW, a w niej artykuły z branży odzieżowej i dziewiarskiej, obuwniczej, sportowej, galanteryjnej, gospodarstwa domowego itp.

ŁĄCZNIE 1200 artykułów w 3600 asortymentach oferuje swoim klientom — za pośrednictwem poczty — ta jedyna tego rodzaju placówka handlowa w Polsce. Wśród nich — również towary, które niesłychanie trudno kupić w zwykłych sklepach. np. odkurzacze czy bezwładnościowe pasy bezpieczeństwa.

KATALOGI WYDAWANE DWA RAZY w roku obejmują aktualną ofertę — obejrzeć je można w większości urzędów pocztowych, można również zaprenumerować, co czyni wielu stałych już klientów.

Zainteresowanie tą formą sprzedaży rośnie — ale dalszy rozwój jest już praktycznie niemożliwy. Wszystkie proste rezerwy, zmiany organizacyjne itp. zostały wyczerpane. Jedynie nowa inwestycja umożliwiłaby zwiększenie oferty i ilości wysyłanych paczek. Na razie jednak nic nie wskazuje na to, aby jubilat miał w najbliższych latach rozwinąć się — ani też aby zyskał konkurenta w innym mieście.

AGATA

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 56-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

8 października — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godz. 10—16,

15 października — BOGDA MADEJ — godz. 10—16.

Jesień chłodna, w mieszkaniach słychać szczękanie zębami, a tu jeszcze zapowiadają srogą zimę. Nic więc dziwnego, że ludzi gnębią głównie problemy dachu nad głową.

I tak pan **BUJAKOWSKI** z ul. Wschodniej 44 m. 16 donosi, iż lokatorzy od piętnastu lat walczą o komórki, a póki co węgiel przechowują na klatkach schodowych. U Bujakowskiego taka wilgoć, że materace się rozłażą, a czteroletnie dziecko co rusz choruje. Pani doktor twierdzi, że jeśli dziecko nie wyjdzie z tej piwnicznej izby, to dostanie krzywicy. A tymczasem ROM nr 4 z ul. Jaracza zapewnia, że przeprowadzi remont, ale za trzy lata.

Z kolei mieszkanka bloku nr 5 przy ul. Chóralnej 18 ubolewa nad niefrasobliwością administracji, która doprowadziła do tego, że rozpadł się wzorowo działający komitet domowy. Przewodniczący, **LUDOMIR TRZEBIŃSKI,** inwalida wojenny bez nogi, założył ogródek przed blokiem, ogrodził, uratował parę drzewek owocowych, posadził modrzewie, kwiaty, krzewy i często wyręczał w pracy gospodarza domu. Ale, że strofował dzieci depczące i łamiące roślinność, uznano, że źle oddziałuje wychowawczo na młode pokolenie, w nagrodę zaś jacyś złośliwcy obrzucili go kamieniami. Administracja uznała, że gospodarz domu pracuje dobrze, tymczasem rzadko można go zastać w mieszkaniu, toteż nic dla lokatorów nie załatwia. No i teraz wokół bloku zrobiło się dziko, a na klatkach schodowych brudno. Idzie zima, rury pordzewiałe, wszędzie nieszczelności, brak okienek w piwnicach. Komitetu blokowego już nie ma i dozorcy też jakby nie było.

Tymczasem **PAN CYBULSKI** z ul. Kniaziewicza oświadcza, że przez radiowęzeł w jego fabryce podano komunikat, iż członkowie ZSMP z pięcioletnim stażem członkowskim w spółdzielni mieszkaniowej mają prawo zrzeszać się w spółdzielni mieszkaniowej młodzieżowej, sami budować, i w ten sposób uzyskać poza kolejnością mieszkania za jakieś trzy lata. Pan Cybulski czeka na mieszkanie spółdzielcze 14 lat, zapytuje więc czy to jest sprawiedliwe i czy nie ma tu jakiegoś uprzywilejowania ze względów politycznych. No cóż, wydaje się, że zaczynają działać prawa reformy. Kto się lepiej zorganizuje i załatwi sobie materiały budowlane i działki, ten lepszy i pierwszy. Tylko, że kiedy w dobie deficytu materiałów budowlanych ci lepsi szybciej je wykorzystają, to dla gorszych i słabo zorganizowanych zabraknie ich i oni będą jeszcze dłużej czekać na mieszkania.

Jednakże najbardziej smutna historia z „łączki mieszkaniowej" dotyczy **WACŁAWA CHMIELEWSKIEGO,** zam. w Zgierzu przy ul. 1 Maja 67, m. 2. Człowiek ten twierdzi, że mieszka tam od 1949 roku i na stare lata próbuje się go eksmitować, według niego niesłusznie, ciągając go na dodatek po sądach. Był nawet ofiarą napadu i włamania. Wacław Chmielewski jest inwalidą I grupy, niedawno wyszedł ze szpitala po drugim zawale i w każdej chwili grozi mu śmierć. Kto mu pomoże?

A jeśli jesteśmy już przy sprawach smutnych, to przytoczmy przypadek życiowy dotyczący **72-LETNIEJ EMERYTKI,** odznaczonej Krzyżem Kawalerskim i Honorową Odznaką m. Łodzi. Kobieta ta chciała odnowić poprzez wykupienie grób swojej matki. Kierownik cmentarza na Zarzewie oświadczył, że można to załatwić, jeśli nasza Czytelniczka wytnie rosnące na grobie stare, wielkie drzewo. Czytelniczka pyta więc, czy wpierw uzyskać zezwolenie na wyrąb, czy od razu pójść na cmentarz z siekierą?

Nie wydaje się nam, iżby 70-letnie emerytki były tak krzepkie, by mogły się podjąć roboty drwala. A gdyby nawet, to czy pan kierownik zapłaci olbrzymią karę za wycięcie starego drzewa?

Ze spraw lżejszych warto odnotować telefon **PANI SOBCZYK** z Piotrkowa, która dzwoniła z cudzego aparatu, ponieważ jej telefon od czerwca działa z przerwami po kilka godzin dziennie, a rachunki płyną, i to coraz większe. Automaty uliczne też są zepsute. Gdy p. Sobczyk interweniowała także w tej sprawie, polecono jej podać numery tych automatów.

Wojewódzki Urząd Telekomunikacji w Piotrkowie ma wesołych, ale kiepskich fachowców.

Natomiast p. **ANNĘ KAŹMIERCZAK** z al. Politechniki zaniepokoiło oberwanie się balkonu na ul. Skrzywana. Proponuje ona powołanie komisji, która zbadałaby stan balkonów, szczególnie w Śródmieściu, gdzie balkony wiszą nad chodnikami i o wypadek nietrudno.

W związku z inauguracją roku akademickiego **PANIĄ AUGUSTYNIAK** naszła refleksja, czy nie warto by się zainteresować absolwentami wyższych uczelni, odznaczonymi za chlubne studia. Ludzie ci powinni być zauważani i otrzymywać lepszą pracę, ale nie zawsze ich życie usłane bywa różami, bo zakłady pracy specjalnie się nimi nie interesują.

Dziękujemy. To jest także temat dla dziennikarza.

RYSZARD BINKOWSKI

Pisarze z Iwanowa

W ramach „Dni Iwanowa w Łodzi" trwających od 29 września do 3 października br. przebywała w naszym mieście grupa pisarzy z prezesem Związku Pisarzy Radzieckich w Iwanowie **Witalijem Sierdiukiem.** W skład grupy wchodzili: **Władimir Żukow, Anatolij Iljiczew, Wasyl Kocznow i Bella Wendler.** Niektórzy z nich znaleźli się po raz pierwszy w naszym kraju, inni byli tu już kilkakrotnie, a Wasyl Kocznow spędził w Łodzi ponad dwadzieścia lat.

Wizyta miała nie tylko oficjalny charakter wynikający ze wspomnianych „Dni". Wasyl Kocznow i Bella Wendler przybyli, aby zebrać teksty od swoich polskich kolegów — pisarzy do przygotowywanej w Iwanowie antologii prezentującej łódzkie środowisko literackie. Godzi się w tym miejscu przypomnieć, iż związki — te oficjalne, a także te bardzo osobiste i często serdeczne — łączą ludzi pióra obu miast od kilku dziesięcioleci, co zostało udokumentowane wieloma przekładami tekstów pisarzy łódzkich w Iwanowie oraz tekstów pisarzy iwanowskich w Łodzi. Tygodnik „Odgłosy" od lat patronuje tym kontaktom udostępniając swoje łamy autorom znad górnej Wołgi.

Łodzianie — mam na myśli przedstawicieli świata literatury i kultury — witając przybyłych pisarzy, wręczyli im świeżo wydany przez Krajową Agencję Wydawniczą w Łodzi wybór opowiadań pt. „Opowieści Złotego Pierścienia", który nosi podtytuł „Antologia opowiadań pisarzy Iwanowa", a który to wybór przygotował i wstęp po polsku do niego napisał mieszkający w Iwanowie Wasyl Kocznow, gorący propagator i rzecznik polskiej literatury w ZSRR.

Teraz Wasyl Kocznow i młoda tłumaczka z języka polskiego Bella Wendler niejako w „rewanżu" przygotowują podobny zbiór dla wydawcy rosyjskiego, w którym znajdą się powieści, opowiadania i wiersze pisarzy znad Łódki.

W czasie tygodniowego pobytu w naszym mieście goście z Iwanowa mieli okazję obejrzeć teatralne przedstawienia, spotkać się z kolegami po piórze z łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich, odbyć spotkania z wydawcami i czytelnikami.

EUG. IW.

TOWARZYSTWO KRZEWIENIA KULTURY FIZYCZNEJ

OGNISKO „JEDNOŚĆ"

organizuje kursy

Karate

TAEKWON — DO

DO — TSUNAMI

Zapisy przyjmuje sekretariat, Łódź, ul. Rzgowska 2a tel. 34-93-47. Codziennie prócz sobót w godzinach 9.00—16.00

2344/k

NAJWYŻSZE WYGRANE

TOTALIZATOR SPORTOWY

DLA ŁODZIAN I MIESZKAŃCÓW REGIONU W TOTALIZATORZE SPORTOWYMI

26 sierpnia 1987 r.	1 x	11.013.931,— zł
oraz:	5 x po	205.147,— zł
5 sierpnia 1987 r.	2 x po	1.151.020,— zł
29 lipca 1987 r.	2 x po	3.734.339,— zł
22 lipca 1987 r.	1 x	2.338.187,— zł
11 lipca 1987 r.	1 x	5.317.097,— zł

SUPERLOTEK — SUPERGRA

przynosi superwygrane

Co tydzień rozrywka, przyjemność i bardzo wysokie wygrane!!!

2314/k

UWAGA kandydaci na wyższe uczelnie!

Wojewódzki Uniwersytet Robotniczy ZSMP w Łodzi organizuje kursy przygotowawcze do egzaminów wstępnych na: Politechnikę, Uniwersytet, Akademię Medyczną

Informacja i zapisy w Sekretariacie WUR ZSMP w Łodzi, ul. Piotrkowska 232, I piętro, w godz. 9—15 (informacja do 18) oprócz sobót — telefon: 36-14-54.

2114 k

Znakomity pomysł miało „Lato z radiem", że postanowiło nadawać fragmenty „Ogniem i mieczem" Henryka Sienkiewicza, a po nim przejęły to „Cztery pory roku". Pewnie, że każdy mógłby wziąć sobie książkę i poczytać, ale to nie byłoby to samo. Piotr Fronczewski przepięknie gra przed mikrofonem a to Onufrego Zagłobę, a to Michała Wołodyjowskiego, a to Bohuna, a to samego Chmielnickiego, a to Rzędziana, a to Longinusa Podbipiętę czy Jana Skrzetuskiego. Słucham tego — jak mi tylko czas pozwala — z ogromną przyjemnością. Słucham choć wiem, że nie wszystko tak pięknie było, jak to nam Henryk Sienkiewicz opisał. Ale już M. Kosmen w książce „Na tropach bohaterów Trylogii" wszystko przedstawił, jak było naprawdę, a jak to przedstawione zostało w „Ogniem i mieczem" i dlaczego. W końcu powieść historyczno-przygodowa to nie traktat historyczny i autor może sobie trochę pofantazjować. Byle nie za dużo.

Onufry Zagłoba — gawędziarz tchórzem podszyty, ale o złotym sercu, który potrafi się zdobyć i na czyny bohaterskie, ale najbardziej lubi walczyć przy pomocy forteli — wymyślał Kozakom i chłopom ukraińskim od *„czerni"*, chamstwa i czego tam jeszcze nie wymyślił, że mu ciągle grożą niebezpieczeństwem i śmiercią. Dziś nam się może wydawać, że słowo *„czerń"* miało wówczas negatywne i wręcz obraźliwe zabarwienie. Tymczasem na Siczy było to pojęcie równoznaczne pospólstwu.

Sicz Zaporoska — to było nie tylko miejsce, gdzie przebywali Kozacy Zaporoscy, gdzie nie było kobiet, ale również określenie pewnej formy organizacji wojskowo-społecznej. Sicz znajdowała się za porohami na Dnieprze, stąd Zaporoska. Budowana była na wyspach dnieprzańskich, w miejscach niedostępnych, a zatem łatwych do obrony. Słowo: *„sicz"* oznacza po prostu *„zasiekę"* — umocnienie zbudowane z drzewa. Sicz była organizacją ludzi wolnych, przebywających na Dzikich Polach, walczących przede wszystkim z Turkami i Tatarami, ale też i z Polakami, Mołdawianami i Rosjanami. Na Dzikie Pola uciekali ludzie z różnych powodów, przed pańszczyzną przede wszystkim, ale i w poszukiwaniu przygody. Wśród Kozaków byli nie tylko Ukraińcy, ale też Polacy, Litwini, Rosjanie, Białorusini, Niemcy, Tatarzy, Węgrzy, Hiszpanie, Żydzi, Włosi, Gruzini, Ormianie. Historycy naliczyli 22 narodowości.

Dawno, dawno temu na Dzikich Polach...

„Ukraina jest to ziemia obiecana — pisał w XVI wieku nie bez przesady francuski podróżnik Błażej de Vigenere — *którą Pan Bóg obiecał narodowi żydowskiemu. Płynie ona mlekiem i miodem. Kto raz tylko pobujał na Ukrainie, ten już nie może rozłączyć się z nią, bo ona przyciąga każdego człowieka jak magnes żelazo. Ukraińskie niebo śmieje się i wabi człowieka do siebie. Wszędzie rosną drzewa owocowe i winorośl. W starych dębach i bukach roje pszczół i trzmieli. Zwierzyny w lasach i polach tak dużo, że żubry, dzikie konie i jelenie zabija się tylko dla skóry. Dzikie kozy zabija się tysiącami, na rzekach bardzo dużo gniazd bobrowych. Ptactwa jest tyle, że wiosną chłopcy napełniają całe czółna jajami dzikich kaczek, gęsi, żurawi i łabędzi. Psy karmią mięsem i rybą. Na Podolu wystarczy zaorać jeden raz i zasiać ziarno, urodzi się dwa razy. W jednym roku mogą być dwa albo trzy zbiory"*.

Brzmi to jak baśń z tysiąca i jednej nocy, ale historycy utrzymują, że choć jest w tym sporo przesady, to jest to bliskie prawdy. To bogactwo Ukrainy stało się przyczyną jej tragedii. Najpierw polscy magnaci i spolszczeni ruscy kniaziowie a później carska Rosja usiłowali sobie — i po wielu walkach im się to udało — podporządkować wolnych Kozaków, przekształcając ich w pańszczyźnianych chłopów.

Wróćmy jednak na Sicz w okresie jej świetności. W samej Siczy mieszkało około 3 tysięcy Kozaków. Kozacy mieszkali też w grodach i zwano ich grodowymi. Kozacy mieszkali na Niżu dnieprowym i zwano ich niżowymi. Byli też Kozacy rejestrowi — zapisani w rejestrach ustanowionych przez króla polskiego i opłacani przez niego, zobowiązani do służenia z bronią przy wojskach polskich. Byli Kozacy dworscy — na służbie u magnatów. W wojsku chorągwie kozackie oznaczały rodzaj lekkiej jazdy. Byli Kozacy dońscy, kubańscy, syberyjscy, uralscy. W późniejszych czasach służyli też Kozacy w wojsku tureckim, ale przeciw Rosji nigdy nie chcieli wystąpić.

Kozak Zaporoski lub Siczowy *golił* głowę pozostawiając sobie tylko czub — *„oseledec"*, nosił długie wąsy i doskonalił się w sztuce wojennej. Kozacy Zaporoscy byli niebywale odważni i dobrze wyszkoleni. Bali ich się Turcy, Tatarzy i... Polacy. Czajki kozackie wpływające na Morze Czarne i na Morze Azowskie siały spustoszenie we flocie tureckiej i w nadbrzeżnych osiedlach. Turcy panicznie bali się Kozaków i skarżyli się na ich rozboje królom polskim, domagając się od nich poskromienia Kozaków.

Wielu Kozaków mieszkało w zimownikach, gdzie też przebywały ich rodziny. Zajmowali się łowieniem ryb, zbierali miód, solili mięso, uprawiali ziemię, siali i sadzili dynie, rzepę, kapustę, buraki, groch, cebulę i pszenicę. Hodowali bydło. Wiele sprzedawali. Byli bogaci. Wyprawy na Turków czy Tatarów przynosiły im obfite i bogate łupy. Zajmowali się rzemiosłem i handlem.

Na Sicz zjeżdżali się na Boże Narodzenie, gdzie do Nowego Roku odbywała się agitacja — dziś powiedzielibyśmy: walka przedwyborcza — za wyborem nowego hetmana. Agitatorzy nie szczędzili wódki. Piło bractwo dniami i nocami. W Nowy Rok odbywał się wybór hetmana, który później — szczególnie w czasie wypraw wojennych — miał władzę absolutną. Najpierw wypowiadała się *„czerń"*, później starszyzna. Głosowanie na majdanie odbywało się przez okrzyki i rzucanie czapek do góry. Gdy głosy były podzielone i trudno było dojść, kto ma rację i większość w ruch szły kułaki, a później i szable.

Wielu Kozaków było wykształconych, umiało pisać i czytać, znali też obce języki. Wiele było też wśród Kozaków szlachty. Pierwszymi ich organizatorami byli szlachcice. Organizację Kozactwa zapoczątkował w latach 1515—1535 starosta czerkaski Ostafi Daszkowicz.

Wielkim organizatorem Kozaczyzny był — historia lubi paradoksy — Dymitr Wiśniowiecki — magnat wołyński (zginął z rąk tureckich w 1563 roku), który majątek swój porzucił dla żądzy przygód. A paradoks polega na tym, że był on przodkiem Jeremy Wiśniowieckiego, pogromcy powstań ukraińskich i Korybuta Michała Wiśniowieckiego, króla polskiego a syna Jeremy. Dymitr Wiśniowiecki na Małej Chortycy — wyspie na Dnieprze — w 1553 roku wybudował Sicz Zaporoską — pierwszą stałą fortyfikację kozacką.

Akcja „Ogniem i mieczem" Henryka Sienkiewicza dzieje się już w innej epoce. Jest to połowa XVII wieku. Zwycięstwa Bohdana Chmielnickiego pod Żółtymi Wodami, Korsuniem i Piławcami miały miejsce w 1648 roku, oblężenie Zbaraża i bitwa pod Zborowem w 1649 roku.

Połączenie Ukrainy z Rosją nastąpiło w 1654 roku. Ale to już inna historia.

Wszystkich, którzy interesują się dziejami Kozaczyzny, odsyłam do książeczki Leszka Podhorodeckiego „Sicz Zaporoska". Ukazała się też historia Ukrainy do połowy XVIII wieku. Polecam.

WITOLD BOROWY

1 Pod prąd

Bądź panem swego wypoczynku

Ciągle tylko o tej pracy i pracy — w przemówieniach, gazetach, w radiu, telewizji... Za mało pracujemy! Pracujemy źle i niewydajnie! Powinniśmy lepiej wykorzystywać czas pracy! Praca podstawowym prawem i obowiązkiem każdego obywatela. Bez pracy nie ma kołaczy...

Przyznam szczerze, że mam już tego powyżej uszu i dlatego postanowiłem napisać dziś felieton o wypoczynku. No bo dlaczego by nie? Czy wypoczynek to zły temat? Moim zdaniem, stanowczo za mało się u nas o nim mówi i pisze.

Spójrzmy w przeszłość: im więcej, im częściej, im natarczywiej zajmowaliśmy się publicznie problematyką pracy, tym gorzej i mniej jako społeczeństwo pracowaliśmy, aż w końcu zamiast obiecanego i oczekiwanego dobrobytu dopracowaliśmy się głębokiego kryzysu oraz takich długów na Wschodzie i na Zachodzie, że jeszcze nasze wnuki będą je pewno spłacać. Może więc jeśli teraz baczniejszą uwagę poświęcać będziemy w środkach masowego przekazu problematyce wypoczynku, nasza praca stanie się — w myśl tej samej zasady — bardziej efektywna? Myślę sobie nieraz, że jest to jakaś szansa i powinniśmy choćby spróbować z niej skorzystać.

Na imieninach u cioci Anieli od dawna już na przykład obowiązuje niepisane prawo, że o pracy nie wspomina się przy stole ani słowem. Nie byłoby to comme il faut — twierdzi ciocia. Za to o wypoczynku — ile tylko dusza zapragnie. I co ciekawe, zawsze jest o czym opowiadać.

Podczas ostatniego spotkania rodzinnego chociażby Róża, moja bratanica, wyczerpująco zrelacjonowała nam, w jaki sposób spędza swój wolny czas, jak regeneruje siły. Otóż zaraz po wyjściu z biura robi codziennie niezbędne zakupy, co zajmuje jej średnio godzinę dziennie. Potem kończy gotować obiad, który rozpoczęła już poprzedniego dnia późnym wieczorem. Po obiedzie sprząta, prasuje, naprawia odzież, szyje, zmywa i na zmianę z mężem pomaga dzieciom odrabiać lekcje. Tak mija jej czas do kolacji, po zjedzeniu której robi jeszcze małą przepierkę i zaczyna przygotowywać obiad na dzień następny, nie różniący się w zasadzie niczym od poprzedniego.

Jak widać, jest to wypoczynek czynny i urozmaicony, pozwalający człowiekowi utrzymać dobrą kondycję fizyczną i psychiczną, co ma przecież niebagatelne znaczenie dla zdrowia oraz jakości pracy zawodowej. Podobnie zresztą odpoczywa Franuś, mąż Róży, który dla relaksu dokonuje w domu wszystkich napraw i remontów, zmywa naczynia, również robi zakupy, a ponadto podnosi jeszcze swoje kwalifikacje zawodowe, dzięki różnym chałturom. I tak jest zapamiętały w tym wypoczywaniu, iż rzadko kiedy kładzie się spać przed północą, więc rano wstaje o tej pół do szóstej z nowymi siłami.

Weekendy Róża urozmaica sobie praniem, większymi porządkami, robieniem przetworów na zimę, tudzież odwiedzinami u schorowanej matki-staruszki, Franuś zaś — myciem okien, leżeniem godzinami pod dziesięcioletnią syrenką, a także spacerami i rodzinnymi wyjazdami na zieloną trawkę w niedzielę o ile sobotnie leżenie pod syrenką było odpowiednio długie i owocne.

Na wczasy od paru lat nie jeżdżą. Mówią, że im się to nie podoba, gdyż można zanudzić się tam na śmierć. Wynajmują za to na miesiąc tzw. letnisko gdzieś w pobliżu Łodzi i... gotują, robią przepierki, zbierają grzyby, bawią się z dziećmi... Wszystko sami, z własnej woli, za własne pieniądze. Będzie co wspominać na starość!

Książek na ogół nie czytają, bo wzrok się od tego psuje. Do kawiarni nie chodzą, bo — salmonella. W teatrze z kolei rozum się mąci. A w kinach repertuar, że tylko płakać. Parę lat temu, gdy oboje byli młodzi i niedojrzali, to owszem, gdzieś wyskoczyli w tygodniu, zimą wybrali się w góry, latem nad morze. Teraz zrozumieli, że najlepiej wypoczywa się we własnym domu i — ewentualnie — w kolejce po mięso. Poza tym ile można dzięki temu higienicznemu trybowi życia zaoszczędzić. Róża pokazywała nam książeczkę oszczędnościową z wkładem stu kilkudziesięciu tysięcy złotych... To na nowy samochód — powiedziała z dumą — jeśli ceny nie pójdą w górę, a zarobki w dół, to kupią już za jakieś dziesięć lat.

Wydaje mi się, że wszyscy powinniśmy uczyć się racjonalnego wypoczynku, gdyż wiadomo od dawna, że tylko człowiek naprawdę wypoczęty jest w stanie dać z siebie wszystko w pracy — dobrze zorganizowanej i przynoszącej zadowolenie — nie obija się, jest twórczy i milszy w stosunku do współpracowników. A o to przecież właśnie wszystkim nam chyba chodzi.

Model, jakiego w ciągu ostatnich paru lat dopracowali się Róża i Franuś, a także tysiące innych polskich rodzin dobrze rokuje na przyszłość i daje niemal pewność, iż z naszego życia zniknie wreszcie bylejakość, znużenie, szarość, poczucie bezsensu i bezcelowości. I ten model wypoczynku — niezbędnego w dobrze pojętym interesie jednostki oraz całego społeczeństwa — trzeba nam dziś popularyzować.

JÓZEF RETMAN

2 Lewym okiem

Jagódka kościotrupka

Mamy już kawę bez kofeiny, papierosy bez nikotyny, mamy też czekoladę bez kakao. Tylko tę ostatnią nazywamy uczciwie masą czekoladopodobną. Myślę, że analogicznie należałoby mówić o napoju kawopodobnym i mieszance papierosowej tytoniopodobnej. Proceder jest zresztą szerszy i na dobrą sprawę można by już od dawna mówić na przykład o masie masłopodobnej, glince pasztetopodobnej i winach krajowych nie podobnych do niczego.

Ostatnio, przed paroma dniami, prasa podała wiadomość o próbach hodowania maku pozbawionego morfiny. Chodzi o to, żeby narkomani nie mogli truć się wywarem ze słomy makowej zawierającej morfinę. Ponieważ jednak środek ten potrzebny jest nie tylko narkomanom, lecz także — w szerokim zakresie — ma zastosowanie w medycynie, przeto morfina byłaby produkowana, w tym względzie czynione są też próby, na drodze syntezy. Tak więc nie kijem go to pałką. Zniknie morfina z maku, pojawi się w laboratoriach, będzie trudniej i drożej. Podobno za worek słomy makowej, zawierający 4 do 5 kilogramów płacą narkomani do 20.000 złotych. Ciekawe ile by płacili za ampułkę gotowego narkotyku?

A może przerzucą się na inne środki halucynogenne? W naszych lasach i na łąkach spotyką się wiele roślin zawierających składniki, po których dostaje się lekkiego kręćka w mózgownicy. Niektóre grożą też ciężkim kalectwem a nawet śmiercią. Jak nie obrzydłek wymiotny to trutka śmierdolistna, jak nie grzybek obmierzły to jagódka kościotrupka. Przypominam też sobie świetną, sfilmowaną niegdyś powieść czeskiego pisarza Karela Capka „Krakatit", której bohater, genialny chemik wynalazł sposób zamiany każdego niemal materiału na piorunujący środek wybuchowy, wysadzał mosty szczyptą kosmetycznego pudru, rozwalał mury podkładając pod nie zupę grochową w proszku. Nieograniczony jest geniusz ludzki w wynajdywaniu sposobów na samozniszczenie.

Mak nie jest mi do szczęścia potrzebny i uczeni mogą z nim robić co chcą. Mogę łatwo zrezygnować z placka nadzianego makiem na rzecz na przykład ciasta nadziewanego ananasem. Myślę tylko, że jeśli pozbawienie maku jednego z jego najistotniejszych składników, wpływających także niewątpliwie na smak, stanowi najlepszą metodę walki z narkomanią to należałoby jeszcze wyhodować bakterie drożdży pozbawione zdolności fermentacyjnych. W ten jakże prosty sposób zlikwidowałoby się wszystkie fermentujące napoje a więc wszystkie alkohole świata.

ĆWIEK

3 Sport

Miłość od pierwszego wejrzenia

Różnie można to nazwać: oczarowanie, olśnienie. Oto nagle spotyka się dwoje ludzi — on i ona — spojrzą sobie głęboko w oczy i już wiedzą: są stworzeni dla siebie. Miłość od pierwszego wejrzenia. Któż z nas tego nie przeżywał, nie przeżywa lub nie będzie przeżywał? Ale zdarza się też miłość do pierwszego wejrzenia do... miasta, klubu sportowego, samochodu, mieszkania, prezesa, działaczy i tak dalej. Każdy może sobie tu wstawić to, co uzna za właściwe. W polskiej piłce nożnej było już kilka takich miłości i niewątpliwie będzie ich jeszcze kilka. Swego czasu Dariusz Dziekanowski — będąc najdroższym piłkarzem w PRL i zawodnikiem RTS Widzew — zapałał miłością od pierwszego wejrzenia do Warszawy i CWKS Legia w szczególności. Innym znów razem Krzysztof Budka z Zagłębia Lubin zapałał miłością od pierwszego wejrzenia do Szczecina, a przede wszystkim do zawodu sportowca i portowego klubu Pogoń w Szczecinie. Teraz natomiast Robert Warzycha z Górnika Wałbrzych zapałał miłością do Górnika Zabrze. Niby to różnica niewielka — dla laika przynajmniej — to Śląsk i to Śląsk, wprawdzie jeden Dolny a drugi Górny, ale górniczy klub z Zabrza jest mistrzem Polski i gra w Pucharach Europy, a górniczy klub z Wałbrzycha ma ogromną szansę na to, aby w najbliższym sezonie grać już w II lidze.

Władcy sportowi wiedzą o takich wypadkach, ale jako zatwardziali formaliści, możliwość zakochania się w innym klubie od pierwszego wejrzenia ujęli w twarde ramy przepisów. Twarde — tak im się przynajmniej wydawało. Nam również. Tak więc, jeśli zakochałeś się w innym klubie, to postaraj się, aby w odpowiednim momencie, odpowiednie władze sportowe umieściły cię na liście transferowej. Bo jak nie umieszczą, to na nic twoja miłość. Kto nie figuruje na liście transferowej, ten — zgodnie z decyzją GKKFiT — nie może zmienić barw klubowych, jeśli ma szczęście — lub w tym wypadku nieszczęście — grać w I lub II lidze. No, bo [redacted] wanymi w lidze i w europejskich pucharach. Na przyszłość nigdy nie zgodzimy się, by grać w trzy dni po kolejce ligowej".

No? Ładnie powiedziane? A potem dziwimy się, skąd się bierze na boisku 11 wspaniałych pieszczochów.

Pieszczochów jest jednak więcej. Wśród nich znalazł się wspomniany już Robert Warzycha, który — jak wiemy — zakochał się od pierwszego wejrzenia w Zabrzu, a szczególnie w tamtejszym klubie górniczym — Górnik. Udzielił on nawet wywiadu dla tygodnika „Piłka Nożna". Na pytanie Pawła Zarzecznego:

— „Podoba się panu w Zabrzu?" — odpowiedział: — „Tu działacze są dla zawodników, a nie zawodnicy dla działaczy".

Inne pytanie: — „Ta nowa Łada to chyba nie z Wałbrzycha?"

— „Powiedzmy. Skoro już tu jestem, zdecydowałem się na Zabrze, to chyba powinienem być traktowany poważnie".

Tę wypowiedź należy rozumieć jako komentarz do stwierdzenia, co to znaczy, że „działacze są dla zawodników".

Zdaniem Roberta Warzychy działacze z Wałbrzycha przeoczyli, nie dopatrzyli konieczności umieszczenia go na liście transferowej. On za ich błąd nie odpowiada. PZPN takiego tłumaczenia nie uznał. Górnik Zabrze odwołał się od decyzji PZPN do GKKFiT i o dziwo! — ten nakazał dokonać zmiany decyzji „w trybie szczególnego wyjątku, przy pełnej zgodzie obu zainteresowanych klubów". Przypominam, że oba zainteresowane kluby są górnicze! Może to nic nie znaczy, a może bardzo dużo. W każdym razie zrobił się skandal, którym władze sportowe — same postawiwszy się w sytuacji przynajmniej moralnie wątpliwej — wcale się nie przejęły i nie przejmą. Już nie takie rzeczy się robiło!

„Piłka Nożna" ujawniła, że w Szombierkach Bytom gra Gerard Urbacz, który nie był na liście transferowej, a w Górniku Wałbrzych Jan Janiec, którego też nie było na liście transferowej. I chyba nie tylko ich. Jak to się robi, że się tak spokojnie omija przepisy? Bardzo prosto — stwierdza „Piłka Nożna".

Jan Janiec grał w drugoligowym Zagłębiu Sosnowiec, nie mógł więc — nie będąc na liście transferowej — zmienić klubu. Przeszedł więc do rezerw Zagłębia Wałbrzych i jeden mecz zagrał w klasie okręgowej. Stał się przez to zawodnikiem ligi okręgowej, a jako taki miał już otwartą drogę do II i I ligi. Proste, prawda? I nie trzeba zakochanemu od pierwszego wejrzenia piłkarzowi fundować w prezencie Łady.

Czego to nasi działacze sportowi — i nie tylko — nie wymyślą? Tylko dokąd to nasz sport — i nie tylko — zaprowadzi?

BOGDA MADEJ

Dagome iudex

1

Zbigniew Nienacki

Proponujemy oto czytelnikom kilka fragmentów pierwszego tomu najnowszej powieści Zbigniewa Nienackiego „Dagome iudex", traktując je jako zapowiedź tomu drugiego, który „Odgłosy" będą drukować w całości już wkrótce.

„Dagome iudex" to swoistego rodzaju epos łączący w swojej fabule fantazję i historię, a właściwie zamierzchłą prehistorię życia plemiennego na obecnych ziemiach polskich. Nienacki próbuje po swojemu zrekonstruować obraz tamtych odległych czasów, i stworzyć nową mitologię początków polskości nad Wisłą. „Dagome iudex" to — z całym szacunkiem i dla Kraszewskiego, i dla Nienackiego — jakby współczesna wersja „Starej baśni".

Rozdział V

TYRFING

Wojenny rynsztunek miał się stać jego nową skórą. Dlatego kazała mu Zely, aby w swej lekkiej łódeczce codziennie przepływał przez rzekę i godzinami biegał przez lasy i łąki, uzbrojony w czekan i miecz, w szlomie na głowie i kolczudze. Tak też i czynił, ćwicząc swoje mięśnie i swoją wolę.

Zdarzyło się, że któregoś popołudnia, z powodu upału schronił się w cień gęstego lasu i pędząc jego zacienionym skrajem nieco zwolnił swój bieg. Nagle kościany grot strzały uderzył go w pierś i ześliznął się po żelaznych kółkach kolczugi. Potem dosięgło go silne uderzenie grota oszczepu z krowiego rogu, zwanego rogacicą, lecz i on odbił się od tarczy, którą syn Bozy trzymał na plecach. Nie wiedział ilu jest wrogów i jak są uzbrojeni. Czy powinien przyśpieszyć biegu i oddalić się od lasu, czy też stanąć do walki. Zawahał się, czy może wyjąć z pochwy straszliwego Tyrfinga, na którym spoczywała klątwa Odyna. Bo jeśli nieprawdziwą była przepowiednia Zely, że stanie się władcą, nie wróg, ale on sam padnie w tej walce.

Uskoczył na łąkę i oddalony od lasu o kilkanaście kroków stanął w postawie obronnej, tak jak go uczyła Zely. W prawej ręce miał czekan, który wyciągnął zza skórzanego pasa, a w lewej okrągłą tarczę. Usłyszał szelest gałęzi i z bocznego konara starego kłonu zeskoczył Leśny Człowiek. Syn Bozy rozpoznał go, gdyż Leśny Człowiek był prawie nagi, a to co z początku wydawało się okryciem, okazało się naturalnym gęstym zarostem. Jego długie włosy spadały mu na plecy, twarz miał całą zarośniętą z wyjątkiem czoła. Wzrostem wydawał się nieco niższy od zwykłego człowieka, ale miał szerokie barki i niezwykle umięśnione uda oraz wydatne łydki.

Leśny Człowiek odrzucił od siebie łuk i tuł do przechowywania strzał. Zza pnia klonu wydobył kilka maczug bukowych, niezbyt dużych, przeznaczonych do ciskania we wroga. Jak samiec żubra zanim rzuci się do walki, najpierw wydał ze swej piersi zwierzęcy ryk i nawet na podobieństwo żubra grzebał jedną nogą w ziemi. Widać było jak podnieca się do walki, pluje śliną, a oczy słabo widoczne w gęstwinie włosów na twarzy, zaczynają błyszczeć i nabierać czerwonej barwy. Na wargi powoli występowała mu piana.

Mógł przerazić każdego swoim wyglądem i przez strach odbierać wolę walki. Syn Bozy rozumiał, że Leśny Człowiek oczekuje, że stanie się to, co zwykle: ofiara rzuci się do ucieczki. On umiał jednak biegać szybciej od zwykłych ludzi, szybciej od sarny czy jelenia, i w plecy uciekającego zazwyczaj trafiała silnie rzucona maczuga.

Ale syn Bozy stał nieruchomo i czekał na atak. Strach w nim minął, przestały dygotać łydki i ramiona, natomiast ogarnęło go powoli przedziwne uczucie: pragnienie walki.

Drewniana maczuga poleciała w kierunku syna Bozy, lecz ten odbił ją swoją tarczą. Teraz sam rzucił czekanem, który zrobił w powietrzu kilka obrotów. Wróg uchylił się i czekan wbił się w pień klonu. Leśny Człowiek wydał z siebie wtedy przejmujący okrzyk i z maczugą rzucił się na syna Bozy, myśląc, że tamten pozostał bezbronny. Wówczas to zabłysnęło w słońcu ostrze Tyrfinga i jego blask na moment oślepił Leśnego Człowieka. Ta krótka chwila wystarczyła, by ostrze, które dzieliło na dwoje muchę w locie, odcięło mu głowę od karku. Odskoczył do tyłu syn Bozy, krew zalała ramiona i pierś Leśnego Człowieka, głowa już leżała na ziemi, a bezgłowy tułów jeszcze zrobił krok naprzód. Potem nagle padł i tylko raz rzucił się w agonii. Teraz syn Bozy krzyknął głośno i był to okrzyk tryumfu. Tyrfing zabił Leśnego Człowieka. Czy nie był to znak, że syn Boży ma w sobie krew władców?

Pogardliwie splunął na martwe ciało, bez wstrętu chwycił długie włosy Leśnego Człowieka, wyrwał czekan z pnia klonu i z krwawiącą jeszcze głową, lekkim truchtem pobiegł w kierunku rzeki i swojej łódki.

Długowłosą głowę wbiła Zely na długą tykę i postawiła ją nad bramą dworu Spalów. Tkwiła tam aż z czasem kruki wydziobały wszystko mięso, czyniąc czaszkę białą i nagą. Tylko długie rudawe włosy Leśnego Człowieka wciąż trzymały się czaszki i powiewały na wietrze.

Tego wieczoru Zely kazała sobie pokazać ostrze Tyrfinga. Spojrzała na zaschnięte plamy krwi, wytarła je szmatą, a potem jak gdyby sama przejęta lękiem, ostrożnie popatrzyła na syna Bozy.

— Przeczuwałam, że staniesz się władcą — powiedziała cicho. — Ale nie wiedziałam, że będziesz aż tak wielkim. Jeśli piętnastoletniego młodzieńca posłuchał straszliwy Tyrfing, jakże ci będzie posłuszny kiedy osiągniesz wiek męski? Teraz jestem pewna, że ogarnie cię choroba zwana żądzą czynów.

— Nie chcę zostać władcą, jeśli to znaczy, że zachoruję na żądzę czynów i będę chciał cię opuścić — nieoczekiwanie powiedział do Zely. — Powiedz: po co mi władza nad innymi ludźmi?

Pierwszy raz zobaczył jej twarz z zupełnie nowym wyrazem nie znanych mu dotąd uczuć. Patrząc gdzieś ponad jego głową rzekła z ogromną powagą i odrobiną smutku:

— Zrodziła cię kobieta z karłowatego rodu. Podobno twoim ojcem był mój brat, Olbrzym Boza. Ale przecież nie masz co do tego żadnej pewności. I właśnie dlatego zapadniesz na chorobę zwaną Żądzą Czynów. Nie przyznasz się do tego nikomu, ale w najtajniejszej głębi swoich myśli będziesz wciąż się zastanawiał, czy płynie w tobie krew olbrzymów czy też tylko karłów. Całe twoje życie to będzie udowadnianie sobie i innym, że jesteś jednak synem olbrzyma. A żeby to sobie i innym udowodnić będziesz musiał dokonywać czynów na miarę olbrzymów, co znaczy, że staniesz się kiedyś wielkim władcą.

Po chwili dodała:

— Ale to wcale nie znaczy, że musisz stąd odejść. Po co dokonywać olbrzymich czynów daleko, skoro można to czynić blisko?

Poprowadziła go na brzeg rzeki i na piaszczystej łasze w złotawym piasku zaczęła kreślić rozmaite linie.

— Patrz i zapamiętaj, synu Bozy. Oto rzeka Notecz, nad którą mieszkamy wpada do Warty, a potem do rzeki Viaduy. Oto rzeka Visula dążąca ku morzu, gdzie swój gród ma książę Gedan. Oto granice państwa Goluba Popiołowłosego, a dalej na południe państwa księcia Karka i jego wielki gród Karradonon. Obok nich żyje wiele ludów i plemion posiadających tylko władców plemiennych albo zupełnie wolnych od wszelkiej władzy. Liczne to ludy, posiadające wiele grodów. Zuireani mają 325 grodów, Busani aż 321 grodów i osad, ziemia Sitticów jest niezmiernie ludna z 516 grodami, Sebbiroci mają 90 grodów. Wielki i ludny jest kraj Unlicków, Neriuanów, a także Attorocich ze 146 grodami. Inne pokrewne nam ludy to Villerroci, Zabroci, Znatelici, Zeruani, od których wywodzą się wszystkie ludy Sklavińskie. Są też i Pyryzjanie, Luboszanie, Wolinianie, Slenzanie, Lunsici, Opolini, a także Golensici. Zapamiętaj to, co ci pokazałam na piasku i wiedz, że z tych to plemion i ludów możesz stworzyć potężne państwo i zostać jego władcą, a będzie to kraj od morza Swebskiego aż po góry Karpatos. Niech padnie przed tobą na kolana książę Gołub Popiołowłosy władający Lendicami i Gopelanami, niech się ukorzy przed tobą książę Karak. Zapamiętaj: zabijaj nawet własne dzieci, jeśli ci staną na drodze do władzy. Zapamiętaj: Tyrfing otworzy ci drogę do władzy, lecz utrzymać ją pomoże rozum i spryt. Zapamiętaj: bądź bezwzględny i okrutny dla swoich wrogów, okazuj jednak czasem łaskę i wielkoduszność, ale na krótko. Nigdy nie zapominaj wyrządzonej ci krzywdy lub przykrości. Najbardziej będą cię nienawidzić ludzie, którzy mają ci coś do zawdzięczenia albowiem wdzięczność jest żmiją trawiącą trzewia człowieka. Najbardziej kochają ci, którzy dopiero zasługują na twoją wdzięczność. Strzeż się ludzi chudych, cierpiących na bezsenność, gdyż noc jest matką spisków. Niech cię otaczają osobnicy, którzy kochają rozkosze jadła i ciała; sytość i gnuśność rzadko prowadzą do spisków. Udawaj, że wielu traktujesz jako swoich przyjaciół: tak naprawdę nie miej żadnego. Nie mów tego co uczynisz dziś, jutro, za rok. Zapamiętaj: musisz zdobyć opaskę ze skóry, jaką na swoich popielatych włosach nosi książę Golub. Jest na tej opasce kamień zaczarowany. Bóg Swaróg rzucił go ludziom na ziemię jako okruch słońca, podnieśli go kiedyś żyjący wśród nas Celtowie i nazwali Andala, ponieważ przynosi zawsze zwycięstwo. Jeśli kamień na głowie władcy mętnieje, to znaczy, że władca traci rozum i władzę. A jeśli nabiera słonecznego blasku, mądrością błyszczą także oczy władcy. Tę przepaskę załóż na swoje włosy, synu Bozy, tak aby kamień Swaroga połyskiwał na środku twego czoła. Zapamiętaj: nie można tej opaski zdobyć przelewając krew, ale ten, który ją posiada, powinien oddać ją dobrowolnie. Tyrfing i Andala to będzie twoja siła. Zapamiętałeś?

— Tak — odparł syn Bozy.

Wówczas powiedziała mu Zely:

— Jeśli swoimi wielkim czynami udowodnisz, że jesteś synem mego brata Olbrzyma Bozy, tedy okaże się, że masz w sobie także krew jego pradziada, Wielkiego Samo, który przed dwustu laty stworzył pierwsze państwo Sklavinów i pokonał nie tylko Hunów zwanych Awarami, lecz także króla Franków imieniem Dagobert. Po śmierci Wielkiego Samo rozpadło się jego państwo, lecz przecież przez lata na jego miejscu wciąż tworzą się nowe księstwa i królestwa. Ty zbudujesz największe, a po tysiącu lat twoje plemię pomoże zburzyć potęgę Teutonów i postawi nogę na gruzach największego ich grodu. Tysiące olbrzymów śpi bowiem na tej ziemi i ten będzie wielki, kto ich potrafi obudzić do życia i natchnąć wolą walki. Opowiada się, że w samym środku naszych ziem istnieje zapadły pod ziemię mocą czarów ogromny gród zwany Campol. Tam śpią Spalowie Olbrzymi i tam jest grób Wielkiego Samo, rzeka zaś obok płynąca od jego imienia zwie się Samicą. Znajdź to miejsce i niech się w tobie obudzi Olbrzym.

Następnie przez wiele dni uczyła go Zely znanej dobrze Spalom magicznej sztuki utrwalania myśli i słów to jest sztuki kreślenia sklavińskich runów. Nie może bowiem stać się olbrzymem ten, który nie potrafi utrwalać na korze brzozowej swoich myśli i słów oraz przekazywać ich innym nawet na bardzo dalekie odległości. Kiedyś owa sztuka kreślenia runów była powszechna, jak powszechnie żyli Olbrzymi. Zaginęła jednak wraz z Olbrzymami, nie jest bowiem w stanie objąć jej umysł karłów, a ludzie karłowacieli. Wszystkie wielkie ludy posiadają swoje runy, utrwalają myśli i słowa dla innych i potomnych. Dziś jednak nie zna już tej sztuki nawet Golub Popiołowłosy, a tylko co najwyżej pamiętają ją jeszcze najstarsi starcy oraz ona, Zely. Teraz zaś posiadł ją syn Bozy...

Odtąd, kiedy się tylko nadarzyła okazja, wabiły ku sobie młodzieńca kobiety i dziewczęta na dworze Spalów. Podnosiły suknie, aby mu okazać przyrodzenie i zachęcić ku sobie, rwały koszule i obnażały piersi. Ale Zely nie pozwoliła mu nigdy dotknąć żadnej dziewczyny czy kobiety. „Zarażą cię chorobą scytyjską. Ja zaś chcę, abyś stworzył nowe państwo Spalów" — mówiła. A kiedy nocą tężał mu członek, ssała go, dopóki nie poczuła w ustach nasienia. On zaś nie myślał o innych kobietach, ponieważ ich ciała wydawały mu się brudne i wątłe, ciało zaś Zely było piękne, czyste i ogromne. Nie wyobrażał sobie, aby istniała kobieta piękniejsza niż Zely, miała bardziej bujne włosy i bielsze zęby, delikatniejsze i cieplejsze wargi. Olbrzymki nie orudziły się raz w miesiącu jak zwykle kobiety i nie starzały się tak szybko jak one. Dopiero po latach pojął, że miał z nią podwójną rozkosz, bowiem była dla niego matką i zarazem kochanką.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Rozdział VI

DRUZO

Stało się to w samym środku surowej zimy. Miał wtedy szesnaście lat i zgodnie z rozkazami Zely uczył się sztuki wytrwałości: całymi dniami biegał przez lasy i zamarznięte moczary w pełnym rynsztunku bojowym, w hełmie, kolczudze, z tarczą, nożem zawieszonym u szyi, Tyrfingiem u pasa, toporem, włócznią i łukiem na plecach. W futrzanych butach, w które miał wpuszczone futrzane spodnie przemierzał ogromne przestrzenie, brnąc przez zaspy, ucząc się sztuki rozpoznawania śladów pozostawionych przez różne zwierzęta, a także ludzi. Niekiedy polował, przeważnie na wiewiórki, doskonaląc swoje umiejętności strzelania z łuku zatrutymi strzałami. Na kolczudze nosił właśnie pelerynę z wiewiórek, uważano ją za cenną, gdyż była lekka i ciepła.

Pewnego popołudnia ujrzał chmurę dymu w tej stronie, gdzie znajdowała się wioska Zemlinów. Dym był czarny, potem siwy i rudawy; chmura olbrzymiała i wyglądała groźnie na tle niebieskiego zimowego nieba. Z początku myślał, że Zemlinowie wypalają las, aby poszerzyć swoje pola uprawne, lecz przypomniał sobie, że czynili to przeważnie wczesną wiosną albo późną jesienią, a nie w środku zimy. Zaniepokoił się tym trochę i przystanął obserwując dym na horyzoncie. Miał uczucie, że ktoś go woła na pomoc, skądś zbliża się niebezpieństwo. Zlekceważył jednak to wrażenie, ponieważ ogarnęła go złość: Zobaczył wiewiórkę na gałęzi buka, strzelił i nie trafił, strzała wbiła się wysoko w pień. Stracił strzałę z żelaznym grotem, pień nie miał niższych gałęzi i nie mógł się wspiąć po strzałę.

Wtedy zobaczył drugą chmurę czarnego dymu. Tym razem bardziej na zachód, tam, gdzie znajdował się dwór Spalów. Wówczas zaczął natychmiast biec w tamtą stronę — rytmicznie przerzucając ciężar ciała z nogi na nogę i starając się równo oddychać. Od dworu Spalów dzieliło go bardzo wiele stajań, czarny dym zdążył stać się rudawy, siwy i znów czarny. Zasnuł połowę nieba i nawet skrył zachodzące zimowe słońce. Ale chłopiec nie przyśpieszał kroku, ponieważ zdawał już sobie sprawę, że nastąpiło najgorsze i musi przybiec do dworu Spalów w pełni sił, aby walczyć.

C.D.N.